

Zdarzenia tu opisane miały miejsce w 858 roku wedle kalendarza Ofiru, gdy w moim rodzinnym księstwie, Aenthil, panował Adarnil z rodu Aenien, a władcą Wergundii był Eudomar, książę Daków, następca Elmeryka z rodu Danwiga.

CZĘŚĆ I

W więzach

Rozkazy przełożonych Zgromadzenia Cór Silvy zabrały mnie daleko od domu. Łaską Bogini przedostałam się aż na ziemię Protektoratu Tryntu, gdzie w jednym z druidzkich kręgów zyskałam wiedzę niezbędną młodej medycze. To, jak bardzo przydały mi się te wiadomości, okazało się już w najbliższych dniach.

Na tydzień przed letnim przesileniem we śnie ukazał mi się Hern, Wielki Łowczy, protektor lasu, pan gęstwiny Tryntu. Nakazał mi wyruszyć jeszcze dalej na północ, w lasy Silberbergu, bym stoczyła tam w imieniu Puszczy walkę ze Złym. Niewiele więcej się dowiedziałam, mój Pan nie powiedział też, kim lub czym jest Zły. Ważne jednak, że już następnego dnia wyruszyłam z kręgu, aby wypełnić swoją misję. Nie będzie też kłamstwem, jeśli powiem, że nie zapadł jeszcze zmrok, gdy przestałam wierzyć w jej powodzenie.

Krótko: pojmano mnie. Żołnierze Imperium widać nie lubią obcych na swych ziemiach, bo gdy tylko mnie spostrzegli, chwycili za broń. Spiczaste, elfie uszy nie pomogły mi w tłumaczeniach, a inaczej niż słowami walczyć nie mogłam, by nie złamać zakonnych reguł. Wkrótce też związano mnie i dołączono do reszty jeńców.

Sytuacja była tragiczna. Oddział składał się w większości z więźniów politycznych – kilku hardych Fiordyjczyków, krasnoluda ze zdobioną runami tuniką i paru moich pobratymców. Pędzono nas przez góry i lasy niemal trzy tygodnie, a było to dwadzieścia dni męki, dwadzieścia nieprzespanych nocy i wiele mil wyczerpującego marszu. Nocami rzadko dawano nam chwilę snu, a rano znów wyciągano baty, którymi przekonywano nas do szybszej wędrówki. Kiedy więc po tak morderczej przeprawie dotarliśmy do celu naszej podróży, nikt z nas nie miał nawet siły, by zapytać, gdzie jesteśmy. Dopiero po chwili ktoś nijakim, wyblakłym od zmęczenia głosem szepnął jedno jedyne słowo: „Silberberg”.

Nie wiedziałam, co powiedzieć, czy zrobić. Dotarłam do celu, tam, gdzie wysłały mnie niebiosy, ale cóż po tym, skoro na moich rękach wciąż widniały więzy, a z poranionych pleców kapłała krew? Nie było szans na jakiegokolwiek myśli o ucieczce, więc gdy tuż po zmroku powiedziano nam do samego obozu jenieckiego, szłam ulegle, starając się nawet nie potykać na śliskiej ściółce.

W końcu wąską ścieżynką wyszliśmy na spory, oświetlony ogniskiem i pochodniami plac. Sceneria wyglądała wręcz upiornie, bo chybotałe płomienie pochodni i spore ognisko lśniące krwistym blaskiem rzucało na to feerię piekielnych barw, a ubrani w wergundzkie mundury strażnicy patrzyli na nas pełnym pogardy wzrokiem. Tylko reszta więźniów, widać z poprzednich transportów, obserwowała nas jakby z rezygnacją. Na twarzach kilku młodzieńców dostrzegłam też skrajną beznadzieję, co odebrałam jako potwierdzenie właśnie przekazywanej nam przez dowódców wieści: „Stąd nie da się uciec.”

- Nawet nie próbujcie myśleć o ucieczce, bo natychmiast to zauważymy – rzekł wysoki, ciemnowłosy mężczyzna tytułowany dekurionem. – Możemy zaczynać?

Po tych słowach wymownie spojrzął na swego cięższego towarzysza z niewielkim młotem w rękę. Krasnolud? Krasnolud w szeregach wergundzkiej armii?

- Możemy, komendancie. Bransolety przygotowane.

- Więc dawać ich tu! Raz!

Pierwszego ku grubszemu, brodatemu strażnikowi pociągnięto niejakiego Noxisa, jedyne­go członka całej grupy, który pochodził z Shamarothu. Jak większość mieszkańców półwyspu, wyglądał on na twardego i nieustępliwego, choć długa droga nauczyła mnie już, że wcale taki nie jest.

- Nie opieraj się, psie! – wrzasnął ten, który nas tu przywiódł i popchnął ciemnowłosego kapłana Wejana, boga kowali, tak mocno, że ten upadł na kolana przed owym mężczyzną z młotem, który po dłuższych oględzinach wcale nie przypominał krasnoluda.

- Dawaj rękę – nakazał brodac, podbródkiem wskazując na pieniek. Po chwili szarpaniny dłoń wylądowała na miejscu.

Z początku myślałam, że Wergundowie są na tyle okrutni, że po prostu poucinają nam ręce, choć w sumie może taki czyn byłby dla nas mniej problemowy, niż to, co nam zrobili. Kiedy tylko cofnięto Noxisa do szeregu, wszyscy spostrze­gliśmy na jego ręce toporną, metalową bransoletę. Ku kowalowi pociągnięto kolejnych.

- To bransoleta magiczna – wyjaśnił nam któryś z pozostałych strażników. – Jeśli choć pomyślicie o ucieczce, będziecie rzygać dalej niż widzieć. Jeśli, nie daj Modwit, podniesiecie rękę na strażnika, mózg po prostu wypłynie wam uszami. A co do samej ucieczki... cóż, z poprzednich odważnych został tylko popiół.

Ta przemowa podziałała na nas wręcz piorunująco. Nikt z nas nie wiedział, co zrobić, jak cokolwiek zorganizować w takich warunkach. Noxowi lekko się odbiło, co wszyscy potraktowali jako przejaw tematyki jego myśli. Na całe szczęście uwaga strażników skupiła się właśnie na kolejnych więźniach.

Całość poszła dość sprawnie, choć Fiordyjczycy nieco się opierali przyozdobieniu srebrnymi kajdanami. Mimo ich zaparcia więcej problemów sprawiła żołnierzom kobieta, tryntyjska chłopka, która najwyraźniej chciała zabić Wergundów samym swym szczebiotaniem. Niewiele to pomogło i już wkrótce wylądowała w szeregu z „biżuterią” na ręce. Mówiono nam później, że jeszcze tej samej nocy próbowała ucieczki. Jedyne potężny huk był świadectwem tego, iż jej zamiary spaliły na panewce.

W końcu i mnie pchnięto w kierunku kowala nazywanego przez strażników „Zakuwaczem”. Z bliska wyglądał on nawet przyjaźnie i gdyby nie narzędzia, które wciąż trzymał, w życiu nie poznałabym, że współpracuje z Imperium.

- Rączka – powiedział, a ja posłusznie wyciągnęłam lewy nadgarstek. I wtedy zaczął się koszmarny.

- No, no! Co ja tu widzę? Szpiczastoucha? – zawołał, zdejmując mi kaptur i odsłaniając chlubę mego ludu. – Wy zawsze tacy potulni? Ale i dla takich zajęcie się znajdzie, prawda, dekurionie?

Uśmiechnął się paskudnie, a komendant odpowiedział mu tym samym.

- Oj, znajdzie się zajęcie, zawsze się znajdzie – zabrzmiało gdzieś zza moich pleców, ale nie ośmieliłam się odwrócić. – Zwłaszcza, jak ostatnio wywaliło tego barda.

- Tylko uszy zostały!

Ten jeżący włosy na głowie śmiech był ostatnim, co usłyszałam, zanim nie zapięto mi na rękę owej strasznej bransolety. Gdy odchodziłam do szeregu, błagałam Wielką Silwę, mą Panią, aby oszczędziła mi cierpienie. Już wiedziałam, że nadchodzące dni nie będą łatwiejsze od tych, które spędziłam w podróży.

Jako jednego z ostatnich do zakucia w kajdany pociągnięto niejakiego Ulfa. Pochodził on z Fiordu, co od razu znać było po jego nieugiętej postawie i spojrzeniu, jakim darzył każdego z Wergundów. Raz czy dwa z zalem spojrzał też ku pasowi, do którego zwykle przytracał broń. Gdy patrzyło się na tak odważnego człowieka jako więźnia, każdego z nas bolały serca.

Fiordyjczyk długo opierał się Wergundom, lecz i jego ręka nie zdołała wywinąć się oprawcom. Kiedy zakończono cały zabieg, właściciel nowiutkiej biżuterii tylko splunął strażnikom pod nogi. To wystarczyło, aby błyskawicznie go ogłuszone.

- Psie! – ryknął któryś z żołnierzy, gdy my próbowaliśmy ocucić męznego towarzysza. Nie było chyba osoby, która by nie podziwiała takiego druha.

W końcu wszyscy byliśmy już „zaobrączkowani”. Strażnicy rozeszli się, a my, nowi, postanowiliśmy dowiedzieć się czegoś od tych, którzy przebywali tu dłużej niż my. Niewiele było tych informacji, znali niemal tylko imiona strażników i hierarchię obozową, a, co najważniejsze, nie wiedzieli niczego, co mogłoby nas doprowadzić do ewentualnego zdjęcia bransolet. Kiedy więc położyliśmy się spać, rozmyślaliśmy tylko o jednym, to znaczy nad tym, jak to cholerstwo działa i jak można je przechytrzyć.

Świt wstał nad górami, jak zwykle, o wiele za wcześnie, ale mimo to kilku więźniów oraz „zesłańców”, jak nazywali się ci, którzy przebywali tu dłużej i nie mieli na sobie kajdan, siedziało już przy ognisku. Była wśród nich moja towarzyszka z transportu, Lily, także pochodząca z Aenthil, był Durgh, jasnowłosa mężczyzna o często zamysłonym wyrazie twarzy i ze dwóch Fiordyjczyków, których także pamiętałam z drogi. Reszty nie znałam. Niewysoka, ciemnowłosa elfka chwilę później przedstawiła się jako Nike, kapłanka Herby, a towarzyszący jej mężczyzna kazał nazywać się Aleksandrem i był kronikarzem. Chwilę później do ognia doszedł także Aarendil, elf z Laro i Noxis, ów krasnolud, z którym nas tu przywiedziono.

Zaczęło się od rozmowy o orku, którego ponoć widziano w nocy w obozie. Okazało się, że korzystając z panujących ciemności, wrzucono go do karceru, a jeniec jeszcze przed świtem rozmawiał z jakąś zakapturzoną postacią. Nad ranem, według tego, co mówili wartownicy, więzień popełnił samobójstwo, więc nie mieliśmy już szans czegokolwiek się od niego dowiedzieć. Dzięki bogom, żaden wśród nas nie parął się nekromancją.

- Ktoś wie, co właściwie mamy tu robić? – zaczął chyba Noxis, gdy tylko zakończyliśmy tamten temat. – Mówili, że będziemy pracować, ale co dokładnie?

- Dokładnie? – to Einar z Fiordu spojrzał na naszego tęższego towarzysza. – Hugin, krasnolud, którego Wergundowie wynajęli do pracy tu, mówił coś o kamieniołomach.

- Pięknie – westchnęłam. Wiedziałam, że moje ciało daleko ma do fizycznej krzepy wojowników, a kamieniołomy... Czyżbym miała nie przeżyć w tym obozie nawet pełnego dnia?

W tym momencie na placu pojawił się któryś ze strażników w towarzystwie zakapturzonej postaci o wyraźnie kobiecej sylwetce.

- To kapłanka Gertruda – wyjaśnił nam Aleksander. – Służy Modwitowi.

Na te słowa Durgh prychnął cicho, a nasze spojrzenia na krótko się spotkały.

- Modwit, tak? – szepnęłam, a jego głos przywodził na myśl syk węża. Zdziwiłam się tym brzmieniem i uważniej przyjrzałam się towarzyszowi. Nie wyglądał na przeciwnika bogów.

- Czyżbym zapomniał powiedzieć, że służę Toledzie, Pani Równowagi? – zapytał, wskazując na niewielki zakonny symbol, który jakimś cudem zdołał ukryć w czasie transportu.

- Prędzej ja tego nie dosłyszałam, panie – odrzekłam, czując pewne onieśmienie. – W drodze tutaj niewiele do mnie docierało.

Uśmiechnął się przyjaźnie, co nieco zbiło mnie z tropu. Choć wiele słyszałam już o fanatyzmie jego współbraci, raczej go polubiłam. Odwzajemniłam uśmiech.

- Na mnie czas – rzekł jednak, chyba, by jeszcze bardziej mnie zakłopotać. – Moja Pani nie wybaczy mi braku modlitwy, nawet jeśli jestem w niewoli.

Nie odpowiedziałam, czując, że robię się purpurowa. Do czego to doszło, by kapłan Toledy przypominał mi o obowiązkach wobec bogów? Pożegnałam Durgha z mieszanymi uczuciami, a gdy on przykląkł, zanosząc modły, ja także odeszłam w bok.

- Gdzie idziesz? – zainteresował się Aleksander.

- Na koniec obozu, za nasz ostatni namiot. Gdyby ktoś mnie szukał, znajdzie mnie właśnie tam.

Zniknęłam z placu i już wkrótce stanęłam w miejscu, które zdążyłam nazwać Leśnym Zakątkiem. Było ciche, otoczone sędziwymi drzewami i przede wszystkim pozbawione strażników. Dodatkową korzyścią było to, że nie musiałam odchodzić od placu poza zasięg głosu i mogłam słyszeć wszystko, co dzieje się w głównej części obozu.

Stanęłam więc między drzewami, tak, jak uczono mnie i w Aenthil, i w tryntyjskim kręgu druidów. Po odmówieniu tradycyjnego pozdrowienia Silvy i Herna upadłam na twarz przed potęgą lasu, wsłuchując się w jego głos i szepcząc wyuczone słowa.

- Giore til langs, Silva, baskytte selv. Pani wielka i dobra, Silvo, protektorko lasu, chroń nas od wszelkich niebezpieczeństw.

Drzewa zaszumiały tajemniczo, gdzieś w ich koronach zerwał się wicher, ale dziś Pani najwyraźniej nie chciała przekazać mi nic ważnego, bo nie rozumiałam nic z tego szumu. Skłoniłam się więc, dziękując za okazane mi łaski i w końcu pożegnałam moje małe święte miejsce.

- Apel! – zabrzmiało właśnie od strony obozu, gdy podnosiłam się z klęczek. Po raz ostatni spojrzałam w niebo i powtórzyłam prośbę o ochronę. Później nareszcie przeszłam między namiotami, udając się na zbiórkę.

Ustawiono nas w dwóch grupach, osobno więźniów i zesłańców, po czym kazano nam stworzyć dwuszeregi. Po odliczeniu liczby obecnych wszyscy myśleli, że apel zaraz się skończy. Niestety, czekała nas jeszcze jedna, niemiła niespodzianka, która Fiordyjczyków doprowadziła wręcz do szewskiej pasji.

- Baczość! – zagrział rozkaz. – Flaga na maszt!

Wergundzka flaga powoli i, przynajmniej to, majestatycznie, wjeżdżała na górę. Dla wielu z nas był to widok wręcz znienawidzony, elfy pamiętały jeszcze swoje bitwy z Imperium, żeglarze z Fiordu swoje, a o Tryntyjczykach nie trzeba było nawet wspominać. Widząc więc sztandar władzy z Akwirgranu, Ulf i jego hird z wybrzeża przez chwilę jakby się wahali, ale w końcu uczynili coś, co zapewne od dawna chodziło im po głowach. Odwrócili się plecami do masztu.

Co, jak co, ale taki czyn w wergundzkim obozie nie mógł ujść im płazem. Gdy za drużyną zaczęli odwracać się kolejni, zbliżyli się do nas strażnicy z batogami w rękach. Nie będę ukrywać, przeraziłam się i choć zaczęłam już się odwracać, nie zrobiłam tego do końca. Wtedy właśnie na plecy stojących obok wojów spadły pierwsze ciosy.

- Prowodyrzy do karceru – zabrzmiał głos dekuriona, a Wergundowie popchnęli kilku naszych do stojącej w rogu placu klatki. Zdołałam tylko dostrzec krew na głowie podzielonego pałką przez łeb Ulfa i aż czerwoną koszulę jego towarzysza, Meriadoca. To była pierwsza poważna kara w tym obozie, ale bynajmniej nie ostatnia. Mała klatka miała stać się w najbliższych dniach domem niemal wszystkich dzieci wybrzeża, a z nimi wielu innych.

Po całym zamieszaniu ze sztandarem, wreszcie wciągnięto go na maszt, a nas poinformowano, czym mamy się dziś zajmować.

- Jesteście tu, by kopać i wydobywać – rzekł jeden z pomocników dekuriona. – W miejscu, które dziś odwiedzicie, nie jest łatwo kopać bez obawy o to, co czai się za drzewami. Dlatego też trzeba wpięrow wyplenić stamtąd te cholerne dziwożony, z czym, mam nadzieję, poradzą sobie kajdaniarze.

- Nie uderzę driad – usłyszałam głos Lily, ale do strażnika, na całe szczęście, nie dotarło, co mówiła. Znow spurpurowiałam. Czyż nie powinnam mówić jak ona i bronić Cór Lasu za wszelką cenę?

- Lily, krzykiem im nie pomożesz – to Keledy, przyjaciel elfki, starał się wytłumaczyć jej, co powinna zrobić. – Jeśli nie chcesz bić driad, zawrzyj pokój, a nie wysyłaj nas na śmierć.

Nikt nie mógł zrozumieć, czemu po zakończeniu apelu aż tak się rozpromieniłam.

- Kazali nam porozdzielać się wartami – chwilę później poinformował mnie Durgh, wskazując na tłoczących się przy dekurionie więźniów. Ja nie zastanawiałam się długo.

- Wartujemy razem? – zapytałam, a obok mnie Nike, choć należąca do zesłańców, spojrzała na mnie po przyjacielsku.

- Może w trójkę, razem? – poddała pomysł, a kapłan Toledy zgodził się z uśmiechem. Dopiero po chwili zrozumiałam, skąd ta dziwna radość. Do naszej warty należało przecież aż trzech wysłanników bogów!

- Mogę z wami? – zapytał Aarendil, którego, jako elfa z Laro, w życiu nie posądziłabym o chęć współpracy. Zgodziliśmy się jednak i już wkrótce zapisaliśmy naszą wartę na jednym z licznych dokumentów dekuriona. Potem, nareszcie, pozwolono nam udać się na zasłużone śniadanie.

Halla, stara tryntyjska karczma pamiętająca jeszcze niepodległość tego terytorium, jawiła nam się niemal jako raj. Po długiej i męczącej wędrówce o wodzie i czasem chlebie tutejsze jedzenie okazało się wyjątkowo... normalne. Na stołach pojawiło się białe pieczywo, dżemy z leśnych owoców, najróżniejsze warzywa i świeże mleko. Czego wymagać więcej w takim położeniu? Zjedliśmy szybko, czyszcząc stół do ostatniego okruszka. Później przygotowaliśmy się do wyjścia.

- Niech bogowie cię prowadzą, Nike – powiedziałam do towarzyszki, kiedy, już w namiocie, włożyłam na siebie wygodne buty i zakonną tunikę przewiazaną zwykłym sznurem.

- I was, Aerlinn. Macie przed sobą trudniejsze zadanie – powiedziała, choć i zesłańcy tego dnia opuszczali obóz. Uśmiechnęłam się, starając się nie myśleć o tym, co nas czeka.

- Trzymaj się ciepło – rzuciłam i wyszłam z kwatery. W starej, nieco podniszczonej torbie umieściłam jeszcze manierkę ze świeżą, źródlaną wodą i kilka ofiarowanych mi przez dowództwo bandaży. Dzięki kilku modlitwom, które pomogła mi ułożyć kapłanka Herby, teraz mogłam leczyć w jeszcze pewniejszy sposób.

Nieco się zdziwiłam, gdy w grupie zbierającej się na wyprawę do lasu driad dostrzegłam Ulfa i Meriadoca. Choć obaj z okazałymi guzami na głowach, zdawali się być gotowi do bitwy czy też potyczki. Niedługo miałam się przekonać, że faktycznie tak było.

Wyruszyliśmy niewiele później, gdy dołączyła do nas strażniczka Yndirmarie przez wszystkich nazywana Yndir. To „dzięki niej” kajdaniarze w ogóle mogli wyjść z obozu.

- A skąd pewność, że nie wybuchniemy, gdy tylko znajdziemy się za granicą tego terenu? – zapytał bodajże Einar.

- Ponieważ posiadam to – odpowiedziała Wergundka, odsłaniając wiszący jej na piersi wisior w kształcie kuli. – Nie możecie oddalić się ode mnie na więcej niż piętnaście metrów ani, oczywiście, podnieść na mnie ręki. Skoro już wszystko wiecie, możemy wreszcie iść?

- Tak – odpowiedzieliśmy krótko, kierując się ku górnej bramie obozu. W drodze zastanawiałam się, czy imię bogów sprawi, że pokój z driadami będzie bardziej realny. I ja nie chciałam zabijać swych leśnych sióstr, ale wiedziałam, że nie dopuszczę, aby ktokolwiek z obecnych w mej grupie zginął. Zaciśnęłam pięści w bezradnym geście małego dziecka i wraz z resztą oddziału wyruszyłam. Wtedy po raz pierwszy dopadła mnie myśl, że z tej wyprawy mogę już nie wrócić.

Szliśmy dość długo w niemal idealnym, z konieczności zwartym szyku. Lily była smutna i przygnębiona, a moje rady niewiele poprawiały jej samopoczucie. Zaprawdę, więź tej elfki z lasem była silna, silniejsza nawet niż u wielu z kapłanek i druidek, które widziałam. Biedna dziewczyna. Że też musiała spotkać ją akurat taka wyprawa...

- Rozglądać się po krzakach – zakomenderował Ulf, który w naturalny sposób stał się naszym dowódcą. Gdy wcześniej w obozie dano nam jakieś pięć sztuk broni, to on zajął się jej rozdzielaniem. Teraz też jego rolę stanowiło sprawowanie nad nami kontroli.

Prowadził on i Yndir, co sprawiało, że szliśmy naprawdę szybkim tempem, by tylko nie odstawać od reszty na więcej niż piętnaście metrów. Oczywiście, wszystko nieco się zmieniło, gdy z ubitego traktu weszliśmy w las i otoczyliśmy strażniczkę, by czasem nie narobić huk. Nikt z nas przecież nie miał ochoty, by się „rozerwać”.

Leśna ściółka, jak zwykle, gdy idzie się sosnowym borem robiła pod naszymi stopami hałas nie mniejszy niż wergundzka centuria, więc o przemknięciu się między drzewami mogliśmy tylko pomarzyć. Zaczęliśmy zbliżać się do skalistego zbocza, po którym mieliśmy zamiar się wspiać, gdy usłyszeliśmy to, czego można było się spodziewać. Wysoki ni to krzyk, ni to pisk, w którym każde leśne stworzenie rozpoznałoby driadę.

- Schować się za drzewa i skarpę – polecił Ulf, patrząc się przede wszystkim na kapłanów, mnie, jego druha, Ivara i Durgha. Noxis został z tyłu, ale i tak nie miał szans, by wcisnąć się za dość młode drzewa, między którymi się znajdowaliśmy.

Zapadła cisza. Każdy z nas wiedział, co zaraz się stanie, więc po raz kolejny wyszeptałam słowa modlitwy, błagając o ochronę nas. W tym momencie na szczycie zbocza pojawiło się kilka najprawdziwszych driad.

Dobrze znałam te zwinne kobiece sylwetki, tylko z pozoru przypominające elfickie. Opiekunki drzew miały na sobie tylko lekkie, zielonkawe tuniczki i barwne pióropusze /maski z piór/. W pasie przewiązane były zwierzęcymi futerkami, ale dobrze wiedziałam, że pochodziły one ze zwierząt zmarłych na drodze naturalnej /komentarz Łozy: droga naturalna to droga nie-asfaltowa, tak? ;) może lepiej w sposób naturalny?/. Żadna leśna nimfa nie ośmieliłaby się zaatakować innego stworzenia tylko dla jego futra.

- Uwaga! – z zadumy wyrwał mnie głos naszego dowódcy, który już wysunął się na czoło oddziału i teraz przekładał broń z ręki do ręki.

- Odejdźcie! – odpowiedziała mu przywódczyni nimf z pawimi piórami we włosach. – Odejdźcie od naszych domów, nie niszczonej naszej ziemi!

- Nie zamierzamy niszczyć ani waszych domów, ani drzew czy ziemi! – krzyknęła Lily, ale któryś z wojów raptownie jej przerwał.

- To wy musicie odejść! Imperium potrzebuje tych skał, tego kamieniołomu!

Przeziął, przemknęło mi przez myśl, a driady niemal natychmiast wyszarpnęły ukrytą za pasami broń. Nie miały łuków, co było dość dziwne, ale skoro porzuciły swój naturalny oręż, we władaniu takim także musiały czuć się wyśmieniczone.

- Odejdźcie – po raz ostatni krzyknęła Córa Lasu, a gdy zabrzmiała odmowa, cisnęła przed siebie jakimś czarem i powiodła swe towarzyszki prosto na nasze szeregi. Wojownicy zadali pierwsze ciosy, kilku z nich padło ranionych.

Już pierwsze sekundy walki pokazały, jak wielką przewagą jest wsparcie i znajomość terenu. Nawet mistrzowie szermierki, hird Ulfa, musieli cofać się przed leśnymi amazonkami, które raz po raz przeskakiwały rozpadliny i korzenie, zachodząc nas od tyłu. I ja kilkakrotnie, miast leczyć rannych, musiałam szaleńczo się cofać przed leśnymi dziewczętami.

- Błagam, nie zabijajcie ich! – krzyk Lily wwiercił mi się w głowę, gdy spostrzegłam, że nasi ranili jedną z nimf. Wydawało mi się, że elfka nagle przeskoczyła do szeregu naszych sióstr i chyba zamierzała to zrobić, bo nagle podbiegł do niej Keledy i ogłuszył ją płazem /głowicą, płazem się raczej nie da/ swego miecza. Tymczasem bitwa trwała.

- Na bogów! – krzyknęłam wreszcie, kiedy tylko odsapnęłam po ukryciu się w kolejnej rozpadlinie. – Przestańcie walczyć, Córy Lasu! W imię Silvy i Herna zaklinam was, aby nie połała się wasza krew!

Przez chwilę myślałam, że moje wezwanie nie zdało się na nic, ale w końcu, po kilkudziesięciu sekundach, driady zaczęły się wycofywać. /wśród driad był jeden facet, nie zwróciłaś uwagi na to, że w pewnym momencie usłyszał mentalne wezwanie od Herna, które zbiegło się z Twoim wezwaniem. Skoro tego nie widziałaś, nie musisz tego też pisać :) /

- Pójdźcie z nami – powiedziała, już dużo spokojniej, ich przywódczyni. – Wejdziemy do naszego świętego miejsca i tam zadecydujemy o tym, czy odejść. Nawet nie wiecie, jak ważne dla nas są te lasy.

- Wiemy – szepnęłam, ale nikt mnie nie usłyszał. Podbiegłam do ogłuszonej Lily i dodałam jej zaklęciem nieco sił. Kto jak kto, ale ona powinna mieć możliwość znalezienia się w sanktuarium nimf.

Widać było, że wojownicy ze sporymi obawami zgodzili się na propozycję „dziwożon”. Ich palce cały czas zaciskały się na broni, a rozbiegany wzrok zatrzymywał się na każdym drzewie, zza którego mogła wylecieć celna, wręcz zabójczo celna strzała.

- Spokojnie – rzekłam, a Lily powtórzyła to nieco głośniej. – To ich święte miejsce, nie ośmiela się użyć tam broni.

Mimo to, zwłaszcza Fiordyjczyk Einar, wciąż kurczowo ścisnął rękojeść swego miecza tak, jak wszyscy, którzy posiadali oręż. Idący obok Noxis starał się nie odzywać, by nie pokazać, jak bardzo drży jego głos.

- Zachowujcie się cicho – poradziła nam któraś z driad, gdy minęliśmy trakt i zagłębiliśmy się w lesie po jego wschodniej stronie. Po kilku minutach marszu znaleźliśmy się w najświętszym miejscu w tym borze. Święte jezioro, dookoła którego mieściła się osada nimf, aż kipiało mocą bogów.

Nie zważając na innych, przyklękłam, bo wiedziałam, że to miejsce zasługuje nie tylko na szacunek, ale i na cześć. Podziękowałam Wielkiej Silvie, że z Jej łaski mogłam tu trafić.

- Witajcie w naszym domu, w Sercu Lasu – rozłożyła przed nami ręce władczyni społeczności Cór Boru.

- Witaj, pani – szepnęło kilku spośród nas.

- To prawda, że chcecie nas stąd wyrzucić? Nas, które opiekujemy się okolicą?

- Nie my pragniemy waszego odejścia – wtrąciłam się do rozmowy. – Nie przybyliśmy tu z własnej woli. To, co mamy na dłoniach, jest świadectwem tego, że to Imperium chce tych ziem.

- Nie odejdziemy stąd.

- Jeśli nie, pamiętajcie tylko, że Imperium wiele może zrobić nie tylko wam, ale i lasowi.

- Jeśli nie odejdziecie, wejdą tu oddziały pacyfikacyjne – prosto z mostu dodała Yndirmarie. – A oni puszczą przed sobą ogień i wybiją was co do nogi. Chcecie tego?

- Las jest po naszej stronie.

- Tak, to prawda – rzekłam. – Ale chyba nie chcecie, by ten las zniknął tylko dlatego, że nie odeszłyście, prawda? Błagamy was, jeszcze raz powtarzam, nie chcemy zrobić wam krzywdy.

- Ale jeśli będziemy zmuszeni, to zrobimy.

- Yndir! – to któryś z wojowników skarcił strażniczkę.

- Dobrze – po dłuższej chwili odrzekła driada. – Odejdziemy stąd, choć z bólem zostawiamy nasze domy i święte miejsce. Dajcie nam trzy dni, a zastaniecie tę okolicę pustą.

- Trzy dni?! – Wergundce chyba od dłuższego czasu nie podobała się ta konwersacja.

- Yndir, i tak wiele nam dają – odezwał się chyba Keledy. – I tak nie wrócilibyśmy tu jutro z ciężkim sprzętem, a chyba nie chcemy tu niepotrzebnej walki i strat, prawda?

- Dwa – chciała targować się strażniczka.

- Trzy albo zostajemy /ten argument na pewno nie padł. Driady otrzymały od Herna polecenie – za trzy dni, nie mniej, nie więcej, odchodzą/. To i tak mało czasu na przenosiny.

- Dobrze, niech wam będzie. Przybędziemy tu za trzy dni.

Nikt nie odpowiedział kobiecie, a nimfy przyklękły nagle na brzegu jeziora. Moc, która biła od niego, jeszcze się wzmogła, a ja ze złości pochyliłam głowę. Ku mojemu zdziwieniu uczyniło to wielu spośród nas.

Dookoła powiał wiatr, zrobiło się tajemniczo, a pomiędzy drzewa padł strumień słonecznego światła. Doskonale znałam to uczucie, ten stan z mojego snu.

- Hern – szepnęłam, gdy tylko ujrzałam Jego jelenie poroże i spokojną, ojcowską twarz. Bóg jednak nie odezwał się do nas. Ten pokaz Jego opieki nad driadami wystarczył nam wszystkim.

- Panie, dzięki Ci – powiedziałam, gdy Wielki Łowczy zniknął, a oddział zaczął zbierać się z kolan. – Dziękuję wam, Córy Lasu, w imię bogów.

Albo mi się wydawało, albo któraś z nimf uśmiechnęła się do mnie.

Do obozu wróciliśmy w radosnych nastrojach i z poczuciem wypełnionej misji. Szliśmy wprawdzie w szyku, ale jedynie z konieczności, by nie zmienić się w spopieloną płamę na ziemi. Kiedy tylko weszliśmy w granice obozu, ruszyliśmy pochwalić się „zesłańcom” naszymi negocjacjami. Okazało się, że ich grupa była rankiem w obozie orków, w pobliżu którego napadnięto ich. Mimo wszystko mężni przeciwnicy Imperium, bo chyba jeńców tak wypadałoby nazywać, nie poddali się, dogonili bandytów i na dodatek znaleźli ich kryjówkę, a w niej odebraną kiedyś Wergundom... naszą broń. Oczywiście ukryli ją dobrze, korzystając z tego, że nie było nad nimi strażnika, a pod wieczór mieli zamiar przerzucić ją w okolice obozu. Tylko oni, bez tych okropnych bransolet, mogli jakkolwiek myśleć o buncie. Po obozie rozeszła się plotka, że powodem nagłej nieobecności kilkorga spośród „zaobrączkowanych” Fiordyjczyków stały się ich problemy żołądkowe.

Po obiedzie wysłano nas na kolejną misję, mającą tym razem na celu zdobycie magicznych kryształów służących do wyrabiania krasnoludzkich min kierunkowych. Myny musiały być zrobione do rana, więc natychmiast wyruszyliśmy na spotkanie z nieznanym.

Tym razem udaliśmy się w stronę dolnego wyjścia, przeszliśmy przez potężny, wergundzki trakt i zesliśmy do dolinki czy też raczej wąwozu. Droga była wąska i sprzyjająca zasadzkom, ale na szczęście przeszliśmy ją bez większych problemów. Dopiero, gdy po raz drugi przecięliśmy trakt i mieliśmy szukać wieży z zapisków, które dał nam Hugin, zrobiło się nieciekawie. Większość pomyślała, że już się zgubiliśmy.

Wezwaliśmy do siebie Hogara, ludzkiego kapłana poświęconego Skogurowi, mężowi mej Pani. Wszyscy wiedzieliśmy, że może on błagać bogów o znalezienie drogi, więc właśnie o to go poprosiliśmy.

Nie wiem, co za złe moce rzuciły się na niego, czy też, o czym myślał w czasie swej modlitwy. W każdym razie nie dość, że pomylił połowę rytualnych słów, to jeszcze zapomniał ostatniej części tekstu zaklęcia. Nie wiem, czemu Skogur mu to wybaczył, nie moja to sprawa, ale mimo wszystko wstyd było mi za tego towarzysza.

Po krótkiej rozmowie ruszyliśmy dalej, na całe szczęście znajdując właściwą drogę. Kiedy po kilku pacierzach dotarliśmy w zacienioną dolinę przy ruinach wieży, byliśmy pewni, że wcześniej dobrze poszliśmy. Teraz czekały nas tylko, jak to nazwał Hugin, „zapadliska”.

Wyglądało to jak dziury po gigantycznych pociskach, na których dnie mieściły się wejścia do dawnych krasnoludzkich sztolni. Przeszliśmy obok tych lejów ostrożnie i niemal z duszą na ramieniu, bo ścieżka była dość wąska i niebezpieczna. Kiedy wreszcie znaleźliśmy się za ostatnim z zapadlisk i chcieliśmy przyspieszyć, pierwszy szereg pochodu raptownie się zatrzymał. Z przeciwległego zbocza dolinki rozległ się zaś głos:

- Znikajcie stąd! Czy wiecie, po czym stąpacie?! To cmentarz, ziemia krwią uświęcona, a wy ją bezczęście!

- Nie przybyliśmy tu deptać cmentarza, kimkolwiek jesteś, nieznajomy – rzekł Einar, gdy Ulf i reszta hirdu skradali się po skarpie ku przeciwnikowi. – Szukamy tu tylko krasnoludzkich kryształów.

- Niczego nie szukacie, lecz depczecie po prochach mych przodków! Mnie zwą Księżycem, jeśliś ciekaw mego imienia! A teraz odejdź! Już!

W tym momencie chyba dostrzegł grupę kryjących się za drzewami Fiordyjczyków, bo nagle uniósł rękę, jakby chciał nas odepchnąć. Na ziemi przed nami znikąd pojawił się fioletowawy dym.

- Trucizna! Zakryć twarze! Uwaaagaaa!

Ostatni krzyk był już podsumowaniem pędzącej w naszą stronę kuli ognia, która, całe szczęście, jedynie osmałiła twarze ostatniego szeregu. Kiedy jednak następna sprawiła, że Meriadocowi zwęgliły się brwi, z ust do ust podano rozkaz.

- Przemykamy się w prawo, przez ten zwalony pień, a potem wejemy w las, ten na zboczu za nami – powiedział stojący obok mnie Noxis, przy okazji wskazując mi szyszkę, którą już w obozie

mogłam złożyć bogom w ofierze. Skinęłam głową i wrzuciłam szyszkę do torby. W tej samej chwili zdrząłam, widząc Keledy'ego.

Elf stał niemal bez ruchu, śmiertelnie blady i wpatrzony tylko w maga. Widziałam, jak ktoś próbował przekazać mu rozkaz dowództwa i ledwie uskoczył przed ciosem aenthilskiego wojownika. Nie wiedziałam, co się dzieje i jak odwrócić to, co się stało. Lily już podbiegła ku towarzyszowi, by jakoś poradzić na ten jego stan, ale i ją jego pięść minęła o kilka cali.

- Cofnij czar, a odejdziemy! – usłyszałam głos Yndirmarie. – Błagamy! /akurat ;) /

W końcu nadszedł czas na nasze wycofanie się. Keledy nagle drgnął i powiódł przerażonym wzrokiem po otoczeniu.

- Co się...

- Potem ci opowiemy. A teraz ruchy, zanim mu się odwidzi.

Postąpiliśmy zgodnie z rozkazem. Grupka po grupce popędziliśmy dolinką, przeleźliśmy przez zagradzający drogę pień i wąskim przejściem zagłębiliśmy się w las. Dopiero tam wszyscy się zatrzymaliśmy.

- Ale chyba nadal nie mamy tych kryształków – rzucił jeden z elfów imieniem Tsuna, ale Meriadoc z hirdu uśmiechnął się tylko.

- Hugin mówił o czterech, tak? – rzucił na wszystkich baczne spojrzenie o treści „gdzie polazła Yndirmarie?”.

- Chyba tak.

- My mamy ponad dziesięć.

Wracaliśmy, podobnie jak rankiem, w szampańskich nastrojach, choć co chwila oglądaliśmy się wstecz, mimo wszystko obawiając się zasadzki. Nie poszły w las opowieści zesłańców o czających się w okolicy bandytach, ale czegoż tu się lękać, gdy idzie się wśród tak potężnych wojów? Wkrótce więc zaczęły się rozmowy, a potem nawet śpiewy.

W tym momencie Tsuna, Noxis i Einar z zapalem rozprawiali o tożsamości tajemniczego Księżyca z dolinki, a Ivar, kapłan Herby współpracujący z hirdem, opowiadał mi o mocy, którą wyczuł rankiem przy jezioru driad. Na końcu pochodu, kilka kroków za nami, szła Yndir, obserwując brzegi doliny i wysforowujących się na czoło Fiordyjczyków. Nawet tu dochodziły nas słowa ich pieśni.

- Ulf! – krzyknął nagle Durgh, jakby coś sobie przypominając. – Ulf, na moc Toledy! O kurcze, kapłani nie powinni tak szastać imionami bogów. Co się, u licha, stało?

I wtedy zrozumiałam. Każdy zrozumiał. Piętnaście metrów.

- Yndir, przyspiesz! Ratuj ich!

Faktycznie, tylko nagłe zerwanie się do biegu uratowało dwójkę męźnych, fiordyjskich wojowników. Upadli wprawdzie, ale nie zabrzmiał upiorny huk. Stracili przytomność. Szczęście w nieszczęściu.

- Kapłana! – ten wrzask przyspieszył jeszcze mój krok. Padłam na kolana przy Ulfie, podczas gdy Ivar i Durgh przywracali zdrowie i przytomność Meriadocowi.

- Pani, daj mu wrócić do nas – szepnęłam, wyciągając dłoń nad leżącym. – Giore til langs, Silva, rekke hem evne. Daj mu siłę.

Drgnął, by po chwili otworzyć swoje ciemne oczy i złapać się za głowę.

- Nie odchódź od nas – powiedziałam, zarówno w sensie dosłownym, jak i w przenośni. Dowódca rozpromienił się, próbując wstać.

Jakiś kwadrans później dotarliśmy do obozu, gdzie oddaliśmy Yndir wszystkie... cztery kryształki. Nie wiem, czy bezpiecznym było wiedzieć, co stało się z pozostałymi, więc nie wypytywałam się o nie bardziej, niż powinnam. Później tylko doszły nas słuchy, że Ulf próbował sprzedać kamienie Huginowi, ale o całej sprawie dowiedziała się straż i przejęła towary. Z tej akcji jednak tylko jedna rzecz była pewna. Ulf wylądował w karcerze. Znowu.

Jakby tych wszystkich nieszczęść było mało, po wieczery gruchnęła prawdziwie grobowa wieść.

- Chcą nas zabić – padło, gdy zebraliśmy się na zalesionym zboczu za głównym obozem, z dala od oczu strażników. – Cały czas mówią o rozkazie, który przyszedł „z samej góry”. Nie dożyjemy jutrzejszej północy.

- Ale co możemy zrobić? – zapytał jeden z „kajdaniarzy”. – Nie damy rady nawet myśleć o buncie.

Po tych słowach, jakby na potwierdzenie swej tezy, pomknął w krzaki.

- Możemy mieć dwa sposoby ucieczki – powiedział Olaf, jeden z więźniów-założycieli obozu. Był roslým Tryntyjczykiem o głowie na karku, co wielu z nas niemal natychmiast do niego przekonało. – Po pierwsze, możemy zwać w lasy, to znaczy my, zesłańcy, możemy zwać w lasy. Ale wtedy i tak Wergundowie w końcu nas znajdą i wybiją. Potrzebujemy większej liczby uciekinierów, a jeśli będzie nas wystarczająco, będziemy mogli nawet przejąć obóz tak, że nie ujdzie świadek.

- Nie uczynimy nic, a na pewno nie podniesiemy broni, zanim nie odkryjemy, jak to działa – to Keledy potrząsnął swą lewą ręką.

- Jest jeszcze coś. Było tu kiedyś kilku magów, którzy ponoć badali tę rzecz. Wydobyliśmy trochę informacji o tamtych zdarzeniach.

Wszyscy zgodnie zamieniliśmy się w słuch.

- W obozie funkcjonuje pole magiczne, podobne do tego przy wisiorach strażników. Coś musi je kontrolować.

- Chyba wiem, co – rozległ się głos o dobrze znanym mi akcencie.

Jak jeden mąż, spojrzeliśmy na ubranego w zielone spodnie i brązową koszulę elfa o złotych lokach, który teraz wstał, by przemawiać.

- To Onfis – szepnął mi ktoś do ucha, a mój rodak odezwał się tym samym tonem, który przywołał mi na myśl znamienitszych spośród mieszkańców Puszczy:

- Zaciekała mnie sprawa nie tego, co kontroluje bransolety, ale kto. Jestem niemal pewny, że to kapłanka Gertruda, która co wieczór tańczy przed posągiem Modwita i przypuszczam, że jednocześnie wlewa ona moc w wasze ozdóbki na drodze jakiegoś rytuału. To możliwe?

- A i owszem, rytuały zwykle niosą przecież w sobie potężną energię. Gertruda jednak nie może przelewać mocy w coś, co jest daleko, więc... Jasny gwint! Tam przy posągu zapewne jest przedmiot, który kontroluje bransolety i utrzymuje w obozie pole magiczne. Jeśli go zniszczymy, lub chociaż zablokujemy...

Nikt prócz Lily i mnie nie spostrzegł naszego towarzysza, Valrasa wymykającego się w krzaki. My zaś nie miałyśmy chęci tego nagłaśniać, w końcu tego wieczora wymiotowali prawie wszyscy.

- Równie dobrze możemy wtedy wszyscy wybuchnąć – kontynuowano rozmowę.

- Nie mamy innego wyjścia, jak próba. To nasza jedyna szansa, a bez uwolnienia się od bransolet, nie mamy nawet, co myśleć o oswojeniu obozu i przeżyciu.

- Potrzeba do tego rytuału blokującego – spokojnym głosem odezwał się Durgh. – Ale wątpię, byśmy sami dali sobie radę. Nie możemy być pewni, czy bogowie udzielą nam swojej mocy, a skoro Modwit wspomaga swoją wyznawczynię...

- Spróbować nie zaszkodzi.

- Hej, patrzcie, co mam!

Nasz uciekinier, Valras, wyłonił się z gąszczy rozpromieniony, jak małe dziecko. Kiedy się zbliżył, wszyscy spostrzegliśmy leżącą na jego dłoni zielonkawą kulę emanującą potężną mocą i dziwnym światłem.

- Skąd ty...? – zaczął Olaf, ale Onfis natychmiast mu przerwał.

- Odłóż to natychmiast pod posąg, chyba że chcesz nas wszystkich pozabijać! Raz dwa, lecisz! Pomyślałeś, że być może razem z tą kulką przeniosłeś także to pole magiczne?! Jeśli ktoś właśnie był przy granicy obozu...

- To już go nie ma – smętnie dodał winowajca.

- Zmykaj, ale już!

Właśnie w tym momencie stojący na czujce Zak, przybysz z północy, krzyknął umówione hasło, fragment zasłyszanej dziś od Hugina krasnoludzkiej opowieści:

- I wtedy wziął ten sekator i ciach!

- Ciach, ciach! – chórem odpowiedziała mu reszta, a nasz „złodziej” czmychnął w stronę halli.

- A mógł urwać – kontynuował Durgh – i byłoby dobrze.

- Ale nie urwał – uśmiechnął się Einar – i jest źle.

Strażnicy przeszli obok nas i jestem pewna, że gdybym mogła zobaczyć ich twarze, ujrzałabym na nich uśmieшки politowania.

- Kajdaniarze i kapłani zesłańców, do dekuriona!

Co, u licha? W końcu nas nakryli, czy nie? Może zauważyli zniknięcie kuli? Nie, wtedy pewnie wzywałiby cały obóz. Nie mogąc wymyślić nic konkretnego, zwlokłam się z ziemi i poprawiając na ramieniu torbę z medykamentami, zmówiłam modlitwę o bezpieczną noc. Wkrótce, ramię w ramię z Nike od zesłańców oraz Durghiem i Tsuną z naszego transportu, ruszyłam w stronę halli. Zastaliśmy tam już spory tłumek i samego komendanta żywiłowo gestykulującego podczas rozmowy z Meriadociem.

- Co się stało? – zapytałam Lily, którą szybkie nogi przywiodły tu nieco wcześniej.

- Dekurionowi zaginęła żona...

- Jakkolwiek to nie brzmi – wtrącił Vey, który, jak typowy banita, nigdy nie przestrzegał zasad dobrego wychowania.

- Podobno często chodziła nad jakieś jezioro w lesie – ciągnęła elfka – ale dotąd zawsze wracała. Dziś wszystko się zmieniło.

- Powinien jej lepiej pilnować – uśmiechnął się wygnaniec. Mimo wyraźnych podtekstów tej wypowiedzi nie skomentowałam jej. Wkrótce ustawiliśmy się w jako taki szyk i ruszyliśmy na spotkanie pogrążonego w mroku lasu.

Idąc traktem wiodącym przez gąszcz, powtarzałam wyuczone słowa z Aenthil. Obok mnie Nike z Iwarem mamrotała modlitwy do Herby, a Durgh prosił o wsparcie Toledy. Z samego marszu niewiele pamiętam, jedynie strach i złowrogię moce, których obecność dookoła była niemal namacalna.

- Silvo, Hernie, opiekunowie lasu! Wspierajcie nas w tej trudnej godzinie...

- Pani Równowagi, dokoła noc ciemna i tylko światło wiary może ją rozświetlić – brzmiał tak dobrze mi znany, męski głos.

- Herbo, wiem, że lubisz tych, którzy pachną miętą...

No tak, Ivar i jego ekscentryczne modlitwy. Ledwie powstrzymałam się od parsknięcia śmiechem, gdy kontynuował błaganie bogów w swoim, niezastąpionym stylu. Wzniosłam oczy ku niebu, spoglądając na lśniące nam nad głowami gwiazdy, tak inne od tych widzianych nad Puszcza. Księżyc, wąski rogalik, rzucał na drogę jedynie nikły blask. Zdecydowano się rozpaścić pochodnie.

Po raz pierwszy w swym krótkim, nieco ponad stuletnim życiu, bałam się lasu. To nie był już Aenthil, ale tryntyjski bór pełen ruin i zamieszkujących je plugastw. Gdy drzewa przesłoniły księżyc, badawczo spojrzałam na idących obok mnie kapłanów, Nike i Durgha.

- Spokojnie – rzekł mężczyzna, a ja zarumieniłam się pod jego niemal ojcowskim wzrokiem. – Nie lękaj się nocy.

- Nie nocy się boję, panie. Nigdy jednak do tej pory nawet nie widziałam walki, jedynie te dzisiejsze potyczki – powiedziałam, czując, jak mój głos drży ze strachu.

- Chciałbym być w takiej sytuacji, jak ty, elfko. Pragnąłbym być nieskalanym krwią cywilem bez obowiązku zabijania tych, którzy zaburzają Równowagę. Bogini jednak wybrała mnie do innego zadania, innej, równie wielkiej misji. Czyń to, co każą ci niebiosy, a i one będą ci sprzyjać. W bitwie zaś trzymaj się za nami i lecz każdego, kto upadnie.

- Brzmi tak prosto...

- I będzie proste. Tylko się nie bój. Pamiętaj, że bogowie wspierają swoich wyznawców.

Zaufaj im.

Szliśmy już długo i choć droga była prosta, raz czy dwa byłam zmuszona pociągnąć ze swej manierki. Kiedy więc doszliśmy, tylko Noxis dziękował niebiosom głośniejszą ode mnie.

Dekurion, dość pewny siebie, powiodł nas prosto w gąszcz, aż znaleźliśmy się nad niewielkim jeziorkiem pograżonym w całkowitych ciemnościach, którego woda cichutko pluskała o brzeg. Tam komendant zaczął nawoływać żonę, lecz przez dłuższy czas odpowiadało mu tylko echo.

- Tu jestem – zabrzmiało w końcu, a w kręgu światła rzucanego przez pochodnie pojawiła się kobieta. Nie wyglądała ani na zmęczoną, ani tym bardziej na ranną, więc ucieszyliśmy się z nieodległego w czasie powrotu do obozu. Jedynie kilkoro z nas nie dowierzało, że wszystko poszło tak łatwo.

- Kochanie, co ty tu robisz? – pytał tymczasem Wergund. – Czemu nic nie powiedziałaś? Wracajmy do domu.

- Nie pójdę bez naszej córki.

Na kilka sekund zapadła cisza przerywana tylko złowrogim szmerem liści i cichym chlupotaniem wody w pobliskim jeziorku.

- Ale przecież – wyjąkał wreszcie dekurion. – Przecież my nie mamy dzieci.

Po naszych plecach przebiegły ciarki, ktoś głośno syknął, a natura, jakby chcąc zaprzeczyć słowom żołnierza, sprawiła, że gdzieś w mroku jeszcze głośniejszą zachlupotała woda, potem groźnie zaszeleściły gałęzie, a na końcu rozległ się piskliwy głos należący najwyraźniej do jakiegoś małego dziecka:

- Mama, mama!

Wojownicy nie namyślali się długo i natychmiast unieśli broń, a my, kapłani, stanęliśmy za ich szeregiem, gotowi do wypowiedzenia modlitw i ochronnych błogosławieństw. W tym właśnie momencie obok matki pojawiła się córka.

Najpierw widać było tylko jej rękę, okropną, pokrytą obrzydliwymi liszajami i uzbrojoną w długie szpony. Potem dostrzegliśmy bladą jak kość twarz dziewczynki i oblepiające ją czarne, mokre włosy, nieco rozczochrane, opadające grubymi strakami. Sama brunetka była bardzo młoda, nie mogła liczyć sobie więcej niż trzynaście, czternaście wiosen, choć wyglądała na jakieś dziesięć. Mimo to każdy z nas wiedział, że walka, do której musiało dojść, nie będzie łatwa. Mała stanęła obok żony dekuriona z cichym mamrotaniem na ustach.

W końcu obie kobiety uniosły ręce, a potem, naraz, skoczyły na całą naszą grupę z wibrującym w uszach wizgiem. Pierwsi ranni upadli na ziemię, a reszta, chroniąc ich i nas, leczących, otoczyła nas ciasnym kręgiem.

W takiej walce ciężko było się nie wycofywać, zwłaszcza, gdy obie topielice, bo tak zdążyliśmy je już nazwać, walczyły bok w bok. Krok za krokiem więc brnęliśmy w gąszcz, co chwila wykrzykując modlitwy. Wojownicy odpowiadali nam swymi bojowymi zawołaniami.

Wydawało się, że nasze szanse drastycznie maleją. Weszliśmy teraz w zarośla pokrzyw, matka atakowała nas z przodu, a córka zniknęła gdzieś po lewej stronie. Nawet mój elfi wzrok nie mógł odróżnić jej od wyrastających tam drzew i krzewów.

- Uwaga, szarżuje! – wydarł się ktoś, gdy ujrzałam przeskakujący obok mnie cień i padającą od uderzenia Nike. Elfka krzyknęła jeszcze, lecz szereg cofnął się, widać jej nie dostrzegając. Wiedziała, że leżącej kapłanki tak się nie zostawia, trzeba było do niej dojść. Tarczownicy znowu

się cofnęli, a ja zostałam na lewym skrzydle niemal bez ochrony. Zdażę czy nie zdażę? Z sercem walącym jak młot podbiegłam do towarzyszek.

- Pani mądra i dobra, ratuj tę elfkę, tę służebnicę niebios! Zalecz jej ranę! Giore til langs, Silva, heilbrigi hem!

Nie widziałam już, jak Nike podniosła się i pomknęła za szereg. Nie mogłam tego zobaczyć, bo sama pobiegłam tam pierwsza, potykając się na leśnej ściółce. Nie spodziewałam się, że gdy tylko dotrę do wojowników, czeka mnie tam kolejny rozkaz.

- Znaleźliśmy jamę! Kapłani i cywile do środka!

Posłusznie wgramoliłam się więc do małej groty przypominającej norę sporego ssaka. Na podłodze leżało tu igliwie i... na bogów, świece? Tak, to faktycznie świeca, a do tego chyba jeszcze kartka papieru!

- Na ogień Wejana! – wydarł się ledwie mieszczący się tu Noxis. – Na papierze jest portret tej dziewczynki!

- Nie gadajcie, tylko to niszczyć! – usłyszeliśmy z zewnątrz. – Rozwalić w drobny mak!

Nie było czasu na rytuał, czy choćby egzorcyzm, który zresztą, jak po walce powiedział mi Durgh, wcale na topielice nie działał. Do środka jak wichur wpadła całkowicie zdrowa już Nike i zaczęła niszczyć norę w sposób jak najbardziej naturalny, po prostu kopniakami. W końcu któryś z nas podarł kartkę z portretem, a na zewnątrz zrobiło się nienaturalnie cicho.

- Rozwalone – z uciechą w głosie zawołała stojąca obok mnie kapłanka Herby. – Zabiliśmy tego potwora!

Nie wiedziała, że za te słowa jeszcze tej nocy będzie musiała przebłagać swoją panią.

Wyszliśmy z tej przeklętej „kapliczki” niemal natychmiast, zajmując się nielicznymi rannymi. Dekurion klęczał tuż przy żonie, która niestety, gdy tylko zniszczono kapliczkę, padła martwa. Dziewczynce nikt się nie przyglądał, pragnąc, żeby jak najszybciej opuścić to miejsce. Wkrótce naszym życzeniom stało się zadość. Wróciliśmy do obozu.

Jeszcze w drodze z zapalem dyskutowaliśmy o tym, co właściwie spotkaliśmy. Nasi łowcy potworów upierali się, że stworzenia, z którymi przyszło nam walczyć, nie mogły być topielcami, lecz prawdopodobnie ofiarami jakiejś klątwy.

- Topielce nie wychodzą z wody nocami innymi, jak te przy nowiu – mówił Tsuna tonem znawcy. – To stworzenia, które nie mówią i nie oddalają się od zbiornika wodnego. To, co widzieliśmy, na pewno mówiło, chodziło i odeszło na więcej niż kilka kroków od wody. Wystarczy? Ofiary klątw zaś zwykle są tworzone na drodze rytuału, co sprawia, że jeśli odczynić ten rytuał, lub zniszczyć przedmiot, dzięki któremu stworzono potwora, klątwa traci swą moc.

- Brzmi znajomo – rzekłam cicho. Na te słowa Tsuna uśmiechnął się przyjaźnie, a ja instynktownie poczułam, że jeszcze nieraz znajdziemy w sobie nawzajem pomoc i oparcie. Faktycznie, tak miało być.

Po powrocie nie mieliśmy sił ani czasu na jakiegokolwiek knucie. Nie myśleliśmy nawet o buncie, co może na dobre wyszło naszym żołądkom. Poszliśmy spać szybko, bo gdy pojawiliśmy się przy ognisku, do końca naszej warty pozostał zaledwie kilka pacierzy. W końcu, po dniu pełnym wrażeń, wreszcie udaliśmy się na zasłużony odpoczynek. Byłam tak wykończona, że nic mi się nie śniło.

Ranek trzynastego dnia po przesileniu miał okazać się dla wielu z nas bardzo ważny. Wiadomości od zesłańców były pomyślne, poprzedniego dnia zdołali oni przerzucić do obozu broń i, choć zostali nieco poranieni przez napotkanego kotołaka, teraz chwalili się nam swoim wyczynem.

Niedługo po porannym apelu i śniadaniu, gdy wszyscy zaczęli już szykować się do wyjścia, złożyłam mej Pani ofiarę z zebranych wczoraj po drodze szyszek. Potęga bogów wypełniła mnie od stóp do głów, a na mej twarzy zagościła radość. Kiedy pojawiłam się w halli wraz z resztą kajdaniarzy, aż biła ode mnie łaska Wielkiej Silvy. Tego dnia wszystko po prostu musiało się udać.

Tak, jak poprzednim razem, podzielono nas na dwie grupy, z których jedna udała się na poszukiwanie jakichś ruin, a my, czyli druga, miała zaczekać na idącego z minami Hugina. Jakież było nasze zdziwienie, gdy krasnolud pojawił się w obozie jedynie z dużą skrzynką i z informacją, że ładunki przyniesie za chwilę jego pomocnik, gnom Mały.

- Ufam mu całkowicie. Jest zdolny i niesamowicie sprytny. To, czego inni nauczyliby się w dziesięć lat, on umiał po roku. Spokojnie, patrzyłem mu na ręce i wiem, że się nie pomylił. Zresztą, w razie pomyłki byłoby słychać wybuch.

Część z nas roześmiała się, lecz inni rzucili się po słomę do wymoszczenia skrzynki. W końcu Mały wpakował się do karczmy z pierwszym ładunkiem, który Hugin, ostrożnie jak jajo, włożył na swoje miejsce.

- Ładunki są wysoce niestabilne. Niech was bogowie bronią używać wokół nich magii, bo nie będzie nawet, czego z was zbierać.

- A jaki zasięg mają miny?

- Jeśli wybuchną ot tak, na wolnej przestrzeni... Piętnaście, dwadzieścia metrów.

Nie wiem, czy Hugin miał świadomość, że jego słowa były dla nas praktycznie wyrokiem śmierci.

- Piętnaście, tak? – ze zrezygnowaniem upewnił się Ulf. Odpowiedziało mu uznane za zgodę milczenie.

Mijały minuty, a Mały wciąż nie pokazywał się z drugim ładunkiem.

- No co on tam tyle robi? Nie krzyknę mu, żeby się pospieszył, bo gotów mi jeszcze zacząć żonglować tymi minami, ale, do licha! Ileż zajmuje droga z warsztatu do karczmy?! Mi zawsze do oberży idzie się błyskawicznie...

- Idzie! – krzyknął ktoś w końcu, a my zrobiliśmy gnomowi szpaler do skrzynki, gdzie krasnolud odebrał od niego ładunek i polecił iść po ostatni. Tym razem Małemu poszło szybciej, więc już wkrótce wyruszyliśmy w drogę. Na początku skrzynkę chwycił Ulf oraz Meriadoc, więc ruszyliśmy różnym, choć z konieczności nieco zbyt płynnym krokiem.

Na miejsce, zbocze góry Lisianka, dotarliśmy w skwarze, jakiego nie powstydziałaby się Południowa Puszcza. Nie tylko ja piłam dziś z moich zapasów, bo wielu z naszych po długim marszu także pilnie potrzebowało wody. Kiedy Mały zaczął rozmieszczać na zboczu gwoździe, a część z nas porządkować miejsce wokół nich, wszyscy dziękowaliśmy bogom za cień. Po dłuższej chwili pierwsze stanowisko było rozstawione i gdy Hugin ze swym pomocnikiem zakładali ładunki, my ukryliśmy się za drzewami. Kiedy zdrowo huknęło i wreszcie pozwolono nam wyjść, zabraliśmy się za przeszukiwanie okolicznego terenu.

- Czego właściwie szukamy? – zapytał któryś z nas.

- Naprawdę to nie wiem, czego – roześmiał się krasnolud. – Wszystkiego, co tu nie pasuje. Nie wiem, co każe Wergundom tu kopać, ale jestem pewien jednego: nie ma tu złota ni srebra, ani też żadnych kruszców, które przydałyby się Imperium. Tylko ta skała mnie ciekawi. Nigdy dotychczas takiej nie widziałem. Spójrz, Noxis, mój bracie z Shamarothu! Widzisz? Wygląda jak wapień, ale uwierz mi, jest twarda niczym granit. Dlatego potrzebne mi były te cholerne ładunki.

Wkrótce rozbiliśmy kolejne stanowisko, ale i tam po wybuchach nie znaleźliśmy nic, co mogłoby się nam przydać albo przynajmniej wydać niezwykle. Któryś z członków hirtu wskazał za to Ulfowi czającą się za krzewami zakapturzoną postać.

- Mamy towarzystwo – szepnął nasz dowódca, gdy Mały zabrał się za mocowanie ostatnich kabli i ładunków. Skała była tu tak blisko, że gwoździe trzeba było ustawić nań we wzorek, który minierzy szumnie nazwali „diamentem”.

I tym razem ukryliśmy się za drzewami, przyciskając głowy do ziemi i zatykając uszy. Kiedy huknęło, a Hugin pozwolił nam wyjść, wszyscy zajęliśmy się szukaniem czegoś niezwyklego.

- Ej, jak coś znajdziemy, chowamy i opychamy w obozie – powiedział bodajże Einar. Niestety, nie dosłyszała tego najbardziej zainteresowana osoba, Noxis.

- Hej, Hugin! Strażniczko Yndir! Mam coś!

To mówiąc, wyciągnął wysoko rękę z białym, stożkowatym kamieniem przypominającym gigantyczny kolec ozdobiony spiralnym wzorem.

- Oddaj – poleciła Yndirmarie, a krasnolud, chcąc, nie chcąc, musiał wykonać nakaz. W tym momencie zza krzaków wyłoniła się obserwująca nas postać.

Była raczej wysoka, o głowę wyższa od najwyższych z więźniów i, co najdziwniejsze, nawet w taki upał zakapturzona. Jej szary płaszcz ukazywał niewiele, ale i to było na tyle dziwne, by porządnie mnie przestraszyć. Dłonie nieznanego pokrywały łuski, które w żadnym wypadku nie wyglądały jak rękawice. Co najdziwniejsze, kiedy istota nakazała Yndir się zbliżyć i wzięła od niej kamień, okazało się, że jej twarz wygląda tak samo, jak dłonie.

Strażniczka oddała kamień posłusznie, jak małe dziecko, a gdy to uczyniła, jakiś nieznaną czar sprawił, że upadła na ziemię, tracąc przytomność. Gdy tylko stwór odszedł, część z nas rzuciła się, by ją cucić, a druga przystanęła, wpatrzona w gąszcz, gdzie zniknęła przerażająca poczwara. Nikt z nas nawet nie myślał o pogoni, przede wszystkim dlatego, że bez Yndir nie mogliśmy oddalić się za potworem.

W obozie znaleźliśmy się z miną niesprawiedliwie obitych psów, lecz mimo to natychmiast przystąpiliśmy do działania na innym, dużo ważniejszym froncie. Trzeba było przecież zorganizować bunt, a z trzydziestką więźniów przeciw dwudziestce zorganizowanych żołnierzy ciężko było cokolwiek ugrać. Poza tym, oczywiście, brakowało broni.

- Musimy ułożyć odpowiedni rytuał – westchnął Durgh, gdy zasiedliśmy na naszej „łączce knucia”. – Musimy użyć słów na blokadę energii, czyli sperre evne, ale też powinniśmy prosić bogów o ochronę.

- Et baskytte selv av Modwit, może być? – zapytał schodzący do nas Ivar. – Chronicie nas przed Modwitem.

- Może być – powiedziałam równocześnie z wysłannikiem Toledy. Wkrótce na skrawku papieru zanotowałam formułę, której miałam się nauczyć.

Gdy do obozu przybyła druga grupa, jej członkowie podzielili się z nami jeszcze kilkoma nowinami. Po pierwsze, czego większość z nas nie dowiedziała się poprzedniego ranka, orkiem w klatce, który popełnił samobójstwo pierwszego dnia o świcie, był sam Gotrek Moorgvrangvoohir, słynny wódz swego plemienia wślawiony zawartym przed laty paktem krwi z Elmerykiem, władcą Wergundii. Jego śmierć paradoksalnie mogła nam pomóc, bo wódz przekazał swą ostatnią wolę jednemu z zesłańców, elfowi Onfisowi, co sprawiło, że górskie plemię nieco nam zaufało. Mogło ono też, w razie odbicia obozu, okazać się cennymi sojusznikami.

- A cóż zdziałaliście dziś, przyjaciele? – zagadnął Onfisa i Olafa Ulf.

- I tu się zdziwicie, panowie. Mamy coś, co przyda się do dzisiejszego rytuału na kulce. Z niemałym wysiłkiem odebraliśmy dziś kamień, który w swej opiece ma nasz sędzia Rega. Jest to katalizator zaklęć, zwiększa rezultaty i zmniejsza koszt każdego czaru czy modlitwy.

- Każdego... – aż się zająknęłam.

- Dokładnie, elfko.

Knuliśmy tak jeszcze przez chwilę, lecz były to bardziej sprawy wojskowe, do których nie mnie było się mieszać. Mimo wszystko wkrótce poczułam się niedobrze i ledwie dałam radę o własnych siłach dojść do namiotu. Wkrótce odwiedziła mnie w nim trójka kapłanów, Nike, Durgh i Noxis.

- Masz spisane modlitwy na rytuał? – zapytał mnie ten drugi.

- Oczywiście, a co? Czyżby coś się stało? Potrzebujecie ich?

- Chodź z nami. Razem musimy coś ugadać.

Ruszyliśmy w stronę obozu, wspierając się wzajemnie, by nie upaść, tak bardzo kręciło nam się w głowach. Kiedy w końcu ustaliliśmy najważniejsze sprawy i bezpieczną zmianę formuły „chron przed Modwitem” na „chron przed złem”, mężczyźni udali się do dowództwa obozu, by prosić o pozwolenie na modły u stóp posągu. Ja natomiast przysiadłam na wiodących na plac schodach, obserwując spacerującego wśród namiotów Zaka.

Właściwie nazywał się on Zak'Revan, ale większość wołała go po imieniu albo wręcz po przydomkach, których miał całkiem sporo. Zachariasz czy Zak'rystian to tylko przykłady wariacji na temat miana naszego towarzysza.

Już od pierwszego dnia Zak nie wydawał mi się podobny reszcie osadzonych tu więźniów. Był spokojny, potulny władzy, a nadto na siłę szukał wśród nas znajomych. Z początku nawet go lubiłam, więc zyskałam jego zaufanie i czasem zamieniałam z nim kilka słów o mojej czy też jego przeszłości. Pierwszego dnia mówiłam w większości ja, drugiego to on się rozgadał. Właśnie wtedy, gdy spoglądałam na niego ze schodów, podszedł do mnie i sam z siebie zaczął opowiadać, skąd przybył.

- Pewnie wyda ci się to mało wiarygodne, ale pochodzę aż zza Wielkiej Zmarzliny – rzekł, nieco się rozmarzając. – Nasz kraj odgradzony jest od was morzem i górami, a moje plemię, Plemię Smoka, rzadko zapuszcza się na znane wam tereny. Mimo to jestem pewien, że wiemy wiele więcej, niż wy. Nawet teraz posiadam wiedzę, o jakiej możecie tylko śnić.

- Zak, co to za wiedza? Wiesz, że poszukujemy nawet najmniejszego strzępku informacji...

- Wy? Wy potrzebujecie? Tobie może bym pomógł, ale wam wszystkim? Wolę dbać o siebie niż o całą tę hałastrę. Ważniejsze jest dla mnie moje życie.

Ludzie w takich sytuacjach mówią, że „zagotowali”, a ja właśnie zrozumiałam, czemu tak to nazywają. Przez chwilę myślałam, że to za sprawą bransolety przed oczyma pojawiły mi się czerwone mroczki, a moje dłonie zacisnęły się w pięści.

- Zdradca – rzuciłam, błagając Panią, by chroniła mnie przed wybuchem gniewu. Zataczając się zarówno ze złości, jak i wyczerpania, odeszłam z miejsca spotkania i wślizgnęłam się do namiotu hirdu.

- Mamy problem – zakomunikowałam Ivarowi. – Zak chce nas zdradzić, wredny egoista.

Stało się. Wypowiedziałam magiczne słowa, wysypując towarzysza, ale, być może, ratując tajemnicę buntu. Stojący obok Ivara Einar spurpurowiał, a ja powtórzyłam to, co powiedział mi Zak'Revan. Chwilę później na zewnątrz rozległo się nawoływanie Durgha.

- Aerlinn, gdzie jesteś?

- Tu – odrzyknęłam, a na kwaterze pojawiła się wkrótce postać jasnowłosego kapłana. I jemu trzeba było wszystko powiedzieć.

- Dajcie mi pozwolenie, a wszystko wyciągnę z tego głąba – rzekł wysłannik Toledy tak groźnym tonem, że tylko głupi powiedziałby, że żartuje.

- Możesz sondować umysły?

- Z łaską Bogini i owszem. A nawet jeśli nie magią, to Zakon zna wiele innych metod, fakt, że nieco bardziej tradycyjnych, ale nie mniej skutecznych.

- Tortury?

Ostatnie słowo nie powinno być wypowiedziane. Mimo wszystko nigdy nie życzyłam nikomu cierpienia ani bólu. Kiedy więc Durgh zaczął zbierać się do wyjścia, poprosiłam go, by nie czynił Zakowi nic, co nie będzie konieczne. Zgodził się z uśmiechem.

- Jeńcy na plac! – zagrzmiało w tym momencie tak, że gdybym nie miała kapłana Rega po naszej stronie, stwierdziłabym, że to jeden z boskich grzmotów jego Pana.

- Co się stało? – szepnął do mnie któryś z członków hirdu, lecz wiedziałam tyle, co on. Wszyscy zgodnie ruszyliśmy na plac apelowy.

Jasny gwint, chciałam zakrzyknąć, gdy stanęłam w szeregu i właśnie zrozumiałam, co mam w ręce. Kartka z tekstem modlitwy, tym starym tekstem modlitwy, tym ze słowami „chroń nas przed Modwitem”. Jeśli którykolwiek z Wergundów zobaczyłby to w mojej ręce...

- Myślicie, więźniowie, że nie widzimy, że połowa z was od rana rzyga po całym obozie? Wydaje się wam, że jesteśmy tak głupi, że nie dostrzegamy, jak knujecie sobie na dolnej skarpie? Zak, powiedz mi, młodzieńcze, co wiesz o ich buncie.

Podniosłam wzrok na Zak'Revana. Wydawał się być tylko lekko zakłopotany, ale byłam pewna, że jeśli tylko na mnie spojrzy, mój wzrok wypali mu oczy. Miałam dość. Jak ziemia może znosić ciężar takich ludzi?!

- Zak – szepnęłam chyba tylko do siebie. – Zak, jeśli chcesz zginąć z naszych rąk, mów, ale wtedy nie liczyłabym na jakąkolwiek przyjaźń z kimkolwiek stąd.

- Niewiele wiem – odezwał się przybysz z północy. – Przy mnie tylko mówiono o buncie i przrzucaniu broni do obozu.

- Broni? To robi się coraz ciekawsze. Hej, żołnierze! Niech ze dwóch zostanie tu przy więźniach, a my zajmiemy się przeszukiwaniem namiotów! Broń, powiadasz...

Zamarłam. Niewielu z nas wprawdzie widziało, co kryje się na dole, pod stertą siana, ale jeśli strażnicy cokolwiek by zauważyli... Widziałam, jak Ulf posłał Zakowi mordercze spojrzenie.

Znaleźli niewiele, ale za to dali mi potrzebny czas. Gdy bowiem większość strażników gmerała po namiotach, udało mi się porwać kartkę z modlitwami na drobne kawałeczki i wetknąć je pod moją bransoletę. Uśmiechnęłam się wtedy, ale na krótko, bo zaraz na plac wparadował dekurion, Yndir i chyba jeszcze jeden z żołnierzy imieniem Roderyk.

- Znaleźliśmy to – powiedział ten ostatni, wyciągając przed siebie coś, co wszyscy poznaliśmy. Grot od strzały i dwie flaszki, w tym jedna z czerwonym płynem w środku. Elikسير leczący.

- Kto się przyznaje do grotu, zakazanej prawem wódki księżycowej i tego oto eliksiru? Zapadła napięta cisza.

- To nasza księżycówka – usłyszałam przyciszony głos Ulfa. – Grot za to musiał spaść w trakcie transportu.

Złapałam się za głowę, zastanawiając się, czy nie powinnam się przyznać. Może to uratowałoby dowództwo... I wtedy przypomniałam sobie o rytuale. Każdy kapłan i kapłanka był ważny. Nie mogliśmy stracić nawet jednego z wysłanników bogów.

- Przyznaję się do wszystkiego – usłyszałam nagle znajomy głos. Kronikarz Aleksander okazał więcej odwagi niż cała reszta wojów.

- Do wszystkiego?

- Przecież każdy z nas wie, że strażnicy muszą znaleźć sobie kozła ofiarnego. Mówię więc, przyznaję się do wszystkiego.

Odetchnęłam z ulgą, ale przecież Wergundowie nie byli aż tak głupi, jak wyglądali.

- W którym namiocie mieszkasz, skrybo?

- W ostatnim, panie. O co chodzi?

- Flaszkę i eliksir znaleziono w innych namiotach! Nie próbuj wyprowadzać w pole wergundzkiej armii! A teraz za tę nędzną próbę oszustwa reszta ustawia się w dwuszeregu i odlicza do sześciu!

Przeliczyłam szereg. Dużo tych szóstek. Co każą nam robić?

Kiedy odliczyliśmy, miałam numer pięć. Obok mnie ktoś z grupy „szóstek” z nerwów przygryzał wargi.

- Jedyńki do karceru! Jeśli nikt się nie przyzna, będziemy wsadzać dalej!

- A nie lepiej od razu wieszać? – to swoje trzy akwiry do rozmowy dorzuciła Yndir.

- Wieszać będziemy, jak braknie miejsca.

Dalszej części tej rozmowy już nie słyszałam. Zobaczyłam bowiem, kto poszedł do karceru. Pierwszą osobą wsadzoną za kratki była Nike. Kapłanka. Już po nas.

- Straciliśmy kapłankę – szepnęłam do tyłu.

- Widzę. Musimy coś zrobić.

Jednak nawet mimo takiego postanowienia nikt nie przyznał się do znalezionych przez Wergundów rzeczy. Strażnicy trzymali nas jeszcze chwilę w niepewności, ale potem dekurion, którego imię, Egon, poznałam dopiero tego dnia, skinął na stojącego pod hallą Hugina.

- Przynajmniej się na coś przydacie – krzyknął krasnolud. – Zaraz przyniosę wam kocioł pefen kamieni. Będziecie, jak w tej bajeczce, przesiewać je i wyszukiwać podobne do tych, które wskażę.

Jęknęliśmy krótko, ale nie mogliśmy już na nic narzekać. Nike rzuciła nam z karceru pocieszające spojrzenie.

Praca była długa i mozolna, ale w końcu przyniosła efekty. Kiedy jedna czwarta kotła leżała przesiana, strażnicy widać nacieszyli się naszym trudem i odesłali nas do namiotów. Natychmiast spaliłam w okolicy kwatery tę feralną kartkę, potem w mym leśnym zakątku zaniosiłam do Wielkiej Silvy kilka błagalnych modlitw, a na końcu powtórzyłam wyuczone na rytuał słowa. Gdy zesłam na naszą łączkę knucia, zastałam tam już po osobie czy dwóch z każdego namiotu, co utwierdziło mnie w przekonaniu, że zasłyszane w czasie modlitwy plotki o naradzie nie były pozbawione sensu.

- Damy radę w tylu kapłanów? – zapytałam prosto z mostu.

- Damy, a poza tym Nike może jeszcze wyjść. Wiesz, ilu nas tu jest?

Noxis wybrany przedstawicielem swojego namiotu? Uważajcie, bo uwierzę. No oczywiście, krasnolud musiał znaleźć się tu sam, nieproszony.

- Nie wiem – odpowiedziałam zgodnie z prawdą. – Jestem ja, Durgh, ty, kapłan Skogura...

- Hogar, tak ma na imię.

- Masz rację. Jest jeszcze Ivar...

- I sędzia Rega, no i Nike, jeśli stamtąd wyjdzie.

- Faktycznie, sporo nas. Wszyscy zdążyli już złożyć ofiary?

Przebywający na łączce kapłani uśmiechnęli się z politowaniem.

- Jesteśmy gotowi – powiedział Durgh. – Czekamy tylko na Onfisa, który idzie uspić tę kapłankę, by nie przeszkadzała nam w rytuale. Na razie i tak jest jeszcze za wcześnie.

Faktycznie, było wcześnie. Słońce nawet nie zaczęło chować się za górami, strażnicy byli czujni, a rytuał mieliśmy odprawić dopiero koło ósmej wieczór.

- Na pewno mamy pozwolenie na modły w okolicy posągu? – upewnił się Ivar.

- Tak, pytałem się dowództwa kilka razy i za każdym otrzymywałem zgodę. Jedynym problemem może być ewentualna więź między kapłanką, a jej kulką.

- Nawet tak nie mów, Durgh. Będzie smacznie spała.

- Lepiej przewidywać najgorsze niż najlepsze.

W tym momencie wstał Olaf.

- Przekażcie w swych namiotach wieści, że jeśli tylko odczarujecie te piekielne bransolety, trzeba je natychmiast zdjąć. Gdyby zaś cokolwiek się nie powiodło, macie uciekać w lasy, na północ. Tam pytajcie o Miedzianobrodego.

Skinęliśmy smutno, ale, jak już ktoś mówił, nie dopuszczaliśmy do siebie myśli o tym, że coś może nie wyjść. Kiedy opuściliśmy łąkę, z rozkazu Ulfa udałam się w stronę halli, by podsłuchać ewentualne rozmowy strażników.

Szczyście, Wergundów nie zobaczyłam. Nawet przy karcerze nie było nikogo, co oczywiście nie znaczyło, że mogę ot tak, hop siup uwolnić więźniów. Kiedy na samą myśl zakręciło mi się w głowie, spojrzałam na siedzącą nieopodal klatki postać. Natychmiast rozpoznałam Aleksandra, a potem jego cichy głos. Śpiewający skryba? O niebiosia!

- *Piękne Talsojanki dają za wianki,*

*Za kwiaty zaś Liryzyjki,
Zaś nasze ślicznoty
Dają z ochoty,
Bo lubią to Tryntyjki!*

Czego, jak czego, ale takiego tekstu się nie spodziewałam. Nieco zarumieniona oddaliłam się w głąb obozu, zostawiając kronikarza sam na sam ze swoimi słuchaczami. Pozbawiona ważnych wiadomości wróciłam do naszego dowództwa.

Dochodziłam właśnie do swego namiotu, gdy usłyszałam radosne krzyki dochodzące od strony placu. Chwilę później, podskakując ze szczęścia, na ścieżce między kwaterami pojawiła się Nike.

- Zwolnili was! – krzyknęłam, ciesząc się razem z kapłanką. – Mam nadzieję, że pamiętasz jeszcze modlitwę do rytuału.

- Pamiętam, pamiętam. „Prosimy cię, w tym miejscu wpisz dowolnego boga, zablokuj tę energię i chroń nas ode złego”. Oczywiście, to wszystko słowami mocy.

Uśmiechnęłam się.

- Tylko pamiętaj, baskytte, a nie baskette.

- I nie Hebra tylko Herba. Tak, wiem. Jestem gotowa.

- To się chwali, drogie panie – usłyszałyśmy zza siebie głos Durgha. – Kapłanka zasnęła. Już czas.

Zaczął boleć mnie brzuch, ale nie miało to żadnego związku z noszoną na ręce bransoletą. Błyskawicznie wyjęłam z torby bandażę, które założyłam na prawy nadgarstek, by mieć je gotowe do użytku jak najszybciej, a w myślach po raz ostatni powtórzyłam nie tylko modlitwę na rytuał, ale też, a może przede wszystkim, błaganie o uleczenie. Wiedziałam, że najczęściej powtarzać będę właśnie tę modlitwę.

- O Wielka Silvo, wspieraj nas – wyszeptałam, gdy z resztą kapłanów udałam się na plac, gdzie poświęciliśmy wodę do oczyszczenia ołtarza. Potem, ledwie idąc z lęku i z nerwów, podążyłam w stronę posągu Modwita. Pocieszało mnie tylko jedno, Onfis miał stać w okolicy i w razie czego chronić nas przez wrogimi ostrzami.

- Bogowie, władcy światów! – zakrzyknął natychmiast Durgh, unosząc dłonie w błagalnym geście. – Za pomocą tej uświęconej wody oczyśćcie to miejsce i obdarzcie łaską ten święty obrzęd. Wspierajcie nas!

- Wspierajcie nas – powtórzyliśmy jak echo, padając na ziemię i przygotowanymi wcześniej ostrymi kamieniami wydrapując w gruncie święte symbole bóstw. Noxis wspomógł nas swymi runami.

- Kapłanie Rega, złóż bogom ofiarę.

Dziś nie pamiętam już imienia tego męznego sługi bogów, choć wiem, że powinnam, bo wiele uczynił on dla dobra naszego i tego, które jest od nas o wiele większe. Dość, że młody człowiek w obszernych, ciemnych szatach nagle wyciągnął zza poły płaszcza spory kryształ, przez którego przeświecało światło zachodzącego słońca. Uniósł kamień wysoko, po czym położył go na postumencie przed posągiem, tuż nad miejscem ukrycia kapłańskiej kuli.

- O bogowie, uczynicie dzięki temu przedmiotowi nasze zaklęcia jeszcze potężniejszymi, byśmy, już jako wolni ludzie – dodał nieco ciszej – mogli oddawać wam cześć i chwałę, sławiąc Wasze imiona!

- Błagamy was, bogowie, osłaniajcie nas w tej tak ważnej dla nas godzinie! Niechaj wasza moc zablokuje potęgę zła, niech chroni nas od wszelkiego, co mogłoby nam zaszkodzić. Chronicie nas, jeszcze raz prosimy!

Gdy po kapłanie Rega i wezwaniu Durgha do modlitwy nadszedł czas na zanoszenie osobistych prośb, pierwszym przemawiającym okazał się Noxis. No, chłopie, pokaż, na co cię stać!

- Wejanie! – wrzasnął, aż zatrzęsł się posąg Modwita. – Żarze Nieugaszony, Płomieniu Wieczny! Spal dziś zło, zniszcz je w zarodku, a nas ocal od klęski. Wlej nam w serca ogień odwagi, Panie!

- Herbo, pani wielka i mądra, Protektorko Życia! – kontynuował Ivar. – Chron nas dziś, jak i w poprzednich dniach to czyniłaś, chron przed złem, strzeż od niebezpieczeństwa! Pamiętaj o nas, swoich wyznawcach! Polecam się na przyszłość.

Nikt tym razem się nie roześmiał, gdy ekscentryczny wysłannik Pani Ziół skończył mówić. Po nim natomiast odezwała się jego siostra w wierze, Nike.

- Pani, błagamy cię! Ty codziennie stajesz nad nami i chronisz nas. Osłaniaj nas od złego i dziś! *Baskytte selv!*

- Silvo, Pani Lasu! – zawołałam, gdy przyszła moja kolej. – Opiekunko elfów i wszelkich leśnych stworzeń! Ty osłaniasz zwierzę przed myśliwymi i dajesz mu odwagę do walki z tym, który mu zagraża. Daj nam i dziś ochronę i odwagę! Osłoń nas od ran i śmierci, a jeśli odejdziemy do Twego domu, przyjmij nas, Pani, niczym dobra Matka! Ciebie wychwalamy i błagamy o pomoc!

Gdy skończyłam, spjrzałam na stojącego obok mnie Durgha słynącego z potężnego głosu i pokrzepiających modlitw. Teraz to on miał przemawiać.

- Toledo, o Pani Równowagi! Wysłuchaj nas dziś, bo Twój lud wzywa Cię w wielkiej potrzebie! Choć w kajdanach, wciąż wysławiamy Twe imię i oczekujemy zesłania na ten padół łez Twojej mocy! Ty prowadzisz swoje sługi ścieżką Równowagi, nie daj nam zejść z niej tego dnia! Naszą ręką wymaż wszelkie zło i zepsucie! Wesprzyj i wspomóż nas, bo walczymy w imię Równowagi, która została zachwiana! Przywróć ją, o wielka Pani, a nam udziel swej mocy, by zakończyć to, co zostało rozpoczęte! Daj siłę i moc! Daj odwagę i rozpal serca płomieniem wiary! Przez nas zwyciężaj!

Zakończył efektownym okrzykiem, który faktycznie musiał być słyszany nawet przez bogów w ich niebieskich pałacach. Kiedy więc swoje prośby zanieśli pozostali dwaj kapłani poświęceni Regowi i Skogurowi, żaden z nich nie mógł równać się z potęgą modlitwy zakonnika Toledy. Hogar, sługa Skogura, zakończył nasze błagania, a po jego słowach my wszyscy unieśliśmy dłonie nad kryształem i wypowiedzieliśmy zdanie, które miało nam dać tyleż korzyści, co osłabienia:

- *Giore til langs Wejan, Herba, Silva, Toleda, Skogur et Reg, sperre evne et baskytte selv av odne! O bogowie, zablokujcie tę energię i chroncie nas od wszelkiego zła!*

Opuściliśmy dłonie, teraz modląc się w ciszy. Zwykle medytacja trwała co najmniej kilka minut, lecz nie tego dnia.

- Kto śmiał ruszać kulkę?! – dobiegł nas wrzask, który natychmiast rozpozналиśmy. Kapłanka Gertruda pędziła ku nam z grymasem wściekłości na ustach.

- Do jasnej... Ona miała spać! – zawołał kapłan Skogura, ale ktoś natychmiast mu przerwał.

- Hogar, bierz katalizator – krzyknął któryś z nas, gdy cała reszta puściła się biegiem w kierunku placu. Ledwie zemknęliśmy w dół, gdy kawał ziemi za nami oderwał się na skutek jakiegoś zaklęcia naszej potężnej przeciwniczki. Na całe szczęście, na placu spostrzegliśmy wbiegający na ubitą ziemię jeden z naszych oddziałów.

- Część naszych jest na dole – usłyszałam tylko, zanim dostrzegłam lśniące stalą miecze strażników wpadających na plac za wojami. Cofnęliśmy się ku schodom i zejściu w stronę namiotów, mając nadzieję, że połączymy się tam z naszą drugą zbrojną grupą. W moim umyśle brzmiały już tylko słowa zaklęcia leczącego.

W tym momencie jednak moje marzenia błyskawicznie się rozwiały. Kilkoro strażników rzuciło się w naszą stronę z dziką szarżą, co dla nas, cywilów, było jednoznacznym sygnałem do ucieczki. Gdy zbiegałam ze schodów, poczułam tylko pęd powietrza za mijającym mnie ocale ostrzem i już miałam dziękować niebiosom za ocalenie, gdy plecy przeszył mi straszliwy ból. Aż dziw

bierze, że dałam jeszcze radę zrobić krok czy dwa, nim ciało odmówiło mi posłuszeństwa i bezwładnie upadłam na ziemię.

Przez chwilę, jak przez mgłę, widziałam jeszcze, co się dzieje. Obok mnie leżało kilkoro innych rannych, a pył podnosił się spod stóp walczących, drapiąc i dusząc wysuszone gardło. Po chwili zobaczyłam też dookoła inny kolor, czerwony. Barwę mojej krwi.

Jak przywrócono mnie zdrowiu, nie pamiętam. Wiem jedynie, że pierwszym, co usłyszałam po wyjściu z ciemności, był głos Durgha błagającego Toledę o uzdrowienie mnie. Widać to właśnie imię Bogini przywróciło mi świadomość. Gdy kaszlnęłam, kapłan pomógł mi zwlec się z ziemi i, jak to w naszej profesji bywa, pomknął w kierunku kolejnych rannych.

- *Rekke meg evne* – przywróć mi, o Pani, siły – wyszeptałam na wpół świdomie, zanim odzyskałam moc na tyle, by spełniać swój obowiązek ratowania innych. Podbiegłam do leżących na ziemi ciał, nawet nie patrząc, kogo leczę. To wszystko wykonywałam jak w transie: sprawdzenie pulsu, oddechu, zakłęcie, puls, oddech, modlitwa.

- Tsuna! – krzyknęłam mimo wszystko, gdy niedaleko ujrzałam leżącego towarzysza. Nie widziałam dokładnie jego rany, tak szybko wymówiłam najważniejsze tego dnia słowa: *heilbrigi hem*.

- Dzięki – wykrztusił, lecz ja szybko go uciszyłam:

- Milcz, a jeśli dziękujesz, to nie mnie, a Bogini.

Potem odbiegłam.

Walka toczyła się już na samym placu, gdy znów zawołano mnie w kierunku namiotów.

- Wciąż mamy tu rannych! – krzyknął bodajże Zak, który wypadł obok mnie z mieczem, co samo w sobie było dziwne, że obdarowano go brakującym nawet doświadczonym wojom orężem i, o dziwo po naszej stronie, rzucił się w wir walki. Niezbadane są wyroki boskie, pomyślałam, dopadając do leżących w kałuży krwi kilku gołowąsów z kwatery Durgha.

- Pani, ulecz ich, daj im życie! *Nadig Silva, heilbrigi hem!*

Wstawali szybko, jakby moja Pani własną osobą stanęła przed nimi. Kiedy więc spełniłam swoją misję między namiotami, bitwa na głównym placu i skarpie wciąż trwała.

- Panowałam nad nim, ale teraz straciłam kontrolę! – usłyszałam rozpaczliwy wrzask, o zgrozo, kapłanki Modwita, a za nią wrywającego się na wolność najprawdziwszego demona. Instynktownie cofnęłam się, gdy obok mnie przeleciała ogromna kula ognia.

Dopiero po chwili mogłam lepiej przyjrzeć się temu piekielnemu pomiotowi. Miał pokrytych czarno-czerwoną skórą sześć rąk, każdą uzbrojoną w potężne szpony, a dodatkowo ział ogniem i co rusz rzucał w nas jakimś czarami. Zdarzało się też, że szarżował, raniąc swych przeciwników krótkimi, ale niesamowicie ostrymi rogami i pazurami. Wielu padło, próbując się mu przeciwstawić, zanim udało się odeprzeć go ze skarpy i przejścia między namiotami.

Lecząc broczącego z rany na piersi Hogara, zrozumiałam, że niewiele mocy już we mnie zostało. Postanawiając od tej pory zużywać trochę więcej bandaży niż zakłęcia, popędziłam przez usłaną rannymi skarpe. Mimo woli zastanawiałam się, ilu z nich nie wróci już do zdrowia.

Opatrzyłam ze dwóch czy trzech męźnych śmiałków, zanim dotarłam pod posąg, przy którym jeszcze niedawno odprawialiśmy potężny rytuał. Dopiero teraz zrozumiałam, że wciąż mam na sobie feralną bransoletę. Jęknąwszy cicho, zdjęłam ją i odrzuciłam w krzaki.

Wtedy właśnie zauważyłam Onfisa. Leżał kilka stóp za posągiem, w kałuży własnej krwi, z co najmniej trzema ranami ciętymi, w tym jedną wyglądającą wręcz makabrycznie i sikającą krwią na całe otoczenie. To właśnie to cięcie na szyi sprawiło, że przez chwilę myślałam, jak niewielkie mam szanse, aby przywrócić mego rodaka zdrowiu. Mimo wszystko, gdy dotknęłam jego twarzy, wyczułam delikatny puls. Wymówiłam zakłęcie, wiedząc, że nie ma tu, co zwlekać, że każde uderzenie elfiego serca może być ostatnim.

- *Heilbrigi hem!* – niemal wrzasnęłam. – *Giore til langs, Silva, heilbrigi hem!*

- Dasz radę? – usłyszałam cichy, dziwnie eteryczny głos.

- Czy ja dam radę? Choćby to miał być mój ostatni czar, dam, w imię Bogini! *Heilbrigi hem et rekke hem evne!*

Po tej modlitwie istotnie, zatoczyłam się niebezpiecznie, ale nie moją misją było siedzenie i użalanie się nad brakiem mocy. Pomogę tyłu, ilu zdołam, choćby kosztem własnego zdrowia!

Kolejne trzy rany związałam bandażami, co nieco poprawiło moje przypuszczenia o szybkim braku mocy i boskiej łaski. Walka całkowicie przeniosła się już na plac, gdzie dostrzegłam Durgha i Ivara, tego pierwszego klęczącego przy jakimś ciele nieopodal ogniska, a drugiego wyszarpującego miecz z pochwy leżącego na ziemi Wergunda. Każde ostrze było cenne, dobrze o tym wiedziałam. Oręż kolejnego strażnika także wytracony z ręki właściciela poszybował z placu w dół, pod stromą i niebezpieczną skarpe, a jako że wciąż byłam jeszcze na schodach i nie zdążyłam włączyć się w pomaganie rannym u góry, wróciłam się po to ostrze.

Zaiste, dziwnie musiałam wyglądać, idąc po schodach z ogromnym dwuręcznym mieczem w rękę. Za mną szedł Aleksander, cały we krwi, ale chyba nie swojej, bo uśmiechał się z wiarą w zwycięstwo. Podałam oręż najbliższemu potrzebującemu, po czym zabrałam się już za moją właściwą pracę. Wtedy właśnie zachlviałam się po raz kolejny.

- Aleksander, wracaj do tyłu – krzyknęłam. – Bandaże i moc mi się kończy, nie wiem, czy zdołam cię uleczyć!

- Ale dekurion padł!

- Wracaj do tyłu, mówiłam! Chwila! Że co?! Deku... Na święte gaje Aenthil!

Faktycznie, gdy znalazłam chwilę, by rozejrzeć się po placu, ujrzałam leżącego bez ruchu Egona, a nieopodal niego także Roderyka, jego pomocnika.

- Gdzie demon? – zapytałam, chcąc być pewna, gdzie podziała się reszta przeciwników.

- Zniknął – otrzymałam jednak enigmatyczną i wcale nie poprawiającą humoru odpowiedź. Ledwie stojąc na nogach, rzuciłam się w wir leczenia.

- Kończy mi się moc! Bandaży już nie mam – zakomunikowałam, dotykając krwawiącego ramienia Tsuny, który przed chwilą w brawurowej obronie stawiał czoła samej Yndirmarie. Teraz Wergundkę otaczała mniej więcej połowa z nas, podczas gdy druga część starała się obezwładnić wciąż szalejącą kapłankę Gertrudę.

Yndir zagnano na skarpe, wiedząc, że stamtąd nie znajdzie już drogi ucieczki.

- Poddaj się – nawoływano, gdy mimo zdrowej kalkulacji wciąż stawiała naszym skuteczny opór. Więcej z rozmowy Ulfa, bo to chyba on podszedł do strażniczki, nie słyszałam, ledwie dając radę ustać na nogach. Widząc, że Yndirmarie ostatecznie oddaje broń, przysiadłam na najmniej zakrwawionej ławce przy ognisku. Mniej więcej w tym samym momencie na ziemi znalazła się także kapłanka Modwita.

W tym miejscu, niestety, zdam się na relację kogoś innego, bo mój stan niewiele pozwalał mi widzieć z niesamowitych scen, które rozegrały się później. Wydarzenia te opisywał ofirski kronikarz, mój znajomy, Aleksander Marlowe.

„Bitwa jednak nie była jeszcze skończona. Gertruda, kapłanka Modwita, pojawiła się na polu walki, trzymając byłych więźniów na dystans czymś w rodzaju okutej metalą laski. Nie znam się na broniach, ale to mogła być długa buława. Ponoć jej magia już się wyczerpała, więc myśleliśmy, że będzie łatwym celem. Jak wielka była to pomyłka! Mistrzem fechtunku ona nie była, i szybko udało się ją powalić, jednak na tym powodzenie się skończyło. Wszelkie próby jej zabicia spełzyły na niczym. Żyła mimo setek ran, kilku prób odcięcia głowy i utraty krwi, która zabiłaby każdego innego, tak jakby sama śmierć wzbierała się przed przyjęciem jej do siebie. Nie dawały rady cięcia fiordyjskich mieczy, krasnoludzkich toporów ani nic, co nas niechybnie by pokonało. Wreszcie ktoś zrozumiał, że to magia musi utrzymywać przy życiu tę kobietę. Kazano przeszukać jej namiot.

Nie znaleziono tam wiele. Owszem, odnaleziono zapiski plugawych eksperymentów tej kapłanki, kilka listów i nieco biżuterii. W tym samym czasie Durgh zbadał myśli wysłanniczki Modwita, z których odczytał jeden jedyny obraz. Pierścień z okiem.”

- Kapłana! – ten krzyk przywrócił mi świadomość. Wciąż nieco nieprzytomnie się zataczając, ruszyłam ku wołającym, nie będąc pewna, co mnie tam czeka. Durgh spoglądał na coś leżącego na wielkiej tarczy trzymanej przez jednego z wojowników.

- Musimy to oczyścić – powiedział, a ja dostrzegłam tam niepozorny pierścionek, nawet nie sygnet ani amulet. Posłusznie jednak wyciągnęłam nad nim rękę i natychmiast wyczułam drgania piekielnych mocy.

- O bogowie – krzyknął kapłan Toledy, gdy sam wznosił nad przedmiotem swoje dłonie. – Oczyszćcie to plugastwo, odesłajcie zło w niebyt! Pani, przywróć tu Równowagę, niszcząc czary tego pierścienia i zabijając tę, która do drugiego świata dawno już powinna należeć! Oczyszć to!

- Oczyszć – chciałam powtórzyć, ale wyszedł mi z tego tylko niewyraźny jęk. Potem zaś nie pamiętałam już nic. Opowiadano mi, że nieprzytomna osunęłam się na kolana.

Obudziłam się chwilę później, siedząc na ławeczce przy ognisku otoczona przez kilku dawnych towarzyszy niewoli. Był tam Tsuna z uśmiechem gładzący rękojeść swego miecza i opowiadający o swej szarzy, której nawet nie zdołałam zobaczyć, a także Durgh wydający komuś dyspozycje, co do niedotykania plugawego pierścienia. Ktoś, mówiono, że Onfis, wsunął mi do torby zapiski kapłanki, więc mając zamiar oddać je komuś z dowództwa, chwiejnym krokiem ruszyłam na poszukiwania Ulfa.

- Mamy łupy zabrane nam kiedyś przez Wergundów – usłyszałam strzęp rozmowy.

- Dzielnie walczyłeś – kto inny mówił chyba do stojącego obok Zaka. Kawałek dalej zaś dwójka wartowników spoglądała na wciąż leżący na tarczy pierścień.

- O, kapłanka Silvy – uśmiechnął się Keledy. – Mogłabyś przez chwilę rzucić na to okiem i nie oddać nikomu?

- Jasne – odpowiedziałam z bladym uśmiechem. Tylko ja sama wiedziałam, ile kosztował mnie każdy krok czy grymas.

- Powinnaś odpoczywać – zabrzmiało nagle tuż obok mnie, gdy w tym miejscu zmaterializował się Durgh. Zaprawdę, strasznie musiałam być zmęczona, skoro nie usłyszałam odgłosu jego kroków.

- Wiem, ale kazano mi pilnować pierścienia.

- Spokojnie, zaraz go zniszczymy, a ty naprawdę potrzebujesz odpoczynku.

Chwył mnie pod rękę, bym mogła oprzeć się na jego ramieniu, a w drugą dłoń wziął tarczę wraz z leżącym na niej pierścieniem. Wkrótce własność kapłanki oddał komuś innemu, a mnie poprowadził w stronę halli. Kiedy zbliżyliśmy się do schodów, ujrzeliśmy leżącą tam Gertrudę wciąż otoczoną wianuszkami zbrojnych.

- Jeszcze dycha? – rzucił sługa Toledy, a gdy usłyszał potwierdzenie, krzyknął do trzymającego akurat tarczę z pierścieniem Veya:

- Niech reszta się odsunie, a potem wrzucicie to plugastwo do ognia! Tylko oczyszczająca moc płomieni może przywrócić światu ten pierścień i odesłać Gertrudę wprost do piekła!

Dziwne, że nikt nie zapytał się o zdanie Ulfa ani Keledy’ego. Wszyscy natychmiast odsunęli się od ognia, a po kolejnych sekundach w płomieniach zniknęła własność kapłanki. W tym momencie wysłanniczka Modwita krzyknęła dziko i padła, by nie wstać już nigdy więcej. Jej ciało, wraz z rzeczami znalezionymi w jej namiocie, spalono poza obozem.

- Zapomniałam ci podziękować – szepnęłam do Durgha, gdy kontynuował prowadzenie mnie w stronę halli.

- Podziękować? – teraz to on wyglądał, jakby właśnie przywrócono mu przytomność.

- Uratowałeś mi życie. Gdyby nie ty...

Nie skończyłam, mając nadzieję, że ton mojego głosu powie mu więcej niż słowa. Uśmiechnął się, jak wtedy przed walką z topielcem, tyle że teraz mniej po ojcowsku, a bardziej po bratersku. Znów, jak wtedy, nieco się zarumieniłam.

Po krótkim odpoczynku nasze nowe dowództwo stwierdziło, że koniec czasu niewoli trzeba jakoś uczcić, co większość powitała gromkimi okrzykami na cześć Ulfa i reszty. Wkrótce za radą hirdu, Keledy'ego i Olafa z wergundzkiej piwniczki wytoczono coś na regenerację sił po bitwie.

Wzniesiono pierwszy toast:

- Sława niepodległemu Tryntowi!

- Sława! Sława! Po trzykroć sława! – odwrzasnął tłum, by po chwili spełnić kielichy. Po mocnym winie na pusty i osłabiony żołądek poczułam się jak typowy elf, który bierze się za alkohol.

Chwilę później miejsce na ławie obok mnie zajął Noxis.

- Nienajlepiej wyglądasz, kapłanko – rzekł, patrząc, jak łapię się za głowę, starając się zogniskować wzrok.

- Bo czuję się nie najlepiej, przyjacielu. Bitwa strasznie mnie wycieńczyła.

- Żeby tylko bitwa. Jakbyś chciała stąd wyjść, powiedz, a odprowadzę cię na kwaterę.

- Dzięki, ale na razie nie potrzeba. Znając życie, zaraz ktoś tu podsumuje nasze dzisiejsze przejścia, a chciałabym przy tym być.

Miałam rację, bo już po kilku minutach Onfis wstał, streszczając dzisiejsze zdobycie katalizatora, po czym Ulf zabrał się za opowieść o znalezisku na Lisiance. Yndir, która jako jeniec niewiele miała do gadania, siedziała w kącie.

- Na Lisiance spotkaliśmy też dziwną osobistość. Nigdy wcześniej nie spotkaliśmy się z czymś takim...

- A wiecie, że to bzdura? – wtrąciła się teraz Wergundka. – Pobratymców tej istoty widzieliście, gdy w karczerze siedział Gotrek.

- To właśnie taki jaszczur namówił go do samobójstwa?

- Zwijcie ich, jak chcecie, ale to psionicy, elita naszej armii. Potężni magowie umysłu, których pracę widzieliście choćby po moim dzisiejszym zachowaniu. Róbcie, co chcecie z Wergundami, ale z jaszczurami nie zadzierajcie, jeśli chcecie przeżyć kolejne dni.

Tylko bardzo wprawne ucho mogło wychwycić w tym tonie nutę jakiegoś lęku, czy niepewności, więc siódemka elfów odwróciła się do Yndirmarie z pytaniem w oczach. Strażniczka jednak zignorowała to.

- Zostawcie psioników w spokoju. Co was oni obchodzą?

Teraz to my nie odpowiedzieliśmy.

CZEŚĆ II

Sojusze

Warta upłynęła nam spokojnie, podobnie jak i noc. Rankiem nie było już po mnie widać ani śladów bitwy, no może z wyjątkiem paskudnej blizny „zdobiącej” moje plecy, ani tego nieszczęsnego kufla wypitego na wieczornej uczcie. Wstałam rozpromieniona i gotowa do złożenia bogom ofiary w podzięce za poprzedni dzień. Był to czternasty dzień po przesileniu, według ludzkiego kalendarza szósty ranek miesiąca, w którym kwitną lipy.

Po złożeniu ofiary i udaniu się z całą resztą na śniadanie (całe szczęście już bez poprzedzającego je apelu) dowiedziałam się, co dowódcy zaplanowali nam na dzisiejszy dzień. Okazało się, że choć myśleliśmy, że z obozu nie uszedł świadek klęski, miało to jednak miejsce i prawdopodobnie następnego dnia w okolicach Silberbergu miały pojawić się oddziały pacyfikacyjne z czterech niedalekich twierdz. Każdy z nas wiedział, że sami nie damy im rady i że powinniśmy szukać sojuszników wśród okolicznych mieszkańców.

- Mówiłaś dziś przez sen – przerwała moje rozmyślenia Nike, podając mi skopek mleka.

- Tak? Faktycznie, miałam dziś dość niezwykły sen, ale wołałabym, by na razie nikt o tym nie wiedział. Tobie mogę powiedzieć, jesteś w końcu kapłanką, ale nikomu innemu. We śnie ukazał mi się Hern.

- Hern? Bożek...

- Bóg lasu, Wielki Łowczy, tak jest. Kazał nam dziś zawrzeć sojusz z driadami.

- Z driadami? To dość ciekawe, bo Ulf właśnie rozmawia o tym z Onfisem.

- Naprawdę?

Uciszyłam towarzyszkę i wsłuchałam się w fiordyjski akcent naszego dowódcy.

- Nie powinny jeszcze odejść, mimo że dziś mija już trzeci dzień, koniec terminu, który daliśmy im na opuszczenie swych domów. Pytanie, czy chcemy ich szukać.

- Powinniśmy – wtrąciłam się. – Zawsze jest to potężna pomoc, dobrze wiemy, jak driady znają las. Wystarczy kilka salw zza drzew, a pół centurii idzie się paść.

- Zawsze jest to wyjście, choć nie przeceniałbym możliwości driad. Mogą one także skłócić naszych ewentualnych sojuszników. Wyobrażasz sobie krasnoludy u boku dziwożon?

- Owszem, wyobrażam to sobie. Trzeba zjednoczyć wszelkie siły, nie patrząc na to, co nas dzieliło. My w tym obozie już tak zrobiliśmy i dlatego wczoraj odbiliśmy tę placówkę.

- Chwila, a driadom nie przeszkodzi sojusz z krasnalami? – odezwał się Onfis. – Jak przekonamy Lud Gór, by nie włąził między drzewa z toporami, nie sikał do świętych jezior i tym podobne?

- Przekonamy obie strony. Będziemy mieć las po swojej stronie.

Zamilkłam, podsłuchując rozmowę o reszcie sprzymierzeńców. Po wyprawach zesłańców do obozu orków i pewnego rodzaju uprzywilejowaniu Onfisa po rozmowach z ich przywódcami byli oni niemal pewnymi sojusznikami. Hugin, jako przedstawiciel krasnoludzkiego klanu Daramish, miał poinformować o naszym planie towarzyszy, a któryś z licznych informatorów powiedział nam, że w pobliżu znajdziemy także przedstawicieli tryntyjskich partyzantów, podobno nawet samego jarla Leifa Einarsona.

- Zbyt wiele mamy dziś do zrobienia, by iść wszyscy razem, jedną grupą – rzekł Meriadoc, podnosząc wzrok znad miski. – Zaraz po śniadaniu rozdzielimy broń i bandaże, a potem wyruszymy. Elfy i kapłan Skogura udadzą się do driad, a reszta zapięci się w lasy, by skontaktować się z Tryntyjczykami. Po południu czeka nas wyprawa do orków i próba namówienia Hugina, by skontaktował się ze swym klanem.

- Dużo pracy – westchnął Ulf.

- Ale chyba nie uważasz, że za dużo! Dla nas nie ma takiego określenia, jak „za dużo”!

Po tych słowach Meriadoc uśmiechnął się, jakby właśnie wygrał bitwę z całym wergundzkim tymentem. Mimo niedorzeczności tej radości zaraził nas nią i gdy kwadrans później, już po rozdzieleniu zapasów i broni między dwie grupy, zbieraliśmy się do wyjścia, wszyscy mieliśmy na twarzy taki sam wyraz.

Do driad szło nas całkiem sporo. Nawet nie spodziewałam się, że w obozie przebywa tyle elfów i elfek! Był więc Tsuna, który uprzemie ofiarował się osłaniać mnie rozdanym mu właśnie mieczem, była Nike o nieobecnych wzroku wciąż błagająca swą Panią o przebaczenie za wybryk z utopcem, wreszcie ze znanych mi osób była Lily przejmująca na czas tej wyprawy obowiązki dowódcy.

Oczywiście, jeśli szła z nami Lily, u jej boku kroczyć musiał Keledy, wierny towarzysz swej damy serca, a jeśli szliśmy przez las, towarzyszył nam także ludzki kapłan Skogura idący obok ściskającego krótkie ostrze Onfisa. Gdy mówić o elfach, ciężko nie wspomnieć także o Aarendilu, bo choć mieszkańcy Laro rzadko zapuszczają się w lasy, ten właśnie z nich był z nami, kiedy zdążyliśmy do obozowiska Cór Boru.

Szliśmy długo, tak długo, że zdawało nam się, że las nie sprzyjał tego dnia naszym zamiarom. Ufając jednak w zesłany mi przez Herna sen, podążałam dalej, uważnie obserwując ocieniające drogę zarośla i wiekowe drzewa.

- Nie wiem, czy nie zaszliśmy za daleko – wypowiedział na głos moje myśli Keledy, a Tsuna cicho mu przytaknął.

- Też mi się tak wydaje – rzuciłam. – Gdy szliśmy, minęliśmy ślady po drewnianym ogrodzeniu dawnego kamieniołomu, a gdy udawaliśmy się w te strony po raz pierwszy, to właśnie przy owym ogrodzeniu skręciliśmy w las.

- Jesteś pewna?

- Nie, ale bardziej pewna nie będę, chyba, że bogowie nagle objawią nam właściwą drogę.

- W sumie mogę spróbować – usłyszałam gdzieś z tyłów orszaku. Po chwili dochodziło nas już tylko mamrotanie słów mocy. Hogar mówił tak szybko, że z tej dziwnej mantry nie zdołałam wyłapać nawet charakterystycznego „*Giore til langs*”.

- Panie, wskaż nam drogę – mruknął na koniec mężczyzna, ale nie wiem, na ile się to zdało. Nie minęło kilka sekund, a nasz towarzysz bezsilnie opadł na kolana.

- Mdleje! – usłyszałam dziwnie piskliwy w momentach zagrożenia głos Nike. Podbiegłam do Hogara, wypowiadając już pierwszą część modlitwy.

- Potrzeba mu powietrza – krzyknęłam po zakończeniu błagania. – Odsuńcie się wszyscy! Kiedy wreszcie kapłan drgnął, nie wyglądał najlepiej.

- Nie starałam się – wyszeptał słabym głosem. – Zawiodłem mego Pana.

- Twój Pan ci przebaczy, sługo Skogura. A teraz wstań i chodź z nami. Znajdziemy drogę w tradycyjny sposób.

Owszem, pewnym było, że szukanie drogi przy pomocy modlitwy byłoby łatwiejsze i mniej emocjonujące od przeczesywania gąszczu w poszukiwaniu choćby śladów świętego jeziorka. W końcu, gdy mieliśmy już dać za wygraną, a Tsuna coś przebąkiwał o powrocie, usłyszeliśmy dobrze już znany nam gwizd.

- Driady po przeciwnej stronie traktu – powiedziała Nike, obserwując Lily i Keledy’ego, którzy właśnie złożyli broń na ziemi i podnieśli dłonie w pokojowym geście.

- Ręce z dala od mieczy – usłyszeliśmy rozkaz Onfisa. Nikt nie śmiał sprzeciwić się temu postanowieniu.

- Po cóż przybyliście? – dobiegło nas tymczasem, gdy większość z nas starała się wrócić na trakt.

- Córy Lasu, nie musicie opuszczać swych domów.

- Nie musimy? A co zrobiliście z tymi, którzy chcieli odebrać nam nasze świętości? Przecież ta, którą zwaliliście Yndir, wciąż jest wśród was.

- Jest jeńcem wziętym podczas wczorajszej bitwy – wreszcie włączyłam się do rozmowy. Hernie, wspieraj, przemknęło mi przez myśl. – Najlepszym zaś świadectwem, że działamy z własnej woli, niechaj będzie to, że nie mamy już na sobie magicznych kajdan, znaku naszego zniewolenia.

- Więc mówicie, że nic nam już nie zagraża? Wojownicy z fortu odeszli w zaświaty, a na ich miejsce nie przybędą kolejni?

- W tym właśnie jest problem, że nie wygląda to tak kolorowo – wyprostował naszą opowieść Keledy. – Po odbiciu obozu na miejsce buntu zostaną wysłane liczne, nawet bardzo liczne oddziały pacyfikacyjne. Przejdą one przez wasze lasy, by to nas, jak to mówią ludzie, wyciąć w pień.

- Cóż mamy zrobić? Czy i nas obwinia o wywołanie buntu? Chyba nawet ludzie mają więcej rozumu.

- Nie obwinia was o to, to prawie pewne – uspokoiłam nimfy. – Problem w tym, że... potrzebujemy waszej pomocy. Sami nie wytrzymamy takiego naporu wroga, lecz jeśli... jeśli udałoby się odeprzeć szturm... Wtedy już nikt nie zagroziłby tym ziemiom, lasom ani waszym domom.

- *Masz las po swojej stronie* – usłyszałam ni to szept, ni to szmer.

- Wszyscy pragnęlibyśmy mieć las po swojej stronie – rzekłam głośno, a driada uśmiechnęła się, odgarniając za ucho swoje ciemne włosy i poprawiając maskę z pawich piór.

- Pomożemy wam – powiedziała ku mojemu wielkiemu zdziwieniu. – Wesprzemy was wspólnie z lasem i wszelkimi istotami, które staną z wami w sojuszu.

- Wszelkimi? Nawet krasnoludami?

- Nawet. Potrzebna nam jest jedność. Zaproście waszych sojuszników na wieczorną naradę w naszym świętym miejscu. Nie znajdziecie w tych górach spokojniejszej i lepiej chronionej lokalizacji.

- Więc przybędziemy – odezwał się Onfis – a jeśli bogowie dadzą, przywiedziemy ze sobą tych, których cel będzie zbieżny z naszym. Musimy pokonać Wergundów!

Twarz naszej rozmówczyni po raz kolejny rozjaśnił uśmiech.

- Pamiętajcie, macie las po swojej stronie.

- Dziękujemy. Dzięki składamy wam w imię bogów, którym i wy służycie.

Rozmowa była zakończona, a nimfa odeszła w gąszcz, śląc nam ostatnie spojrzenia. Wkrótce i na nas przyszła pora. Zwróciliśmy się w stronę obozu i ruszyliśmy w drogę.

Szliśmy, rozmawiając na wiele tematów, poczawszy od naszych historii sprzed dostania się w niewolę, a skończywszy na uzbrojeniu naszego oddziału.

- Niewiele mamy broni, aby opierać się Wergundom – rzucił Keledy, spoglądając na tych kilka mieczy, które przydzielono naszemu oddziałowi. Onfis prychnął niezadowolony.

- Razem z drugą grupą mamy jakieś kilkanaście sztuk oręża, a jeśli reszcie uda się znaleźć jarła, jest szansa, że Tryntyjczycy nieco nas dozbroją.

- Tryntyjczycy, jeśli się zgodzą na sojusz, będą mieli tu własne problemy. Wątpię, że użyczą nam swojej broni.

Wśluchiwałam się w to z pewną obawą, bo, choć przecież sama nie walczyłam, moje życie zależało od naszych zbrojnych. A skoro następnego dnia miała czekać nas bitwa... Ciężko było mi nawet o niej myśleć.

Kiedy wszystko się zaczęło, dróżka prowadząca nas zrobiła się dość wąska. Z lewej strony ograniczała ją skalista skarpa, z drugiej zaś gęste zarośla i, już nieco dalej, wiekowy las. Dlatego też nie ma, co się dziwić, że na widok siedzącego na trakcie samotnego człowieka domyśliliśmy się niebezpieczeństwa.

- Witajcie – uśmiechnął się brunet z zawadiacko zakręconą bródką.

- Witaj – cicho i jakby ostrożnie odpowiedział mu Keledy, a na jego słowa ci, którzy posiadali broń, mocniej uchwycili rękojeści swych mieczy. – Czego tu szukasz, wędrowcze? Zejdź z traktu i przepuść nas, z łaski swojej.

- Oddajcie oręż, a przejdziecie. Inaczej powybijamy was, co do nogi.

- Powiedział w liczbie mnogiej – zauważył Aarendil. – Przechlapane, jest ich więcej.

- Nie możemy oddać broni – trzeźwo oczywistą oczywistość podsumowała Nike.

- Chyba żartujesz – dużo głośniejszy odezwał się Onfis. – Nie złożymy naszych ostrzy. Zbyt wielką mają dla nas wagę. Kradnijcie sobie od Wergundów.

Niestety, co było niemal pewne, słowa naszego towarzysza nie spotkały się z uznaniem zagradzającego nam drogę osobnika. Szybko wstał, gwizdząc krótko, co sprawiło, że krzaki po obu stronach drogi niespokojnie się poruszyły. Za nami pojawił się współnik bruneta, a kolejni dwaj stanęli przy jego boku. Wszyscy wiedzieliśmy, że czeka nas walka, a nie byliśmy pewni czy przeciwników nie będzie więcej.

Potyczkę opiszę krótko, bo nie uśmiecha mi się tu mówić o tym, czego nie mogłam, bądź nie miałam odwagi uczynić. Kilku z naszych legło na trakcie, a bandyci odebrali im broń, po czym wycofali się w lasy. Nie zdążyłam uleczyć wszystkich w czasie walki, nie zdołałam przedrzeć się przez chroniący kapłanów pierścień, by dotrzeć do rannych, którzy zostali poza nim. Straciliśmy broń, najcenniejszą rzecz w naszym położeniu i, choć na szczęście rany nie okazały się poważne, byliśmy teraz w sytuacji, lekko mówiąc, nie najlepszej.

Wróciliśmy do obozu źli na siebie, przeklinając dzisiejszy dzień. Nikt nie pamiętał już o sojuszu z driadami, tylko o tym, co stało się później. Każdy miał tego dość. Na dodatek druga grupa wciąż nie wracała od ukrytych w lasach Tryntyjczyków, a oczekiwanie na nią z całą pewnością nie było przyjemne.

Wreszcie nadeszli. Wyglądali na wyczerpanych i równie złych jak my, co pozwoliło nam stwierdzić, że nie wszystko poszło tak, jak miało pójść. Na wspólnej naradzie byliśmy więc niemal wszyscy, bo każdy chciał dowiedzieć się, co udało się reszcie.

Okazało się, że zaczęło się nieciekawie, bo i tamtą grupę zaatakowali bandyci, także im odbierając nieco bezcennej broni. Tym razem nie udało się ich dogonić, zostawili po sobie zbyt wielu rannych, których trzeba było przywrócić zdrowiu.

- Potem zapuściliśmy się w lasy, by wkrótce dotrzeć do umówionego z „kontaktem” miejsca – swoje sprawozdanie kontynuował Ulf. – Ujrzelśmy tam samotnego wędrowca, którego zapytaliśmy o drogę na Minsterberg. Odpowiedział zgodnie z odzewem, którą drogę wolimy, kamienną czy gruntową, bo kamienna jest pewniejsza, ale gruntowa krótsza. Gdy usłyszał i nasze słowa, zaofiarował się zaprowadzić nas na miejsce spotkania z resztą Tryntyjczyków.

- Stosowali mnóstwo środków bezpieczeństwa, to trzeba przyznać – wtrącił Einar. – Kazali nam ustawić się w szeregi i tak, niczym więźniów, zaprowadzili nas przed oblicze jarła Leifa. Ten, jak to władca, zgrywał ważniaka.

- Trochę szacunku – przerwał Meriadoc. – Mimo wszystko to pan tych terenów, który wciąż o nie walczy. Miał prawo mówić, że nasz bunt był kompletnie nieprzygotowany i nie na rękę tryntyjskim partyzantom. Niestety, co najważniejsze, powiedział, że nas nie dozbroi, choć wesprze nas sojuszem i wojskiem.

- O broni powiedział za to coś innego – do mówienia wrócił Ulf, uciszając obu towarzyszy. – I ją, i złoto powinniśmy znaleźć w miejscu, które nazwał Trupim Jeziorkiem. Nie wiem, co to za jezioro, ale...

- Nie powinniście tam iść – rzuciła Yndir, która, jako znająca strategię Wergundów, była na każdej naszej naradzie. – Można powiedzieć, że słyszałam o tym miejscu, widziałam też tych, którzy zapuszczali się na tamtą stronę doliny w poszukiwaniu skarbów. Potem zaś z gęszczy wyciągano tylko ich ciała albo nawet fragmenty ciał. Nie idźcie tam.

- Ile sztuk broni mamy w tym momencie? – rozumnie odezwał się Onfis.

- Za mało, by stawić czoła choćby połowie centurii. A jeśli wysoce prawdopodobnym jest, że z czterech twierdz w kierunku naszym i naszych sojuszników wyruszy cztery do sześciu setek, to nasze uzbrojenie równie dobrze mogłyby stanowić kije. Miałyby taką samą siłę przebicia.

- Musimy zdobyć tę broń – rzekł Durgh. – A jeśli w jeziorku jest i złoto, można by było kupić za nie część uzbrojenia, jakieś tarcze i być może eliksiry leczące. Nie wiem, co drzemie w tamtych okolicach, ale Święta Potęga ochroni nas przed zakusami zła. Powinniśmy stawić czoła plugastwom uśpionym przy tym jeziorku.

- Ma rację – to Tsuna uśmiechnął się dziwnie. – I ja pójdę tam, choćby na śmierć. To nasza jedyna droga do zdobycia broni i tego, za co można ją kupić. Inaczej jutro nie mamy najmniejszych szans.

I tak właśnie zdecydowano o naszym postępowaniu tego dnia, a gdy tylko zjedliśmy obiad, wyruszyliśmy na spotkanie nieznanego. Tym razem także podzieliliśmy się na dwie grupy, zbyt mało czasu mieliśmy, by chodzić razem. Byłam wśród tej garstki śmiałków, która zdecydowała się na wyprawę nad jezioro, co pozwoliło mi ujrzeć sceny, o których później z chęcią napisałam w liście do przełożonej mojego Zgromadzenia. Ten właśnie dzień, szóste popołudnie miesiąca, w którym kwitną lipy, stał się czasem, kiedy bogowie oficjalnie zaczęli interweniować w naszą przygodę.

Zanim jeszcze wyruszyliśmy nad Trupie Jezioro, zaopatrzyliśmy się w spory zapas wody święconej, a Durgh, który miał nam towarzyszyć, przypomniał sobie egzorcyzmy, których uczono go na naukach w Zakonie. Kiedy więc wyszliśmy poza granice obozu, wszyscy spodziewaliśmy się spotkania z nieumarłymi i byliśmy przygotowani na nie najlepiej, jak tylko mogliśmy.

Jezioro mieściło się po przeciwnej stronie doliny, trochę bardziej na zachód, niż wcześniej przypuszczaliśmy. Dla bezpieczeństwa wzięliśmy za sobą także psa, ponieważ krążą legendy, że to zwierzęta szybciej wyczuwają piekielne moce. Suka nazywała się Birka i, jak mówili Wergundowie, nazwana była tak na „cześć przyszłych podbojów”. Mimo takiego miana i mi, i większości drużyny bardzo przypadła ona do serca.

Wreszcie weszliśmy w gąszcz, gdzie według wskazówek mieściło się jezioro. Przez chwilę nie mogliśmy znaleźć żadnych śladów, gdzie mogłoby leżeć, ale po dłuższej chwili stanęliśmy nad sporym, skalistym zagłębieniem wypełnionym wodą. Byliśmy u celu, ale teraz chyba każdy wołałby nigdy tu nie trafić. Nawet osoby niewładające mocą przeszły straszliwy lęk, niczym łyk lodowatej wody przemocą wlanej do ust.

- Cywile, dwóch zbrojnych i kapłan zostają u góry – zakomenderował Ulf, rozglądając się dookoła. – Reszta za mną.

Czoło pochodu niemal natychmiast odnalazło jakąś ścieżynkę czy też wnękę w skale, którą wojownicy i kapłani zdołali zejść na dół. Ja zaś, Aarendil i jeszcze kilku nieposiadających broni członków wyprawy zostałam, by przyglądać im się z góry.

Najpierw wszyscy zeszli nad samą wodę i przez chwilę przyglądali jej się niczym zakłęci. Potem Durgh, wyczuwający widać to, co w jezioru się kryło, wypowiedział kilka słów mocy, by oczyścić wodę z drzemiących tam piekielnych sił. Po tym przemówieniu każdy z kapłanów stojących tam na dole wykrzyczał swoją część inkantacji, a ja pomogłam im z góry, choć wiedziałam, że na niewiele się to zda. Modlitwy zwykle nie działają na odległość.

Gdy zakończono ostatnią część modłów, wody jeziora poruszyły się, jakby ktoś rzucił kamieniem w jego środek. W tym właśnie momencie na samym dnie pojawiła się pierwsza część zapowiadanych skarbów. Dość krótki, inkrustowany krwistymi rubinami miecz.

- Pójdę – krzyknął Tsuna, lecz większość z nas wiedziała, jak niebezpieczne jest to miejsce i ta głębina.

- Nie ty, przyjacielu – odezwał się ktoś inny ze stojących na brzegu.

- Ja – usłyszałam tak dobrze znany głos Durgha. – Bogini mnie osłoni nawet w piekielnych mrokach, a ja przypuszczam, że ma także powód, by żądać dla nas tego miecza.

- Idź więc – to któryś z dowódców wydał kapłanowi pozwolenie. Żałuję, że nie stałam gdzieś bliżej, by sprzeciwić się temu rozkazowi. Byłam pewna, że ta wyprawa nie skończy się dobrze.

I faktycznie, usłyszałam tylko krzyki w dole, kiedy Lily złapała Durgha i krzyknęła na stojącego obok Ivara.

- Trzymajcie go, egzorcyzmujcie, czy coś w tym stylu! Chyba widzicie, jaki wpływ ma na niego ta woda!

Kiedy kapłan Herby pochylił się nad wysłannikiem Toledy, Aarendil szturchnął mnie lekko.

- Spójrz – szepnął. – Po drugiej stronie jeziora, widzisz? Ktoś nas obserwuje.

Na samo słowo „obserwuje” przeszedł mnie dreszcz, a gdy ujrzałam zakapturzoną postać, byłam niemal pewna, że jest to ten tajemniczy jaszczur z Lisianki. Kiedy powoli zaczął okrążać jezioro, nam wszystkim serca podeszły do gardeł.

- Miecznicy na przód – chciał powiedzieć któryś z nas, ale dopiero teraz spostrzegł, że mamy tylko dwie bronie. Nie dalibyśmy rady nawet jednemu dobrze wyszkolonemu żołnierzowi.

- Mamy towarzystwo – przekazaliśmy na dół, gdy Durgh po kolejnych modłach z duszą na ramieniu wszedł do przeklętej wody. W rękach miał flaszki z wodą święconą, którą systematycznie wylewał do jeziora, lecz mimo to obawiałam się o to, co stanie się z moim druhem. Wreszcie sługa Toledy uniósł miecz, a w tym samym momencie u góry, po naszej lewej stronie trzasnęła gałązka. Problem w tym, że obserwująca nas postać była akurat po prawej.

- Wracajcie, jeśli możecie – krzyknęłam chyba nawet ja, bo wiedziałam, że bez wsparcia nie przeżyjemy tu długo. W tym momencie usłyszałam szelest gałęzi wprost za nami.

- Birka! – zawołałam, widząc pędzącą ku nam w podskokach sunię. Potem zaś, gdy zobaczyłam, kto szedł za nią, cała się rozpromieniłam. – Aleksander! Onfis! Jak nas znaleźliście?

- Bira nam pomogła. Od czasu jak wykapała się w świętym jezioru driad zmieniła chyba obywatelstwo z wergundzkiego na tryntyjskie.

W tym momencie także na dole wszystko dobiegło końca.

- Miecze z przodu i z tyłu, pilnować szyku i stąd wyłazimy! Nie będziemy czekać, aż coś się na nas rzuci! Raz, raz! Ruchy!

Gdy tylko zobaczyłam wychodzącego na skałę Durgha, przeraziłam się jego wyglądem. Był cały mokry, nie zdjął nawet lodowatych od wody ubrań, zarzucając na nie jedynie koc. Na dodatek, jakby nawet przyroda była przeciw nam, nagle zaczęło padać. Genialnie.

- Pilnujcie go – zwróciłam się do dwójki wojowników, na których ramionach wspierał się wyczerpany kapłan. Modlitwy kosztowały go wiele mocy, a i wejście do jeziora nie należało do łatwych spacerków. Teraz więc mój towarzysz, choć boję się to powiedzieć, niemal przypominał trupa. Spod przymkniętych powiek prawie nie wystawały źrenice, a blada twarz oblepiona mokrymi włosami sprawiała, że wyglądał jak topielec. Tylko ręce zdawały się żywe. Durgh cały czas zaciskał je na owym drogocennym mieczu.

- Trzymaj się – szepnęłam, kiedy znów znalazłam się obok wysłannika Toledy. Przestraszyłam się, gdy nie odpowiedział mi nawet ruchem głowy. Czułam, jakby to nie on szedł u mego boku.

- Pani, dodaj mu sił – powiedziałam, szykując się do wypowiedzenia inkantacji, lecz właśnie wtedy druh drgnął i gestem zakazał mi mówienia słowami mocy. Co tu jest grane?

Przyspieszyłam kroku, szukając osoby, której mogłabym się zwierzyć. Zwykle to do Durgha chodziłam z każdym problemem, ale teraz musiałam po prostu szukać oparcia w kimś innym. Zauważyłam idącego kilka szeregów dalej Tsunę.

- Co mu jest? – zapytałam prosto z mostu, wiedząc, że łowca potworów świetnie widział to, co działo się z kapłanem.

- Ten miecz... to nie powinno być w jego rękach – odrzekł elf. – Nie chciałem nic mówić, ale to ostrze należało kiedyś do moich przodków i tylko mój ród może bezpiecznie go używać. Obawiam się, że Durgha już opętało. Widziałaś, co na początku zrobiło z nim to jezioro.

Powiedział to tak spokojnie, że przez chwilę myślałam, że żartuje. Kiedy jednak odwróciłam się, by spojrzeć na słabnącego kapłana, zrozumiałam, że Tsuna mógł mieć rację. O bogowie! Przecież z osłabionym Durghiem każdy z kapłanów będzie słabszy! Na moc Silvy, to przecież on przewodził wszystkim rytuałom! Bez niego nie damy rady nawet w czas pokoju, a co dopiero w bitwie!

- A właśnie – zwróciłam się do idącego obok Aleksandra. – Co z orkami? Udało się? Staną z nami do boju przeciw Imperium?

- Staną. Przrzekli stawić się dziś na naradę u driad. Może jednak mamy w tej bitwie jakiegokolwiek szanse.

Biedny skryba nie wiedział, że właśnie powiedział coś kompletnie przeciwnego niż moje myśli.

Do obozu doszliśmy wykończeni i zmoknięci prawie tak, jak Durgh. Kapłan od razu poszedł się przebrać i wysuszyć, ale my nie mieliśmy tyle szczęścia. Zebrano nas na naradę, więc usiedliśmy przy palenisku w karczmie, susząc przemoczone buty i ubrania.

- Co z mieczem? – zapytał Tsuna, zanim wysłannik Toledy wślizgnął się do halli.

- No cóż... To nie jest nasza sprawa – odrzekł któryś z członków hirdy. – Załatwcie to między sobą, ale tak, by odbyło się to bez szkody dla ogółu.

- A cóż to właściwie za miecz?

W tym momencie do budynku wszedł Durgh.

- Ten miecz jest własnością Świętej Eklezji – powiedział, a w jego głosie brzmiał ten opisywany przez wielu fanatyzm jego współbraci. – Nazywamy go Ostrzem Równowagi i dlatego też używać będą go tylko Strażnicy Równowagi. Nikt inny nawet go nie dotknie.

- A że tu jest tylko jeden członek Zakonu Początku Świata... – wtrącił się Noxis, ale nie dokończył tego zdania. I tak wszyscy wiedzieli, o co chodzi.

W końcu sprawa miecza została zawieszona, bo i tak Durghowi nie chciano się narażać, a Tsunie jeszcze było miłe jego własne życie. Przeszliśmy do rzeczy ważniejszych, czyli potrzebnych nam sojuszków.

- Mamy już orków, Tryntyjczyków i driady. Przydałyby się jeszcze krasnoludy, byśmy mogli myśleć o jakichkolwiek szansach na odparcie ataku.

- Potrzebny jest nam więc Hugin, który skontaktowałby się ze swoim klanem – uśmiechnął się jedyny krasnolud w naszej drużynie.

- Widział ktoś gdzieś w ogóle Hugina?

- Wyjdzie pewnie dopiero, jak przeschną trakty. Zjedzmy coś, a potem zajmijmy się nim.

Wszyscy przytaknęli, a spod górnej bramy obozu rozległ się krzyk wartownika:

- Jarl przybył!

Przez dłuższy moment nie wiedzieliśmy, co robić. Nigdy nie widziałam tak słynnego przywódcy, no może poza księciem Adarnilem podczas ceremonii w Aenthil, więc naturalnym było, że nieco denerwowałam się na jego przybycie. W końcu, w obstawie dwójki żołnierzy, jarl wszedł do halli.

Pierwszy raz widziałam tego sławnego weterana spod Arden. Gdy podszedł do paleniska w karczmie, okazał się wysokim, dobrze zbudowanym mężczyzną o długich, jasnych włosach, przez co nieco przypominał mi jakiegoś północnego zbója czy bandytę. Jarl jednak ubrany był w zielonkawy strój partyzanta, na który narzucił chroniącą go od ciosów koleczugę. Wyglądał jak prawdziwy powstaniec i mylnym było pierwsze, nieco zbójckie wrażenie.

- Pamiętajcie, co mówiłem dziś rano – rzekł głośno, nawet nie marnując języka na powitanie. – Nam wszystkim potrzebna jest broń, którą kazałem wam zdobyć, a także mapa tutejszych okolic, którą zaraz powiem, jak zdobyć. Tylko będąc odpowiednio przygotowani...

- Po co się w ogóle przygotowywać – wtrąciła się Yndir, wymownie patrząc na jarla i nas. – Pewnie i tak Leif was zostawi, po czym ucieknie z pola bitwy.

Jarl wydawał się niewzruszony.

- A więc – kontynuował – mapę można zdobyć tylko u kartografki mieszkającej po drugiej stronie doliny. Nie wiem, za ile sprzeda wam największą sztabówkę tych okolic, ale tylko taka mapa będzie przydatna. Jutro czeka nas bitwa, musimy zaplanować, jak bronić się przed Wergundami, któredy się wycofywać...

- Wszak uciekanie to coś, na czym znasz się najlepiej, prawda?

Tym razem władca odwrócił się i chyba zamierzał coś powiedzieć, ale szybciej zza stołu wstał jeden z jego żołnierzy.

- Sam się nią zajmę – rzucił, zamierzając chyba wyrzucić Yndir z halli. Wergundka jednak nie była łatwym przeciwnikiem. Zanim rywale znów stanęli w pewnej odległości od siebie, padło kilka „ciepłych” słów, oraz parę ciosów.

- Sama wychodzę – rzuciła wreszcie wojowniczką. – Ani mi się śni słuchać kogoś, kto zostawił na polu bitwy swoją księżną!

I wyszła, specjalnie „zawadzając” jarla ramieniem. W jej oczach był gniew i pogarda, co na młodszego z tryntyjskich żołnierzy podziałało piorunująco. Popędził za strażniczką.

Sami znaleźliśmy się na zewnątrz chwilę później, gdy usłyszeliśmy dochodzące stamtąd przekleństwa. Ujrzelśmy tam naprawdę niecodzienną scenę, która jarla doprowadziła do szewskiej pasji. Wojownik wraz ze strażniczką wyglądali może zabawnie, gdy tak tarzali się po ziemi, gdyby nie to, że jarlowski podwładny walczył, by zabić. Miecze trzymane przez oboje przeciwników nie czyniły teraz wielkiej różnicy, walka szła na pięści i kolana.

- Znałeś rozkazy, żadnych burd! – wykrzyknął Leif. – W tym momencie odejdz od Wergundki!

Lecz żołnierz nie usłuchał.

- Nie będę wykonywał twoich rozkazów! – odwrzasnął, przetaczając się na plecy. Yndir zareagowała odruchowo.

W jednej chwili wyrwała swój miecz i przyłożyła go do gardła rywala, wymownie patrząc na jarla.

- Ja to zrobię – odezwał się jednak Tryntyjczyk, wyciągając z pochwy własny oręż. – Od Arden minęło wiele lat i przetrwałem tyle w tej puszczy tylko dzięki ludziom, którzy wiedzą, co to rozkaz. Przegralibyśmy i z pewnością przegramy, jeśli ja, któremu przypadła władza, pozwolę na łamanie rozkazów. Mamy warunki wojenne, a prawo wojny jest jasne. Za złamanie rozkazu każe się śmiercią.

Krąg gapiów, który już zdążył zebrać się przed hallą, westchnął cicho, a ja wstrzymałam oddech. Nie, chyba nie zrobisz tego własnemu żołnierzowi! Żaden dowódca nie...

- Na mocy władzy danej mi przez Rangveig na polach Arden, za niesubordynację w warunkach wojennych, skazuję ciebie, żołnierzu, na śmierć.

Po tych słowach miecz opadł.

Chciałam płakać, ale wiedziałam, że mi nie wolno. Czulałam się bezsilna, widząc wykrwawiającego się przed hallą człowieka. Chciałam pomóc, uleczyć, wesprzeć, jak to po wielokroć robiłam. W tym momencie nienawidziłam jarla z całego serca, bo zabraniał mi czynić tego, co przyrzekałam jeszcze w domu, jeszcze w Aenthil.

Tymczasem wojownik zwrócił się w kierunku Yndir.

- Ty wiesz, co znaczy rozkaz. Wiesz, że jest święty – powiedział donośnie. – Wtedy, pod Arden otrzymałem rozkaz i takiego nie życzę żadnemu żołnierzowi, nawet tobie – spojrzał na jej wergundzki mundur. – Teraz nazwij mnie tchórzem.

Zapadła cisza, a niemal wszyscy zebrani patrzyli na strażniczkę. Tylko mój wzrok wciąż spoczywał na ciele wojownika. Nie rozumiałam wojennych praw, nigdy w życiu nie przyznałabym jarlowi racji w tej sprawie.

- Wybacz. Nie wiedziałam – mruknęła Yndir, ale do mnie prawie to nie docierało.

- Wracaj do środka, Aerlinn – opiekuńczym tonem powiedział Noxis. Nawet na kapłanie Wejana to, co przed chwilą widzieliśmy, zrobiło piorunujące wrażenie.

W karczmie Leif zachowywał się, jakby nigdy nic. Mówił z nami o broni, o drodze kartografki, a nawet o Mieczu Równowagi. Był jak pies, który po kąpieli otrząsa się i biegnie dalej, nie zważając na to, co się stało.

W końcu Tryntyjczyk wyszedł, a wśród nas rozgorzała gorączkowa dyskusja. Ucichła ona dopiero, gdy do karczmy wszedł Hugin we własnej, brzuchatej i brodatej osobie.

- Barman, polej tu piwa! – zakrzyknął, ale Noxis wstrzymał barmankę przed spełnieniem rozkazu. Wyjął własną piersióweczkę pełną ulubionej wódki księżycowej.

- I to się nazywa krasnolud! – rozradował się przedstawiciel klanu Daramish, sięgając po manierkę.

- Dobra, Hugin – naprostował tę rozmowę Ulf. – Masz wódeczkę, masz miejsce na ławie, to teraz pozwól nam mówić o tym, czego od ciebie chcemy. Potrzebujemy sojuszu przeciw nadciągającym na nas Wergundom, w zamian zaś oferując krasnoludom te tereny, które przed ekspansją Imperium należały do nich.

- Eh, łatwo dzielić się nie swoją ziemią. Przecież wiecie, że Tryntyjczycy też nie oddadzą nam tych terenów, jak i nie czynią tego Wergundowie. Ale fakt, wolimy życie przy granicy tryntyjskiej, niż wergundzkiej, stanowczo.

- Każdy woli. Zwłaszcza, że w okolicy podobno wydobywano kiedyś srebro, a kopalni, choć opuszczonych, jest tu całkiem sporo. Dałoby się coś wynegocjować...

Widać było już, że zaraz Hugin się zgodzi. I faktycznie, nie minęła minuta, a powiedział „tak”.

- No dobra, wy małe gołowąsy! Dobrze wiecie, że mój klan z chęcią stanie do walki przeciw Wergundom. No więc, kiedy i gdzie zbieramy się na jakąś naradę?

Zapadła cisza. Ulf spojrzał po nas z miną zastraszonego dziecka, a Onfis cicho syknął.

- W najbardziej neutralnym i bezpiecznym miejscu w lesie – powiedziałam.

- Czyli?

- Święte miejsce driad – dokończył za mnie Tsuna.

Na podstawie tego, co robił teraz Hugin, można by napisać cały podręcznik o tym, jak denerwują się krasnoludy. Najpierw nasz towarzysz zrobił się blady jak ściana, potem czerwony aż do ciemnej purpury, a na końcu na jego twarzy pojawił się nawet odcień zieleni. Przy okazji właściciel tak malowniczej twarzy zdążył jeszcze kilka razy walnąć pięścią w stół i wykrzyknąć kilka krasnoludzkich słów.

- Was chyba piorun trzasnął! Chcecie, byśmy stanęli w jednym szeregu z cholernymi dziwożonami, które potrafią tylko ładować strzały w plecy?! Nie, w tym momencie przesadziliście! Po moim trupie i po trupie ostatniego z członków mego klanu!

Przyznam, nie spodziewałam się aż takiego wybuchu, ale to, co zrobił Hugin, tylko mnie rozwścieczyło. Och, przebac mi, Pani, za mój gniew, ale to na twoją chwałę wypowiedziałam kolejne słowa.

- Hugin, nie my sami tak zdecydowaliśmy – powiedziałam dość głośno, może trochę zbyt głośno, ale przynajmniej brodacz mnie usłyszał. – Nie rozumiesz, że to sami bogowie kazali nam dziś

iść do obozowiska driad i zawrzeć z nimi sojusz?! Nie rozumiesz, że bez zjednoczenia wszystkich mieszkańców tych okolic oraz zawarcia pokoju między nimi a lasem nie mielibyśmy najmniejszych szans?! Nawet dzisiejszej nocy we śnie ukazał mi się Hern polecający nam podążać właśnie do, jak je nazywacie, dziwożon! Nie do orków, nie do jarla Leifa, ale właśnie do driad! Może to coś ci rozjaśni!

- A co mnie tam obchodzi wasi bogowie! W rzyci mam wasze objawienia! Póki mi się nie ukążą, nie mamy o czym mówić!

Nie odpowiedziałam, wciąż milcząc, ale wiedziałam, że długo tak nie wytrzymam. Hugin przegiął, we mnie się gotowało, byłam gotowa nawet rzucić jedną z kapłańskich klątw na specjalne okazje. Obróciłam się więc na pięcie i wyszłam z halli, by nie narobić jeszcze większego zamieszania. Na wypogodzonym, błękitnym niebie słońce właśnie chyliło się ku zachodowi.

Nie minął kwadrans od mojej kłótni z Huginem, a część obozu, w tym i ja, była już w drodze. Zgodnie z poleceniem jarla wybraliśmy się na poszukiwanie domku kartografki, która miała dać nam, czy też sprzedać, sztabową mapę okolicy.

Przeszliśmy przez główny trakt i zaczęliśmy się wspinać na przeciwległą stronę doliny. Po przejściu przez zrujnowaną bramę dawnej twierdzy znaleźliśmy się kilkadziesiąt stóp od małego, kamiennego domku, w którym paliło się światło. Z duszą na ramieniu zbliżyliśmy się do chatynki.

- Won mi stąd! – usłyszeliśmy miast powitania. – Odejdźcie tam, skąd przyszlście!

- Przychodzimy w pokoju – staraliśmy się pertraktować. – Chcemy tylko kupić mapę!

- A skąd znacie tu drogę? Skąd mam wiedzieć, że nie jesteście wergundzkimi szpiegami?

- Przysłała nas jarl Leif, który nieraz już korzystał z twych map. Inaczej nie doszlibyśmy tu, nie gubiąc szlaku.

W tym momencie obok nas przeleciała mała, ale twarda szyszka.

- Nie wierzę wam i nie uwierzę, dopóki nie zostawicie całej waszej broni przed domem.

- Całej? – jęknął Durgh, mocniej ściskając swój miecz. Na całe szczęście kartografka tego nie usłyszała.

- Pozostawimy ją więc, a jedna osoba będzie jej pilnowała – powiedziano głośno, a my weszliśmy do chatki. Kapłan Toledy z żalem odłożył swój oręż na stertę ostrzy, ale posłusznie podążył za nami.

Negocjacje okazały się krótkie, ale owocne. Choć z początku kobiecina chciała sprzedać nam mapę jedynie za broń, a już najlepiej za Miecz Równowagi, w końcu stanęło na zapłacie w postaci buteleczki eliksiru leczniczego i kilku akwirów. Obarczeni sporą mapą ruszyliśmy w drogę powrotną, jednocześnie bacznie obserwując przydrożne zarośla. Nie chcieliśmy znów zostać napadnięci.

Gdy przeszliśmy trakt i zaczęliśmy wspinać się w stronę obozu, zaczęłam zastanawiać się czy halla jeszcze stoi, a Hugin jeszcze żyje. Fakt, Wielka Silva, która jest panią miłosierną i opiekuńczą, nie powinna denerwować się gadkami jednego krasnoluda, ale czy Hern, który ukazał mi się w nocy, będzie chciał przebaczyć słowa o tym, gdzie członek klanu Daramish ma nasze objawienia?

- Pani wielka i dobra, Panie potężny i rozważny, przebaczcie Huginowi tamte słowa, bo nie wiedział, co mówi i czyni! Niechaj jego kara rozwieje się niczym dym z ogniska, bo, choć jestem elfką, za nim, krasnoludem, się wstawiam.

Wiele jeszcze podobnych słów wypowiedziałam, zanim wreszcie górną bramą weszliśmy do obozu. Hugina nie było widać, podobno udał się naradzić się ze swym klanem, ale z dobrych wiadomości, halla wciąż stała, a drzewa rosnące wkoło karczmy wcale nie zamierzały się na nią walić. Uśmiechnęłam się do swoich myśli, gdy reszta mojej drużyny weszła już do środka.

- Noxis! – zawołałam jeszcze na krasnoluda, który czekał, aż w drzwiach będzie na tyle miejsca, by mógł się precisnąć.

- Tak?

- Idę na chwilę w stronę namiotu, przekaż to, jakby ktoś się o mnie pytał. Muszę napisać list do Aenthil.

- Jasne, idź. Jak coś, to przekażę.

I odeszłam, myśląc już, co napisać przełożonej Zgromadzenia i jak opisać tutejsze wydarzenia. Ciekawe, czy będzie zadowolona z moich poczynań, zastanawiałam się, idąc ścieżką między namiotami. W tym właśnie momencie drogę zastąpił mi wysoki, jasnowłosy mężczyzna, bardzo przypominający większość Tryntyjczyków.

- Szukasz czegoś? – zapytałam, ale zamiast odpowiedzi zobaczyłam tylko, jak nieznajomy wyciąga zza pasa długi sztylet. Nie miałam nawet jak się bronić, nogi miałam jak z ołowiu, a gdy ostrze rozharatało mi lewy bok, nie mogłam wydać z siebie żadnego głośniejszego dźwięku. Ledwie jęknęłam, bezwładnie upadając na ziemię i starając się jakoś zatamować upływ krwi. Przybysz zniknął, zostawiając coś obok mnie, lecz nie to mnie teraz interesowało. Musiałam jakoś się uratować.

- O Wielka Silvo, daj mi siłę na jeden krzyk, bym mogła ich ostrzec – szepnęłam i natychmiast poczułam przyływ mocy. Nie było czasu na zastanowienie, krzyknęłam pierwsze lepsze imię:

- NOXIS!!!

Odpowiedziała mi cisza, więc wrzasnęłam jeszcze raz, czując, że zaraz stracę przytomność.

- NOXIS!!!

- Co? – usłyszałam słaby głos, ale nie miałam już siły, by krzyknąć po raz trzeci. Zemdlałam, leżąc w ogromnej kałuży własnej krwi.

To było dziwne uczucie. Wydawało mi się, jakby ktoś wołał mnie tam, skąd wrócić już nie mogłam. Tyle, że ja nie chciałam tam iść, walczyłam z tym kimś, obserwując obóz z lotu ptaka. Widziałam moje ciało leżące pod namiotem, wciąż skulone, by zminimalizować upływ krwi. Spoglądałam na biegnącego Noxisa, który nagle zauważył, co się stało i wrzasnął o pomoc. To wszystko działo się tak szybko, że nie zdążono zabrać mnie do domu mej Pani. Zostałam na ziemi. I dobrze, bo moja misja nie była jeszcze zakończona.

- Aerlinn! Zostań z nami! *Giore til langs, Herba...*

- Nike? – wycharczałam, gdy spostrzegłam nad sobą znajomą postać. A potem zobaczyłam, kto trzyma nade mną swoją rękę. Znowu on. Durgh.

Chciałam podziękować, powiedzieć cokolwiek, by wiedzieli, jak bardzo jestem im wdzięczna. Tyle, że nie miałam siły. Nic, kompletnie nic. Wiedziałam, że jeśli zbyt długo się zmęczone, znów mogę zemdleć, a tego nie chciałam. Na dodatek ktoś, chyba Onfis, którego widziałam, jak przez mgłę, pytał się, kto mi to zrobił.

- Nie wiem – odpowiedziałam zgodnie z prawdą. – Nie znałam go. Długie... włosy – tu kaszlnęłam lekko. – Jasne, długie. Ubrany jak... żołnierz.

- Onfis, patrz! – krzyknął ktoś jeszcze, ale w takim stanie nie potrafiłam rozpoznać go po głosie. – Ta karteczka! To Ormurin.

Kaszlnęłam raz jeszcze, a że wypłułam nieco krwi, Nike wołała podratować mnie zaklęciem.

- Ormu... – chciałam zapytać, ale natychmiast mi przerwano.

- To płatni zabójcy. Najlepsi z najlepszych. Masz szczęście, że jeszcze żyjesz, elfko.

Uśmiechnęłam się blado na to stwierdzenie, a ktoś spróbował podnieść mnie na nogi.

- Musimy przenieść cię do halli. To najbezpieczniejsze miejsce w obozie. Onfis, weź kilku ludzi i przeszukajcie namioty. Nie chcemy już więcej rannych.

Dopiero teraz rozpoznałam ten głos i tę silną rękę. Ulf. A więc i on stał teraz przy mnie. Zrobiłam się ważna, przemknęło mi przez myśl, ale natychmiast wyrzuciłam to z głowy. Teraz musiałam się tylko skupić, aby nie upaść w drodze.

Te kilkanaście schodów, które trzeba było przejść w drodze do halli, zdawało mi się teraz najwyższym ze szczytów Silberu. Wchodziłam na górę oparta o Durgha i Ulfa, błagając Boginię, by dodała mi choć odrobinę siły. Kiedy w końcu przekroczyłam próg karczmy, upadłabym chyba na twarz, gdyby nie podtrzymujący mnie mężczyźni. Dzięki nim doszłam aż do ławy.

- Podajcie jej wody – polecił Durgh, gdy reszta spojrzała z ciekawością na moją zakrwawioną tunikę. – A wojownicy niech wezmą oręż i wyjdą przed hallę. W każdej chwili oczekujemy ataku.

- Jak oni mogli ci to zrobić? – zapytał tymczasem Noxis, podając mi kubek z życiodajną wodą. Kapłan towarzyszył nam od początku, ale dopiero teraz zobaczyłam troskę goszczącą na jego twarzy.

- Sama nie wiem – odrzekłam z trudem, by po chwili wychylić kubek duszkiem, jak człowiek spragniony po długim marszu przez pustynię. Krasnolud nalał kolejną porcję.

Z najbliższych minut niewiele pamiętam. Siły wracały mi zwolna, jakby niebiosa nie chciały, bym dziś zdołała jakoś pomóc reszcie. Gdy ocknęłam się z długiego letargu, na zewnątrz było już ciemnawo, a w obozie rozbrzmiewał dźwięk oręża. A więc bitwa. Bitwa, a ja wciąż nie mam siły, by im tam pomóc.

Przez dłuższy czas siłowałam się z Noxisem, by jednak pozwolił mi iść, by pozwolił rzucić choć jeden czar, jedną modlitwę. Nie chciałam tu tak beczynn timer siedzieć, zamiast przydawać się na polu walki.

- Zgłupiałaś – krótko odparł mi wysłannik Wejana. – Straciłaś litry krwi, a chcesz rzucać się w wir leczenia. Nie chcemy cię stracić, Aerlinn.

- Ale oni... oni mnie potrzebują!

- Potrzebują cię zdrowej i żywej, a w takim stanie niewiele im pomożesz. I tak dobrze, że nas ostrzegłaś. Dzięki tobie znaleźliśmy jeszcze kilka osób ranionych w namiotach.

Zapadła cisza, a ja powoli i z obawą odsłoniłam zakrwawioną tunikę i obejrzałam świeżutką bliznę na boku. Zanim przemówiłam po raz kolejny, podziękowałam mej Pani, że zadecydowała, by pozostawić mnie tu, na ziemiach Tryntu, a nie zabrać do siebie.

- Czemu wołałaś akurat mnie? – zapytał mój towarzysz, także z ciekawością spoglądając na pozostałość po ranie.

- Sama nie wiem. To był po prostu...

Nie dokończyłam, bo drzwi halli otworzyły się i stanął w nich Einar z zakrwawionym mieczem i grobową miną.

- Ulf nie żyje – powiedział tylko. – Kapłani już biorą się za rytualny krąg do wskrzeszenia.

Teraz mi nie zabronisz, pomyślałam, zwlekając się z ławy i chwiejnym krokiem podążając w kierunku drzwi.

- Pomogę – powiedziałam, a w moim gardle poczułam słony smak łez. Ulf, jakim cudem? Czemu akurat ty?!

- Nie, Aerlinn. Nigdzie nie idziesz. Nie dasz rady. Ja im pomogę, a ty siedź na tyłku i się nie ruszaj. Będziesz nam jeszcze potrzebna na naradzie. Nie pozwolimy ci zginąć. Tam wciąż trwa bitwa.

- Noxis...

- Nie, powiedziałem. Zostajesz. Aleksander, pilnuj jej. Ma nie ruszyć się z karczmy, bo mnie zabiją, jasne?

Po tych słowach smętnie dowlokłam się na swoje miejsce, w myślach przyznając krasnoludowi rację. Nie dałabym rady nawet dojść do rytualnego kręgu, nie mówiąc już o potężnej, zabierającej wiele sił modlitwie. Ale Ulf... Jego trzeba było ratować.

Aleksander przysiadł się do mnie. Jego koszula także była mokra i czerwona od krwi, ale z początku nawet tego nie zauważyłam. Pozostali chroniący się w halli, gołowąsy z namiotu Durgha, niespokojnie spoglądali na drzwi. Dla mnie jednak już nic nie było ważne.

- Pani – szepnęłam, nabierając garść popiołu z paleniska i rysując na swych policzkach trzy żałobne linie. – Opiekunko wszelkich stworzeń lasu! Spraw, by życie wróciło tam, skąd je zabrano, by znów rozświetliło ciało naszego dowódcy! Daj Ulfowi siłę, zdrowie i życie, bo poległ on w obronie Twych wiernych sług.

Nie potrafiłam mówić dalej, bo łyzy zaczęły dławić mi głos. Gdzieś z zewnątrz dochodził mnie cichy zaśpiew reszty kapłanów.

- *Rekke hem vide* – powiedziałam, ale nie potrafiłam nawet tego powtórzyć. Bok zakuł mnie boleśnie.

Minęła dłuższa chwila, a zaśpiew nie milkł, chwilami stając się jeszcze głośniejszy. Wiedziałam, że może im się nie udać, że bogowie mogą nie spełnić prośby garstki wiernych. Zwłaszcza po tym, co dziś powiedział o nich Hugin mieszkający z nami niemal pod jednym dachem.

- Był taki odważny – westchnęłam, myśląc o leżącym tam bez życia Ulfie. – Od początku stawiał się Wergundom, od początku organizował bunt, był naszym prawdziwym przywódcą. Jeśli go stracimy, możemy pożegnać się z szansami na wygranie jutrzejszej bitwy. Ulfie, wróć!

Łzy same spłynęły mi po ubielonych popiołem policzkach. Płakałam, mając nadzieję, że jeśli kapłanom nie uda się wskrzesić wojownika w tradycyjny sposób, pozwolą mi ofiarować moje życie za jego. Ja nie byłam wiele warta, a na pewno nie tyle, co mężny Fiordyjczyk wiodący nas drogą do wolności. O bogowie! Bogowie, dajcie mu żyć!

Kolejne chwile spędziłam w najstraszniejszej niepewności w moim życiu. Nie wiedziałam, co się dzieje, nie mogłam pomóc tym, którzy potrzebowali ratunku. Nie! Nie dam rady tak tu siedzieć! Chcę wiedzieć, co z Ulfem!

- Jak go poznałaś? – usłyszałam głos Aleksandra, który, jak my wszyscy, wyglądał na totalnie załamane.

- Był ze mną w transporcie – uśmiechnęłam się przez łyzy. – Zawsze najodważniejszy, pierwszy do bójek ze strażnikami, pierwszy do mobilizowania nas w trudnych chwilach. No a potem obóz, przywództwo... Nawet dziś pomagał mi dojść do halli. Ratował... A teraz ja nie mogę mu pomóc! Muszę tam iść!

Chciałam dzwignąć się na nogi, ale ciało najwyraźniej mnie nie słuchało. Aleksander przytrzymał mnie lekko i powtórzył słowa Noxisa:

- Nigdzie się stąd nie ruszasz.

Tym razem do karczmy wparował Onfis, ale nie powiedział nic więcej poza krótkim poleceniem, by szykować wolną ławę. Niedługo potem szóstka kapłanów wniosła do halli Ulfa.

Teraz już nic mnie nie powstrzymało. Zerwałam się na równe nogi, pomogłam ułożyć naszego dowódcę na ławie i nie musiałam nawet pytać, czy żyje. Łzy płynące mi po policzkach stały się łzami radości.

- Dzięki wam, bogowie! – szepnęłam, nachylając się nad dowódcą. Część kapłanów poszła już zajmować się pomocą innym rannym, a ja mogłam wreszcie spełnić swoje powołanie.

- Tylko pamiętaj, nie przemęczaj się.

- Nie zamierzam. *Giore til langs*...

Świat zawirował mi przed oczyma, ale dałam radę wzmocnić nieco słabego po wskrzeszeniu Fiordyjczyka. Drgnął, budząc się z letargu, ale chyba wciąż był za słaby, by mówić. Nie potrafiłam jednak pomóc mu inaczej, jak kosztem własnego życia.

- Ulf, trzymaj się. Teraz nie możesz odejść, nie po tym, jak zawrócono cię z drogi. Niech bogowie obdarzą cię siłą i wytrzymałością, niech dadzą potrzebne zdrowie!

Po kilku minutach podobnych modlitw do karczmy zawitała reszta zbrojnych. Tylko garstka została na zewnątrz, przeczesując okolice obozu. Bitwa była zakończona.

- Mamy złą wiadomość – powiedziała Lily, ocierając karwasze z krwi. – Jest jeszcze jeden zabity, Valras.

Nie wiem, czemu wszyscy spojrzeli na kapłanów, jakby oczekując od nich zapewnienia, że wskrzeszą kolejnego nieszczęśnika.

- Nie damy rady – rzekł Durgh. – I tak zakłóciliśmy Równowagę, przywróciliśmy do życia kogoś, kogo bogowie już widzieli w swoich komnatach. Żadne z bóstw nie udzieli nam dziś błogosławieństwa na kolejny taki obrzęd. Wątpię, czy nawet jutro damy radę uczynić coś podobnego.

- Chwila! – krzyknął nagle stojący pod ścianą Vey. – Narada! Nie mamy czasu na wskrzeszanie, jest już po zmroku, pewnie wszyscy na nas czekają!

- Niechaj niebiosa bronią nas przed spóźnieniem! Wyruszajmy jak najszybciej!

- A co z Ulfem?

Mój głos potoczył się echem po milczącej izbie halli.

- Pójdę z wami – powiedział cicho sam poszkodowany. – Dam radę dojść, a nie zostawimy nikogo w obozie.

- Jeśli chcesz pozostać tu, Ulfie, zostanę z tobą – odezwał się wyczerpany po rytuale Durgh. – Myślę, że wielu zgodzi się z tym, że powinieneś wypoczywać. Osobiście czuję się bezpieczniej tu, nawet z Ormurinem za plecami, niż w ciemności na leśnych traktach.

- Nie przesadzaj, Durgh! – głośno i typowo po krasnoludzku zawołał Noxis. – Nic złego nas nie spotka, a nie możemy osłabiać oddziały! Gdyby zagrażało ci jakiegokolwiek niebezpieczeństwo, na święty ogień Wejana przysięgam, że ruszę ci na pomoc, choćby nawet przełamując szyk!

Ach, gdybym w czasie bitwy miała siłę przebicia krasnoludzkiego kapłana, dawno pomagałabym leczyć ranionych w tej walce. Teraz jednak nie żałowałam, że nie zostawiamy nikogo w obozie. Jeśli Ulf, a co za tym idzie, także Durgh z nami pójdzie, morale wzrosną i będziemy walczyć właśnie dla nich, pomyślałam. Choćby dlatego dobrze, że z nami idą

Już mieliśmy wyruszyć, gdy jeden z wartowników krzyknął ostrzegawcze hasło. Co najmniej pięciu zbrojnych natychmiast rzuciło się w jego stronę, lecz, na całe szczęście, alarm okazał się niepotrzebny. Przybyszem, który go spowodował, okazał się sam jarl Leif.

- Co się stało, panie? – zapytał go Einar, kiedy Ulfa usadziliśmy na karczemnej ławie, by mógł jeszcze chwilę odpocząć, a jarl, wspierając się na ramieniu Onfisa, usiadł obok niego. – Aż tak nam ufasz, że do obozu przybyłeś sam, bez obstawy? I, wybaczyć, że pytam, ale nie wyglądasz najlepiej.

- To dlatego, że ledwie wywinąłem się bandytom. To tam, na trakcie, zostali moi towarzysze i część mego zdrowia. Ja miałem ważniejszą misję i musiałem zostawić obstawę na pastwę losu, czego serdecznie żałuję.

- Dziwny człowiek – westchnęłam bezgłośnie, zanim nie odezwała się Lily.

- Chodź więc z nami, panie, na tę naradę. Będziesz wśród nas bezpieczny, a na pewno bezpieczniejszy niż samotnie. I nas niedawno zaatakowano. Dwóch naszych towarzyszy legło, a tylko jednego z nich udało nam się przywrócić do życia.

- Smutne wieści głosicie. Chodźmy jednak, skoro mamy iść. Nie dajmy na siebie czekać.

Lily na osobiste polecenie Ulfa przejęła dowodzenie, ustawiając nas w szyk. Naszego dowódcę idącego w środku pochodu podtrzymywała dwójka zbrojnych, na przedzie szedł jarl uparcie każący nazywać się Ulfem, a Ulfa Leifem, a na tyle piątka mieczników chroniących nas przed zasadzką. My, kapłani i bezbronni, gnieździliśmy się w środku, nieopodal najsłabszych, którym ewentualnie mogliśmy pomagać. Wreszcie wyruszyliśmy.

- Aerlinn – to chyba kapłan Rega spojrział na mnie niespokojnie.

- Tak? Co mogę dla ciebie zrobić?

- Jako jedyna z nas masz tyle mocy, by móc leczyć całą tę grupę. Dlatego tobie przekazuję to, katalizator, którego użyliście, by unicestwić magię Wergundki Gertrudy. Pilnuj go i nie zgub, a w razie potrzeby korzystaj z niego mądrze.

Nie odpowiedziałam, uśmiechając się lekko. Wysłannik Pana Gromów oddalił się na swoje miejsce w szeregu.

Droga była spokojna, a trasę znaleźliśmy dużo szybciej niż poprzednimi razami. Do świętego jeziora doszliśmy w całkiem sprawnym tempie, a gdy zagłębiliśmy się w gąszcz i zgasił się pochodnie, dostrzegliśmy lśniące między drzewami latarnie driad. Byliśmy na miejscu.

- Witajcie – usłyszeliśmy melodyjny głos, w którym rozpoznaliśmy przywódczynię nimf. – Zasiądźcie w naszym kręgu, każdy według swej rasy i pochodzenia. Elfy przy nas, dalej zgodnie z ruchem słońca po niebie Wergundowie, orkowie, Tryntyjczycy, krasnoludy, przybysze z Samnii i Ofiru, a na końcu ci, którzy z innych krain pochodzą. Uważajcie na koryto strumienia, który wpada do naszego jeziora, nie wpadnijcie do niego.

Na nic jednak zdały się uwagi driady. Pierwszy do uskoku wpadł Noxis, później pouczający wszystkich, gdzie jest dziura.

- Zak, idź w prawo albo w lewo, byle nie prosto.

Problem w tym, że Zak'Revan poszedł prosto i jako kolejny wpadł do strumyczka. Ja przeszłam przezeń dość dobrze i bezproblemowo, a, co najważniejsze, nie zgubiłam katalizatora, za co chyba reszta by mnie zabiła. W końcu przyklęknęłam przy jeziorze, błagając bogów o pomoc w tej sprawie, o zesłanie mi dobrych i mądrych słów. W końcu rada się zaczęła.

Pierwszą mowę wygłosiła przywódczyni driad, prosząc wszystkich o spokój i szacunek dla świętego miejsca. Opowiedziała o zgodzie nimf na warunki sojuszu pod warunkiem nie zakłócania najświętszych gajów i jezior przez inne rasy. Wszyscy wysłuchali jej w milczeniu. Potem jednak zaczęła się polityka, czyli po prostu kłótnie. Rozpoczął jarl.

- Nie podoba mi się jedno – rzekł swym donośnym głosem. – Mamy zawiązać tu sojusz przeciwko Wergundii, podczas gdy w tym kręgu przebywają przedstawiciele tego kraju.

- Nie przeciw Wergundii ma być ten sojusz, a przeciw Imperium, w które zmienił prawdziwą Wergundię Eudomar – powiedziała Yndirmarie. – Zebrał się tu, by omówić jego warunki. Czego zatem żądają przedstawiciele tak licznych ras i narodów?

- Widzę, że zaczęliście beze mnie - dobiegł nas z między drzew głos Hugina. – Najpierw każecie mi tu pędzić i włączyć do miejsca, gdzie jeszcze nie był żaden krasnolud, a potem nawet nie czekacie! Jeśli zaś chodzi o żądania... No cóż, ze strony Shamaroth i klanu Daramish napotkasz, Yndir, tylko pragnienie odzyskania naszych ziem, tych ziem, które Imperium nam zabrało, tych kopalni i szybów, które musieliśmy zostawić.

- Patrz, jak Hugin składnie mówi. Ciekawe, ile wypił – rozległo się obok mnie, lecz nie zwróciłam na to uwagi.

- Mówicie o tych szybach, prawda? – to śpiewny głos przywódczyni driad rozbrzmiał niczym szmer powiewu. – Kopalnie budowane były wieki temu na ziemiach, gdzie dziś rośnie las. Jeśli znów chcecie zatruwać nam domy i budować nowe kominy, to nie jest dobry pomysł.

- Od tysiącleci to czynimy, i w Shamaroth, i tu. Zanim na tych ziemiach pojawił się las, my tu byliśmy.

- A my ledwie doprowadziłyśmy ten las do porządku i zdrowia, przybywacie wy, chcąc znów go niszczyć.

- Czy nie dałoby się dojść do jakiegoś porozumienia? – powiedział któryś z ludzkich przedstawicieli. – A co, jeśli krasnoludy nie zakłócałyby lasów, kopiąc tylko i wyłącznie pod powierzchnią?

- Zgodziłybyśmy się na takie rozwiązanie.

- I my także – dodał Hugin, klepiąc się z radością po kolanach. Jeden spór był już rozwiązany.

- Czasem zastanawiam się, czy jakiś mag nie przeniósł mnie w czasie – odezwał się jarl, co było zapowiedzią kolejnych kłopotów. – Bo wydaje mi się, że ktoś tu jest pewien, że wszystko wygramy, ba! Dzieli nawet zdobyte ziemie! Jeśli chodzi o ziemie, jasne jest chyba, że Trynt chce dawnych granic, tych sprzed Arden. Tyle, że, by te granice odtworzyć, trzeba coś wygrać, a partyzanci tej wojny nie uciążą. Wystarczy, że ktoś się spóźni...

Ostatnie słowo zabolalo zwłaszcza Samnijczyków, którzy, jak prawdziwe dzieci stepu, zaczęli się burzyć:

- Spóźni, tak? Czy dwadzieścia lat mamy wam wyjaśniać, co nękało nas w górach i ile ofiar pochłonęły bitwy z orkami Elmaryka? Może lepiej zajmijmy się Ofirem, który nie robi, tak jak wtedy, kompletnie nic!

- Spokój – ta wypowiedź jakby sama wypłynęła z moich ust. – To nie miejsce na kłótnie o przeszłość, ale na postanowienia o przyszłości. Nie zebraliśmy się tu, aby wypominać sobie spóźnienia sprzed lat.

- Ma rację – usłyszałam głos kronikarza Aleksandra. – Takie kłótnie to woda na młyn Imperium. A i ja mam coś ważnego do powiedzenia. Nie jestem skrybą, jak utrzymywałem do tej pory. Jestem ofirskim dyplomatą wysłanym tu przez całe oligoi, przez wszystkich pięciu kratistoi. Tym razem Ofir nie chce przepaść swojej szansy, wie, że po Tryncie i Samnii to na nas przyjdzie czas. Kratistoi i strategoi proponują więc wspólny plan, który być może pozwoli zwyciężyć tym, którzy dość mają panowania Eudomara.

- Zdziwiasz nas, kronikarzu – rzekł któryś z Tryntyjczyków. – Co więc planują strategosi?

- Równoczesne uderzenie na Imperium z dwóch stron. Jeśli fiordyjscy chąśnicy uderzą z zachodu, armia Ofiru odciągnie wojska Wergundii na wschód, aż pod nasze miasta. Tu, na północy, wybuchnie zarzewie buntu, a jarl Leif i Yndir zajmą się przeniesieniem tego pożaru na cały kraj.

- Moglibyśmy pomóc – rzekł Ulf tak słabym głosem, że chciałam zerwać się na nogi i wzmacnić go chociażby zaklęciem. – Moglibyśmy, ale nie możemy. Drogę na Imperium blokuje nam flota Talsoi, a jej nie przejdziemy z wergundzkimi mieczami nad karkiem. Gdyby elfy z Aenthil...

- Aenthil jest daleko – westchnęłam – I nie nam wypowiadać się o strategii księstwa. Jestem pewna, że jeśli Puszcza włączy się do wojny, stanie po stronie sprzymierzonych. Oby książę dobrze ocenił, co powinien zrobić.

- Nim wiadomość, list czy też cokolwiek innego dojdzie do Aenthil, minie zbyt wiele czasu – rzekł Keledy. – Musimy polegać na instynkcie naszych przywódców. Ale chyba każdy wie, że Adarnil, jeśli tylko znajdzie okazję, uderzy na Wergundów.

- Ktoś mówił o zamieszkach, które ma wywołać wergundzka szlachta, dobrze słyszałem? – wtrącił się nagle jarl.

- Tak, to prawda, mówiłam o tym temu dyplomacie, który wplątał to w plan strategosów. Ale, ogólnie rzecz biorąc, wszystko opiera się o jedną osobę. O niego.

Dopiero teraz zauważyłam na kogo, w świetle nikłych latarni driad, wskazuje Yndir. Obok Wergundki stał jedyny przedstawiciel Imperium w naszym obozie, mag ziemi Orwidor.

- Na podstawie przekazanych mi informacji i dokumentów śmiem twierdzić, że ten oto mag, wergundzki szlachcic Orwidor, pochodzi z jednego z najszlachetniejszych rodów Wergundii. Za czasów Elmaryka szlachetniejszy od niego był tylko ród panujący, a co za tym idzie...

- To niemożliwe! – krzyknął jarl Leif. – Taki chłystek ma niby być władcą całego Imperium?!

Dopiero teraz zrozumiałam. Więc Eudomar nie dość, że przejął tron bezprawnie, to jeszcze zabrał go rodowi Orwidora?! Robi się coraz ciekawiej.

- Pilnij języka, Leif – upomniała jarla Yndir. – Niedługo ten szlachcic będzie trząsał całym światem.

- A ja przed nim nawet dupą nie zatrzęsę!

- Panowie i panie! – krzyknęłam równocześnie z którąś z driad. – Trochę szacunku dla miejsca, gdzie jesteście!

- Założmy, że ten smarkacz faktycznie jest przyszłym Księciem Imperatorem. Czy szlachta za nim pójdzie, czy będzie potrafił porwać tłumy tak, jak Eudomar wojsko?

- Będzie. Pomogę mu w tym.

Ledwie widoczna w bladym świetle twarz Wergundki przybrała teraz niezwykle zdecydowany wyraz, którego przeląkł się nieco chyba nawet sam jarl.

- To mhhoże, skhoro pohradzicie shobie shami, powiecie nham chociaż, pho co nas thu wezwaliście?

No tak, orkowie. Właśnie dziwiłam się, czemu jeszcze nie przemawiali, a teraz sami się o to upomnieli.

- Chcieliśmy prosić was o pomoc – po raz kolejny odezwała się Yndirmarie. – Wiemy, że Elmeryk zawarł z wami święty pakt, powołując się na swój i Imperium honor. Eudomar ten honor zdeptał! Uwięził i doprowadził do śmierci waszego wielkiego wodza, sprawił, że nie jesteście już nazywani sojusznikami, a poddanymi. My, Wergundowie dni dzisiejszych, chcemy pokazać wam, że wciąż mamy honor i sprawimy, że przywrócimy go wam. Orkowie znów staną się podmiotem, a nie przedmiotem na arenie międzynarodowej. Będziecie wolni i niezależni! Nie będziecie już musieli wycofywać się za góry, ale robić to, co kochacie najbardziej, walczyć.

- Gotrek wolał zginąć z własnej ręki, niż w więzieniu – powiedział Onfis. – Wolał sam przesyć się ostrzem, niż wydać was, niż okazać słabość. Jeśli odejdziecie, to wy okażecie słabość!

- Ohrzeze plemię wciąż phosiada hhhonor. Nie okażemy słhhabości.

- Czy więc wszystkie rasy i narody zgadzają się na to, co tu postanowiono? Czy ktoś pragnąłby jeszcze coś ustalić? – podsumowała przywódczyni driad.

Zapadła cisza, a przywódca każdego z przedstawicielstw wystąpił krok do przodu. Wśród nas, elfów, uczynił to Onfis, choć nieco mnie to zdziwiło. Nie zamierzałam się jednak o nic kłócić w takim miejscu.

- Niech więc padną słowa o podpisaniu paktu. Ze swojej strony ja, pani driad z gęstwin Tryntu, zgadzam się na wszystko, o czym było tu mówione i wraz z mym ludem wspomogę was w wojnie z Imperium.

- I ja, Orwidor książę Mawarot, następca tronu Wergundii, zapewniam was, że postanowienia tego paktu nie zostaną złamane.

- Nha honor mhój i mhego plemienia ja, Unrug, whódz orków, przysięgam wiehrność posthanowieniom dzisiejszhego wieczhora.

- Ja Hugin, syn Hurina jako wojenny than klanu Daramish na złoto i srebro Shamaroth obiecuję przestrzeganie ustalonych dziś postanowień.

- I ja w imieniu Dzieci Stepu zapewniam, że nie złamię ani jednej z postanowionych dziś reguł.

- W imieniu kratistoi i strategoi Ofiru ja, Aleksander Verlaine Marlowe, podpisuję ten pakt, by połączyć siły przeciwko Imperium.

- My, lud Fiordu, a ja, Ivar Vingorsson, członek Hirdu Jeża przyrzekam nie złamać nic z tego, co dziś postanowiono i w miarę możliwości dopomóc w wykonaniu ofirskich planów. Tak mi dopomóż Herba!

- W imieniu elfów z Aenthil ja, Onfis In'Tebri, syn Doriany, przysięgam dochować wierności temu, co dziś ustaliliśmy. Na święte gaje Puszczy przysięgam swą szczerłość i lojalność.

- Na flagę Tryntu spod Arden wyniesioną, na Hird Gryfa i jego ostatnią przywódczynię, na niepodległy Trynt przyrzekam strzec tego paktu i wykonywać jego postanowienia. Tak rzekłem ja, jarl Leif Einarson.

Jarl przemawiał jako ostatni, co sprawiło, że gdy zamilkł, zapadła pełna majestatu cisza. W tym właśnie momencie drzewa zaszumiały delikatnie, a od strony stanowiska Ofiru i Samnii odezwał się tak dobrze mi znany głos:

- *Pamiętajcie, że las będzie po waszej stronie.*

Na te słowa skłoniłam się aż do ziemi, w milczeniu dziękując za wsparcie nas przez samych bogów. Mimo znaków, jakie dał przed naradą, nie miałam pojęcia, że aż tak nas wspomogą.

Narada była już zakończona, latarnie driad dogasały, a sojusznicy zaczęli powoli rozchodzić się do swoich domostw i obozów. Jarl zaproponował jeszcze drugą naradę, tym razem w mniejszym gronie w naszym obozie, gdzie można by dokładnie przyjrzeć się mapie. Na towarzyszenie nam zgodził się Hugin, wódz orków i, o dziwo, driady. W długim orszaku ruszyliśmy w drogę powrotną.

Kiedy dotarliśmy do obozu, pierwszym, co zrobiliśmy, było sprawdzenie, czy nikogo w nim nie ma. Całe szczęście, było tak późno, że chyba nawet Ormurin poszedł spać. Po ustaleniu, gdzie i kto jutro miał stacjonować i my udaliśmy się na zasłużony odpoczynek.

We śnie widziałam krew, całe morze krwi. Ranni, zabici, było ich tylu, że nie wiedziałam, kogo leczyć najpierw. I ten krzyk, ten straszny wrzask.

- Kapłana, przędziej! Ulf dostał!

Zobaczyłam naszego dowódcę, więc skoczyłam ku niemu, wypowiadając już słowa mocy. Miałam jej niewiele, tylko dla jednej osoby. A zaraz obok Ulfa leżał ktoś inny. Durgh. Cały we krwi.

- Nie dam rady uleczyć obu! – krzyknęłam.

- Więc lecz dowódcę!

- Ale Durgh! – wrzasnęłam, zrywając się z łóżka. Dłuższą chwilę zabrało mi zrozumienie, gdzie jestem, ale już wiedziałam, że nie pozwolę, by którykolwiek z wyśnionych mi pacjentów zginął. Nie pozwolę i już! W tym momencie nade mną pojawiła się twarz Lily budzącej mnie na wartę.

Ranek nie przyniósł mi ukojenia, moje sny cały czas tłukły mi się w głowie. Durgh, jak na ironię, siadł obok mnie przy śniadaniu, podczas gdy drugą stronę zajął Ulf. Wydawało mi się, że wszystko sprzysięgło się przeciwko mnie.

- Lepiej się czujesz? – zagałam do naszego dowódcy, który przecież wczoraj ledwie mógł chodzić.

- Tak, choć nie wiem, czy dałbym radę w walce. Na pewno wam pomogę, zbyt ważny to dzień.

Uśmiechnęłam się, chcąc dodać mu otuchy. O swoim śnie ani myślałam wspomnieć.

- Wtedy, gdy odszedłem z tego świata – kontynuował lekko drżącym głosem – widziałem, jak płaczesz, jak siedzisz tu, na tym miejscu i płaczesz. Czy stało się jeszcze coś, o czym nie wiem?

- Płakałam, gdy powiedziano mi... gdy usłyszałam, co stało się z tobą – wyjąkałam, znów niemal płacząc. – Bałam się, że bogowie nie udzielą reszcie kapłanów potrzebnej łaski i że stracimy na zawsze kogoś tak... niezwykłego. A ja nie potrafiłam nic na to poradzić, nie mogłam nawet się ruszyć, a co dopiero pomóc w modlitwach.

- Ale pomogłaś. Słyszałem twój głos tak wyraźnie, jak głosy innych. Nie wiem, jak, ale słyszałem. A potem pomogłaś mi wrócić do pełni sił nawet kosztem własnych. Jesteś niezwykłą osobą.

Nie wiedziałam, co powiedzieć. Czego jak czego, ale nie spodziewałam się takich słów z ust dowódcy. Był on osobą, która od samego początku mi imponowała, więc po tej mowie poczułam coś niesamowitego. Jakby... nie to przecież niemożliwe!

Po śniadaniu z kolei zaczęłam rozmowę z Durghiem. Okazało się, że zainteresowania i charakter kapłana jest mi bardzo bliski, oczywiście na ile było to możliwe. Rozmawialiśmy zarówno o naszych zgromadzeniach, jak i o zadaniach, które wyznaczali nam przełożeni. Kiedy właśnie padł temat naszych misji, wysłannik Toledy zaczął opowiadać mi o swojej.

- Mówiono, że w najbliższym czasie w tych okolicach ma pojawić się Zły dążący do zagłady naszego świata i odtworzenia go w o wiele mroczniejszym wariacie. Kazano mi więc zebrać siły i osoby, aby powstrzymać Złego. Mam przygotować Silberberg na stawienie mu czoła.

- Podobną misję zlecił mi Hern – powiedziałam, pochylając lekko głowę na dźwięk imienia boga. – Mój Pan nakazał mi zjednoczyć tutejszych mieszkańców i las, by wreszcie stawić czoła

właśnie Złemu. Skoro wszyscy bogowie tak się tym interesują, musi to być wyjątkowo poważna sprawa.

- I jest. Skoro na razie nie wiemy nawet, kim lub czym jest Zły, nie możemy nawet stawić mu oporu. Przypuszczam, że musi tu chodzić o coś więcej niż Wergundowie czy Ormurin.

Kiedy wypowiedział tę ostatnią nazwę, syknęłam cicho, dotykając zaleczonego wczoraj boku. Nigdy wcześniej nie wierzyłam w powiedzenie, że nawet zaleczone rany lubią pobolewać, gdy o nich wspomnieć.

- Znów uratowałeś mi życie – uśmiechnęłam się do towarzysza. – Twoje czary widać mnie lubią.

Durgh nie odpowiedział, klepiąc mnie po ramieniu jak małe, niepoważne dziecko.

- Nie traktuj mnie jak niemowlaka – udałam obrażoną. – Jestem od ciebie ponad trzy razy starsza!

Odprowadził mnie do namiotu, by pomóc mi dopakować torbę z zapasami na dzisiejszą bitwę. Wiedziałam, że batalia będzie długa i ciężka, więc z sekretnych zapasów powyciągałam dwie paczki chleba elfów. Dodatkowo przejrzałam zbiór modlitw, które wcześniej przygotowywałam i znalazłam jeszcze kilka zakopanych w moich bagażach bandaży. Kiedy stwierdziłam, że jestem gotowa, Durgh z ukontentowaniem skinął głową.

- Uważaj na siebie, Aerlinn – rzekł. – Nie chcę widzieć cię już we krwi, jasne?

- Też nie chcę widzieć się we krwi, ale coś czuję, że jest to mało realne.

- Trzymaj się, kapłanko. Proś bogów o błogosławieństwo, a może moje życzenie się spełni.

- Wolalabym prosić za ciebie.

Nie wiedziałam, na ile jego słowa były prawdziwe, ale moje płynęły prosto z serca. Ten człowiek już dwukrotnie wyciągnął mnie znad przepaści śmierci, cóż innego mogłam dla niego zrobić? Kiedy więc tylko wyszedł, za ścianą namiotu nakreśliłam ochronny znak i wyszeptalam najpotrzebniejsze tego dnia słowa: *baskytte hem, chroń go*.

Wiele czasu tego dnia spędziliśmy w obozie, przygotowując wszystko, co mogło nam się przydać. Już poprzedniego wieczora na naradzie postanowiono porozdzielać różnym grupom różne stanowiska, co w połączeniu z odpowiednim zgraniem mogło skutkować zwycięstwem. Część przeciwników miała zostać wybita jeszcze w lasach przez driady, kolejna centuria czy dwie w górach przez orków i krasnoludy. Trzecim z oddziałów zająć mieli się Tryntyjczycy, dla nas pozostawiając jedną lub dwie centurie z twierdzy Kamieniec. Dwie centurie przeciw trzydziestce świeżo uzbrojonych więźniów. Zaiste, powalająca statystyka.

Jeszcze rano Ulf zakomenderował, że kilka osób uda się do fortu, gdzie mieliśmy się bronić i przygotuje tam potrzebny prowiant i miejsce na lazaret. Nam dopiero później wyjaśnił dokładny plan.

- Słuchajcie – powiedział, zbierając nas w halli. – Podzielimy się na dwie grupy, tak zwaną lotną i główną. Lotna pokaże się Wergundom i zaciągnie ich w las, gdzie połączy się z główną. Później razem wycofamy się do fortu, szarpiąc nieco atakujących i tam będziemy bronić się aż do zmroku, kiedy przybędą nasi sojusznicy.

- Brzmi nieźle – uśmiechnął się Meriadoc, a Keledy mu przytaknęła.

- Lily, to co? Bierzemy lotną? – zapytał.

- Ja z chęcią, chętnie pobiegam sobie po lesie.

- I ja pójdę – zgłosił się Vey. Dalej już nie słuchałam, nigdy nie byłam szybką biegaczką, więc w lotnej tylko bym zawadzała. W końcu, zgodnie z moimi zdolnościami, trafiłam do „główniej”. Wyruszyć mieliśmy za jakąś godzinę, może dwie, więc miałam jeszcze chwilę czasu.

Przykłękałam w moim leśnym zakątku, błagając o powodzenie dzisiejszej wyprawy. Dopiero teraz przypomniałam sobie, że mija właśnie siódmy dzień miesiąca, w którym kwitną lipy, piętasty ranek po przesileniu. Przed świtem kolejnego dnia przypadała rocznica moich urodzin. Obym tylko mogła ich dożyć.

- Aerlinn – usłyszałam głos wołający mnie od strony namiotów, ale modlitwy nie mogłam przerwać. Po chwili jednak wołająca mnie postać przyklęka obok mnie.

- Noxis – szepnęłam, gdy zakończyłam poranne modły. – Co ty tu robisz?

- Chciałem z tobą pomówić, tak o, po prostu. Czeka nas bitwa, a ja... nie chciałbym, żeby coś ci się stało.

- Następny – aż parsknęłam śmiechem. – Czy wy musicie tak troszczyć się o bezbronne kapłanki? Będę robić to, co do mnie należy, ratować życie, przede wszystkim innych, moje dopiero na końcu.

- Idealistka. Bitwa... to wszystko nie będzie wyglądało tak pięknie. Czeka nas tam walka o stokroć cięższa niż ta w obozie.

- Więc o stokroć bardziej będę się starała. Noxis, bracie! Wiem, że się o mnie troszczysz, widziałam, ile wczoraj dla mnie zrobiłeś, ale choćby błagał mnie sam książę Adarnil, nie porzucę przysięgi danej bogom. Choćbym miała zginąć, lecząc, a kogoś tym uratować, zrobię to.

- Pozwól mi chociaż zrobić jedną rzecz. Daj rękę.

Po tych słowach istotnie podałam mu dłoń, a krasnolud wyjął skądś fragment węgla i wyrysował mi na linii życia niewielką, ale czarną jak smoła runę.

- To Thursaz, runa ochrony. Musisz przeżyć.

- Dziękuję – powiedziałam nieco zakłopotana. Wcześniej nie zauważyłam, że krasnoludowi aż tak na mnie zależy.

- Hej, gołąbki! – ktoś przerwał moje rozmyślenia.

- Zak, ty niedorobiony głąbie! Spadaj!

- Noxis, wyrażaj się!

- Czemu on zawsze musi pakować się w nieodpowiednim momencie?! Od czasu walki o obóz zrobił się naprawdę nieznośny.

Zak wyglądał, jakby go piorun trzasnął, ale mimo jego zdrady wiedziałam, że od początku naszej znajomości trochę się zmienił.

- Coś się stało? – zapytałam, widząc jego minę.

- Nic, tylko... – przybysz z północy widać nie mógł się wysłowić.

- Noxis, zostaw nas samych na chwilę. Chcę się dowiedzieć, o co chodzi.

Krasnoludzki kapłan nie był tym pocieszony, ale spełnił polecenie. Ja tymczasem zwróciłam się do Zaka:

- No, mówże wreszcie, co się stało.

- Chciałem prosić cię o jedną rzecz – wydusił z siebie. – Gdybym dziś zginął, proszę, nie patrz tak na mnie, wiem, że moje słowa nie brzmią normalnie, ale... wstaw się u reszty, aby mnie wskrzeszono. Choćbyś miała poprosić tylko jeden raz, zrób to. Mam tu do wypełnienia misję, którą muszę dokończyć.

- Poprosić resztę zawsze mogę, ale znasz stosunek drużyny do ciebie. Nie wiem, czy wśród kapłanów znajdzie się wielu chętnych do ewentualnego rytuału.

- Więc obiecaj, że poprosisz. Przysięgnij na święte gaje Aenthil.

Nie za bardzo w smak była mi ta przysięga, ale przecież prosić zawsze można było.

- Na święte gaje Aenthil przysięgam, że gdybyś dziś zginął, poproszę resztę kapłanów, aby cię wskrzeszono. Tak mi dopomóż Silva!

Widać było, że Zak'Revanowi bardzo ulżyło po tych słowach.

Wkrótce nadeszła pora na wymarsz, więc nie miałam już czasu interesować się prośbami czy też po prostu rozmowami z innymi. Założyłam bandażę na nadgarstek, zaniiosłam ostatnie modły i spojrzałam na równie denerwującą się stojącą obok Nike.

- Gdyby coś mi się stało, powiadom, proszę, świątynię w Aenthil, dobrze? – poprosiłam.

- A ty moją. To dość mała świątynka Herby na wybrzeżu, nieopodal Birki.

- Uczynię, co zechcesz, obym jednak czynić tego nie musiała.

- I ja podobnie.

Nasza kurtuazyjna rozmowa pewnie jeszcze trwałaby dłuższą chwilę, gdyby nie to, że podzielono nas na grupy i przygotowano do wyruszenia.

- O Wielka Silvo, chroń nas – wyszeptałam. – *Baskytte selv, nadig Silva!*

Była to moja ostatnia modlitwa ochronna. Potem wypowiadałam już tylko inkantacje leczące.

- Idziemy w górę doliny, tak, jak wczoraj do jeziora driad – zakomunikował Ulf. – Potem poprowadzimy was w las. Meriadoc, masz worek z bransoletami?

- Jasne. Zbierałem je po całym obozie, ale na pewno się przydadzą.

- Też się cieszę – uśmiechnął się dowódca. – Zostawisz je w momencie zejścia z traktu, dobrze?

- Tak, tak. Mówiłeś mi to już tysiąc razy.

- A lotna? Wiecie, co macie robić?

- Oczywiście – przytaknęła Lily. – Chodzi po prostu o to, żeby Keledy mnie chronił, prawda?

- Pytam na poważnie.

- Tak, jasne, Ulfie. Wszystko wiemy, ale i tak boimy się, czy czasem nas nie posiekają.

- Lily!

Chyba nasz dowódca dał za wygraną, bo wkrótce wyruszyliśmy, pilnując szyku jak nigdy dotąd. Udaliśmy się w górę traktu i szliśmy tak z jakąś miłą, zanim Meriadoc nie wskazał na zaznaczone rankiem miejsce.

- To tu – powiedział. – Lotna zostaje z bransoletami, reszta za Ulfem w las!

Zaczęło się. Podział drużyny stał się dla mnie czymś strasznym, początkiem tego, co miało się wydarzyć. Widziałam już w moim śnie tę bitwę i nie chciałam przeżywać jej naprawdę. Ostrożnie wspięłam się na niewysoką skarpgę i za wojownikami udałam się w las.

W głównej było nas dość sporo i choć za złoto znalezione w Trupim Jeziorku nie udało się kupić wiele broni, mogliśmy twierdzić, że jesteśmy dobrze uzbrojeni. W pierwszym szeregu stanęli dwaj czy też trzej tarczownicy, dalej kilkoro mieczników i cywile, którzy mieli pomagać kapłanom, znaczy się mnie i Nike, zbierać rannych z pobojozowiska. Niemal natychmiast pozbyłam się jednego z bandaży na korzyść właśnie takiego gołowąsa.

- Tobie bardziej się przyda – rzekłam. – Jeśli zobaczysz jakąś bardzo poważną ranę, opatrz ją, a dopiero później nieś pacjenta do mnie.

- Tak jest – mruknął mały. Przez chwilę zaczęłam zastanawiać się, co skłoniło tak młodego człowieka do wyruszenia na nieprzyjazne ziemie Imperium, ale już wkrótce przysiadłam na leżącym przy ścieżce kamieniu i zamyśliłam się, starając się wyobrazić sobie to, co nas czeka. Do głowy nie przychodziły mi jednak żadne pozytywy.

- Aerlinn, słuchaj – szepnęła do mnie Nike, wskazując w kierunku głównego traktu.

- Ulf – skinęłam na dowódcę. – Słyszysz? Wergundowie są na trakcie.

Po chwili tupot słychać było już w całej okolicy. Było ich mnóstwo, skoro dało się ich słyszeć z takiej odległości. Całe szczęście, że, jak wynikało z oznajmionej nam dziś przez Ulfa nowiny, przeciw nam miała walczyć centuria, a nie dwie... Choć i tak setka przeciw naszej garstce... Zacisnęłam pięści, czując, jak coś przewraca mi się w brzuchu.

- Hej, ty, zwiadowco – to Einar wskazał na jednego z tych nieopierzonych malców. – Migiem za tamto drzewo na wzgórzu i obserwuj, co z Wergundami.

Takiego małego, a już wysyłają na śmierć. A zresztą, w takich proporcjach walczących, pewnie wielu z nas dziś zginie. Pani łaskawa, Pani mądra, przyjmij nas do swego królestwa.

Gdy tylko ta modlitwa uformowała się w mojej głowie, gdzieś za drzewami usłyszałam dźwięk mieczy uderzających o tarcze i jakiś wysoki krzyk. To lotna pewnie już się drze, nakierowując

Wergundów w naszą stronę, domyśliłam się. Potem zapuszczają się w las, a wrogowie wypadną prosto na nas. A przynajmniej tak zakłada plan.

Westchnęłam głośno, spoglądając na naszą garstkę. Ilu nas było? Piętnastu? Dwudziestu? Z lotną trzy dziesiątki. Każdy, kto kiedykolwiek widział jakąkolwiek naukę strategii, widział, że nie mamy szans. Setka... setka żołnierza bitnego i wyszkolonego. Żołnierza karnego, który nie ucieknie z pola bitwy. A my... Dajcie bogowie spokój!

Staralam się wygonić te czarne myśli z umysłu, ale niewiele to dawało. Kiedy więc na ścieżce głośniejsz zatupotali Wergundowie, niemal się ucieszyłam. Dość już rozważań, czas na konfrontację.

- Pani, wspomagaj! – zawołałam, zanim jeszcze wroga armia pojawiła się w zasięgu wzroku, a zwiadowca wrócił do szeregu. Nasi wojownicy ścigali tu przeciwników uderzeniami mieczy o tarcze, co nieco dodało mi odwagi. Do boju więc! Do boju po wolność!

Nie było tu żadnego z tych wielkich przedbitewnych przemówień, o jakich czyta się na historii. Nikt nie przypominał nam, że jeszcze kilka dni temu większość z nas nawet się nie znała. Zanim padł pierwszy rozkaz, rozbrzmiało niewiele słów, lecz każde z nich zapamiętałam do końca życia.

- Nadeszła chwila! – rozgrzmiał Ulf, pomagając sobie uderzeniem oręża o tarczę. – To bitwa, która zdecyduje o naszych losach! Ruszajmy więc w bój, po śmierć albo po życie, ale przede wszystkim po honor i odwagę! Zachowajmy dziś to, co tak cenią nasi sojusznicy, orkowie. Zgińmy wolni! Na pohybel psom Eudomara!

- Na pohybel! – odparli jak echo dawni więźniowie. W tym momencie zza zakrętu ścieżki wyszedł pierwszy oddział naszych wrogów. Nie wiem, czemu, ale odruchowo cofnęłam się o krok.

- Poddajcie się – krzyknął ktoś z przeciwnego obozu. – Poddajcie się, a może darujemy wam życie.

- Odejdźcie, wergundzkie psy! To wy powinniście opuszczać ziemie wolnego Tryntu z podkulonym ogonem!

- Wolnego Tryntu? Patrzcie ich, jacy odważni! Ten wolny Trynt dziś zostanie starty w proch, jak inne, nic nieznaczące bunty i powstania.

Po tych słowach atakujący ustawili typowego „żółwia”, a spomiędzy potężnych pawęży wysunęli tylko lufę samopału.

- Uwaga, padnij! – krzyknął ktoś z naszych, lecz i bez tego każdy wiedział, co zrobić. Kule tylko upiornie świsnęły nad naszymi głowami. Gorzej z tym, że Wergundowie, wciąż w idealnym szyku, ruszyli wprost na nas.

- Do szyku! – wrzasnął Ulf, zbierając z ziemi swoją tarczę i wraz z resztą hirtu stając w pierwszym szeregu. Zastanawiałam się, na ile takich krzyków i przede wszystkim na ile walki starczy mu dziś sił po wczorajszym wskrzeszeniu.

Bitwa rozgorzała tak błyskawicznie, że nawet nie spostrzegłam pierwszych ciosów zadanych z obu stron. Widziałam tylko, jak Ulf powoli cofa się wraz z szeregiem, pierwszym z cywilów nakazując chronić się za drzewami. Rannych jednak na całe szczęście nie zauważyłam.

- Mają miążdżącą przewagę – szepnęła stojąca obok mnie na razie także bezrobotna Nike.

- Widzę, ale musimy poczekać na lotną. Dopiero wtedy możemy zacząć się wycofywać.

- Czekamy na lotną! – powtórzył „niewie” głośniejsz nasz dowódca, a szereg zwarł się z Wergundami po raz kolejny. Pierwsza postać upadła na ziemię, co wraz z Nike skwitowałyśmy błyskawicznym krzykiem na gołowąsów. Pierwszym rannym okazał się Meriadoc.

- Pani, przywróć mu zdrowie i daj siły do dalszej walki w obronie twych dzieci! *Giore til langs, Silva, heilbrigi hem! Heilbrigi hem skade!*

Poczułam w sobie znajomą moc, a Fiordyjczyk otworzył oczy i, jakby nigdy nic, chwycił miecz, po czym rzucił się w wir walki.

- *Takke para bra heilbrigi* – podziękowałam niebiosom, zanim nie przyniesiono mi kolejnego z naszych.

- Nie cofać się – grzmiało. – Nie coofaaaać się! Staaaac! Damy raaadę!

Damy? Damy radę, tak powiedział. Nie ma to, jak rozpaczliwe podnoszenie naszych morale. Szans nie mieliśmy i wiedziałam to od dawna. Szepcząc kolejną modlitwę nad następną zakrwawioną postacią, wiedziałam już, że jeśli nie ulecę rannych możliwie szybko, walka zakończy się w ciągu najbliższych dwóch minut. Tak nie leczyłam jeszcze nigdy, ale cóż. Kiedyś musi być ten pierwszy raz.

Wytrzymaliśmy tak może z minutę, zanim spomiędzy drzew doszły nas gwizdy i piski lotnej. Podziało to na nas niezwykle mobilizująco, bo każdy z nas nagle poczuł, że może jednak mamy jakieś szanse.

- Wycofujemy się w las! – krzyknął Ulf, ale przez chwilę nie mogłam pojąć, dlaczego. I wtedy ich zobaczyłam. Pozostałe pół setki wergundzkich pawęży torujących sobie drogę przez gąszcz.

- Chodu! – zabrzmiało coś, co miało być rozkazem, a naprawdę było rozpaczliwym krzykiem któregoś z naszych dowódców. – W las, fajtlapy! W las!

Teraz chyba nikt nie nazwałby mnie tchórzem, choć biegłam w jednym z pierwszych szeregów, wśród tych, którzy zaczęli wycofywać się najwcześniej. Za nami miecznicy wciąż odpierali ataki, gdy nagle...

- Wergudowie poszli za lotną! Jeśli szybko się z nimi nie połączymy, wiecie, że już ich nie zobaczymy!

- Więc łączmy...

I wtedy zrozumiałam. Nas od lotnej i przeciwników oddzielała głęboka fosa mająca swój początek przy opanowanym przez atakujących trakcie.

- Za mną, bracia! – zawołał któryś z Fiordyjczyków. – Za mną, tylko uważać, nie zbliżać się do brzegu fosy! Nie chcemy ofiar!

Ruszyliśmy za miecznikami, których ze dwóch zostało też w straży tylnej. Przez dłuższą chwilę przedzieraliśmy się przez gąszcz i tylko na moment pojawialiśmy się nad skrajem fosy. Dochodzące z lasu odgłosy napawały mnie lękiem, jakiego nie czułam nigdy dotąd.

W końcu doszliśmy w miejsce, gdzie zbocza fosy robiły się łagodniejsze i schodziły się ze wszystkich stron w niewielką, w innych okolicznościach pewnie nawet malowniczą kotlinkę.

- Lotna musi się do nas przedrzeć, a tu ma do tego wręcz idealne miejsce! Czekamy! Kapłani i cywile do tyłu, Aarendil pilnuje, co by nam ich nie poraniono!

I znowu to denerwujące oczekiwanie, a potem... Pojawili się Wergudowie. Nie znam się na liczbach i oddziałach, ale wiem, że było ich teraz dużo więcej, niż tylko ta pierwsza grupa, z którą mierzyliśmy się wcześniej. A za nimi była lotna, która miała za zadanie przedrzeć się przez tę zaporę z tarcz.

Ruszyli szaleńczym pędem, starając się utorować sobie drogę krótkimi, ale celnymi cięciami mieczy. Gdzieś na zboczu dwójka łuczników, młody, ale zabójczo celny Halt oraz jego towarzysz Elvgar, wspomagała tę szarżę wypuszczanymi raz po raz strzałami. Walka rozgorzała po raz kolejny, krzyki rannych znowu zabrzmiały, ale tym razem, tym razem były jakieś... krótsze.

- Straciliśmy naszych! – ta straszna nowina sprawiła, że chciałam pędzić tam, na pole bitwy, i pomagać, jak tylko mogłam. Aarendil jednak spojrzał na mnie takim wzrokiem, że wszystko mi wyperswadował.

- Tam są kapłani, gdyby ich nie było, wołano by was – powiedział tak bezbarwnym głosem, jakim musiał mówić w Laro, swej kamiennej ojczyźnie. – Musicie być bezpieczni, póki możecie. Nie narażajcie się bez powodu.

Mimo tych słów i tego, że krzyki jakby cichły, wciąż bałam się o walczących w kotlinie. A gdy po chwili zobaczyłam, jak łucznik Halt zakłada na plecy bezużyteczny bez strzał łuk i pędzi wprost na nas, wiedziałam już, że coś się nie uda. I faktycznie. Drogę naszemu towarzyszowi zastąpiła

trójka czy czwórka Wergundów, z którymi, rzecz jasna, nie miał najmniejszych szans. Ledwie dostrzegłam błysk wrogiego ostrza, a myśl, która opanowała moją głowę nie należała do radosnych. Mimo to Halt jakimś cudem wywinął się spod miecza, zrobił jeszcze kilka uników i krótkim sztyłem zdołał dźgnąć jednego z napastników. Później jednak zapłacił za to stokrotną cenę. Głowa naszego towarzysza jeszcze długo po tym ciosie toczyła się po górskim zboczu.

- Nieee! – krzyknęłam, odwracając wzrok od tego straszego widoku. Choć nie znałam Halta osobiście, nie mogłam ścierpieć tego, co mu się stało.

- To właśnie jest bitwa – smętnie rzekł Aarendil, wskazując na zostawione przez Wergundów pobojowisko. Niewielu naszych jeszcze broniło się, a ostatki lotnej pomagały im, jak tylko mogły.

Przez ułamek sekundy zdawało mi się, że to leśny kot długim susem znalazł się w samym środku walki, ale po chwili dostrzegłam w rękach tego wojownika lśniący srebrzyście miecz. Krótkie, ciemne włosy i niemal taneczne ruchy właściciela tego oręża przez chwilę sprawiły, że zupełnie oderwałam się od rzeczywistości. Mówiono mi kiedyś o szkoleniach, jakie przechodzą łowcy potworów, ale nie spodziewałam się że ten elf, Tsuna, sprawi mi taki szok!

Walczyl jak natchniony, jakby nie otaczała go cała armia wroga, a jedynie jeden czy dwóch przeciwników. Nie widziałam go nigdy w takim stanie, nigdy nie machał mieczem w podobny sposób, ale teraz trudno byłoby powiedzieć, że jego styl mi się nie podobał. Był zabójczo piękny, a jednocześnie bezlitośnie skuteczny. Do czasu.

Tsuna zawsze służył z uników, ale gdy kilkakrotnie wywinął się spod ostrzy będących o grubość palca od jego brzucha czy szyi, każdy, kto na niego patrzył, był pod ogromnym wrażeniem. Wergundom nie było w smak, by ktoś taki choć chwilę zagradzał im drogę. Podwoili liczbę walczących z mym rodakiem, a on, choć dzielny, nie mógł dać im rady. Zaczął się wycofywać, wciąż kontynuując swój taniec. Tyle, że nawet on, jako łowca potworów, nie był szkolony w walce przeciw tylu ludziom na nieznanym gruncie.

- Pani, chroń go! – wrzasnęłam, gdy zobaczyłam, jak po jednym ze swych uników potyka się o jakiś korzeń czy kamień. Niestety, nawet ta rozpaczliwa prośba nie zapobiegła temu, co stało się sekundę później. Co najmniej piątka Wergundów wprost przygwoździła mego męznego rodaka do ziemi.

- Tsuuuunaaaaa!

Odrzuciłam rękę Aarendila, mknąc w dół i nie spuszczać oka z leżącego i podziurawionego jak tryntyjski ser elfa.

- Wracaj na górę – dosłyszałam jeszcze głos Noxisa, ale dopiero rozkaz Ulfa przywrócił mi rozum.

- Wycofujemy się – rzekł dowódca, popierając słowa gestem.

- A ranni i zabici?

- Nie mamy czasu. Ranni zostali już uleczeni, a zabitym... – tu zawiesił głos, widać wspominając wczorajszy wieczór. – Zabitym nic już nie pomoże. Nie możecie tracić sił na rytuał.

Znów szliśmy przez las, próbując obejść Wergundów tak, by wślizgnąć się do zabarykadowanego rankiem fortu. Byłam zła, na siebie, na świat, nawet na bogów, co jednak szybko wybiłam sobie z głowy, by nie doprowadzić do kolejnego nieszczęścia.

- Kogo jeszcze straciliśmy? – zapytałam, gdy tylko zakończyłam tradycyjną modlitwę za zmarłych.

- Nie wiem, czy cię to ucieszy, czy zasmuci, ale Zaka – odpowiedział mi biegnący obok mnie Aarendil. Nike została z tyłu, by pomagać rannym ze straży tylnej, a mi kazano ewentualnie leczyć, gdyby zaatakowano nas z przodu.

- Zaka?! – upewniłam się. – Naprawdę? Jasnowidz jaki, czy co?! – wyrwało mi się z ust, gdy przypomniałam sobie poranną rozmowę z Zak'Revanem. A teraz miałam prosić kapłanów, żeby go wskresili, gdy sama prędzej wskrzesiłabym Tsunę czy nawet Halta! Bosko!

- Atakują tyły! – dobiegło mnie zza moich pleców, więc wraz z resztą cywili zatrzymałam się i odtąd wszystko obserwowałam zza sporego pnia jakiegoś buka.

- Do szyku! – zabrzmiał potężny głos Ulfa, a ja zobaczyłam tylko przemykającą między drzewami Nike i pędzącego przy niej Durgha. Chciałam popędzić tam razem z nimi, ale rozkazy były wyraźne. Nie mogłam opuścić przedniej grupy, bo w razie jakiegokolwiek ataku zostaliby bez kapłana.

- Ulf ciężko ranny! – wrzasnął Meriadoc tak, że z drzew aż posypały się liście.

- Idę! – odskrzyknęłam, mając wszelkie rozkazy w głębokim poważaniu. Przeskoczyłam nad jakimś zwalonym pniem, kątem oka zerkając na resztę cywilów. Jak coś, myślę, że zdążę wrócić, wykalkulowałam, zanim dostrzegłam leżącego na ziemi, zakrwawionego Ulfa. Wyglądał dokładnie jak ten z mego snu.

Ciemne włosy naszego dowódcy całe były we krwi, a wykrzywiona pod dziwnym kątem głowa sprawiała wrażenie, jakby Fiordyjczykowi skręcono kark. Właśnie przy głowie siedział szepczący swoje modlitwy Durgh, a z prawej strony leżącego klęczała Nike błagająca Herbę o potrzebne łaski. To wszystko zdołałam zauważyć w jakąś sekundę, zanim zrozumiałam, że z szaleńczego pędu trzeba będzie jeszcze wyhamować.

Nigdy nie zapomnę kolejnych sekund. Staralam zatrzymać się na nieco śliskiej trawie, co poskutkowało efektywnym „szczupakiem” na kolana pacjenta. W ostatniej chwili zdołałam jeszcze wyciągnąć rękę, którą natychmiast położyłam mu na piersi. Gdy reszta zebranych patrzyła na mnie jak na wariatkę, ja, śmiertelnie poważna, zaczęłam swoją misję:

- *Giore til langs, Silva...*

Uleczyć Ulfa jest równie ciężko, co go zranić, a pewnie nawet ciężiej, to chyba moja maksyma po tej minucie czy dwóch spędzonych na nieustannym wzmacnianiu dowódcy zaklęciami i próbach wyprostowania mu głowy. Kiedy w końcu się udało, mężczyzna otworzył oczy i spróbował usiąść, dziwnie macając się za szyję.

- Pewnie mu się tylko wydawało, że skręcił ci kark – mruknęła Nike, która z każdą chwilą coraz bardziej zaczynała przypominać drugiego z kapłanów Herby, Ivara. Nie było dobrze.

- Idźcie, jestem słaby, zostawcie mnie. Pełnijcie swoją misję – jęknął Ulf, zanim kolejne zaklęcie nie wzmocniło go na tyle, by mógł normalnie mówić.

- Potrzebujemy cię – powiedziałam. – Bogowie nie przywrócili cię do życia tylko dlatego, byś dziś do nich wrócił. Wstań i chodź z nami do fortu. Wiem, że dasz radę.

Dzielny Fiordyjczyk spojrział na mnie tak samo, jak reszta po moim pięknym wślizgu, ale wkrótce, po kolejnych dwóch wzmocnieniach, wstał i ruszył z nami. Tylna straż, wciąż walcząca, znów zaczęła się wycofywać.

Droga przez las okazała się trudna i bardzo długa, jak na fort, który nie powinien być od nas aż tak daleko. Przedzieraliśmy się przez młodziaki, gdzie trzeba było uważać, by nie dostać w oko gałęzią, przeprawialiśmy się przez głębokie fosy, czy też jary, których zbocza były tak strome, że nieraz z trudem się na nie wspinaliśmy. Wreszcie raz po raz odpieraliśmy ataki rozwścieczonych Wergundów.

Był to już prawie kres, jak się później okazało, naszego marszu, ale gdy szłam, nie miałam pojęcia, co czeka mnie za zakrętem czy kolejnym jarem. Wtedy właśnie poprowadzono nas na brzeg fosy i polecono znaleźć się na drugim jej zboczu. Jęknęłam cicho, bo miałam już dość tego nieustannego wspinania się i zjeżdżania po kamieniach.

Pierwsi w dół ruszyli członkowie hirdu, którzy niemal bez problemu zjechali po niestabilnym zboczu. Później nadszedł czas na Noxisa, resztę kapłanów oraz cywili. Za krasnoludem przez jar przeprowałam się ja.

- Blaah! – wrzasnął kapłan Wejana, kiedy niemal na samym dole potknął się i spadł na nieco nadwyrężony w ciągu ostatnich dni łokieć. Klnąc, na czym świat stoi, ruszył dalej, a ja skierowałam się w dół.

Postanowiłam zjechać na sposób hirdu, co nie okazało się złym pomysłem. Zbocze było, o dziwo, w miarę gładkie i pozbawione większych przeszkód, więc w kilka sekund znalazłam się na dole. Zanim jednak zatrzymałam się, zdecydowanie za wcześnie spróbowałam wstać, co poskutkowało nieprzyjemnym wykręceniem kolana. Dołączyłam się do przekleństw Noxisa.

- Nic poważnego? – zapytał idący za mną Durgh, choć sama nie wiedziałam, w jaki sposób się tu znalazł.

- Przeżyję. Trochę poutykam, rozchodzę nóżkę i będę mogła odprawiać nawet rytualne tańce. Zresztą dziś nawet ze złamaną nogą mogłabym leczyć.

- Lepiej nie – parsknął śmiechem, zanim od czoła pochodu padła radosna wieść. Byliśmy na miejscu.

Fort z całą pewnością nie wyglądał na potężną twierdzę, której można by bronić miesiącami. Były to praktycznie niewielkie ruiny o dwóch półkolistych wejściach, z których jedno wyglądało na zasypane. Nasz bastion położony był nieopodal głębokiej fosy, a na szczycie jej zbocza ustawiono jeszcze niewielką, lecz naprawdę porządną barykadę.

- *Będziecie się tu mogli ładnie bronić* – usłyszałam nagle znajomy głos, którego... nie miałam prawa słyszeć!

- Tsuna? – szepnęłam z lękiem, a ręce zaczęły dygotać mi z nerwów.

- *Mówiłem ci, baranie, żebyś nie przeszkadzał kapłance.*

- Zak? Jasna cholera! Błagam, powstrzymajcie się choć chwilę! Musimy się tu jakoś urządzić, a z waszym gadaniem w głowie wcale nie jest to proste. Co to ja, szaman jestem, żeby z duchami gadać?!

Nieco podenerwowana weszłam do środka fortu, kontrolując umiejscowienie i wyposażenie lazaretu. Na palenisku rozpalono ogień, ktoś poszedł do studni po wodę do przemywania ran, a ustawiony naprędce krąg miał służyć nam do składania ofiar. Gdy tylko zainstalowaliśmy się w forcie, odprawiliśmy pierwsze modły. Z torby wyciągnęłam zebrane specjalnie na tę okazję szyszki.

- Pani moja! – szeptałam, by nie przeszkadzać w modlitwie innym. Każdy z nas miał chwilę na swoje własne prośby, by potem, już wspólnie, wygłosić ostatnią i największą z nich. – Pani, Silvo Prześwieta! Ty dziś swoją mocą wielu już uratowałaś, wielu też jeszcze uratujesz. Przez moje ręce, o Opiekunko Życia, udzielaj innym swej łaski, rannych przywracając zdrowiu, a zabitych... a zabitych życiu. Pozwól, Pani, by nie zginął już nikt! Chroń nas i osłaniaj aż po kres naszych sił i wiary!

- O bogowie! – wspólną modlitwę zaczął Durgh. – Wybawcie nas dziś ode złego, strzeżcie wasze sługi przed mieczami niewiernych! Wlejcie błogosławieństwo w ducha naszego, a żar w nasze serca! Niech pogarda będzie dziś naszym pancierzem, a gniew orężem, który ugodzi we wrogów wiary! O, bogowie, prowadźcie nas ku zwycięstwu! Zwyciężajcie przez nas!

Po tym wezwaniu każdy z nas spalił swoją ofiarę w płomieniach ogniska, błagając jeszcze bogów o sprzyjanie naszym zamiarom. Kiedy więc zakończyliśmy cały rytuał, minęło już dość sporo czasu.

- Aerlinn, zostań w lazarecie, będą przynosić ci tych ciężiej rannych – rozdzielił nam zadania wysłannik Toledy. – Ja, wraz z kapłanem Rega, wezmę swój miecz – tu zawahał się lekko – i pójdę wspomóc wojowników.

- Pójdę z wami – rzekł Hogar, sługa Skogura. – Trzeba wreszcie zrobić jakiś pożytek z tego oręża.

- Dobrze więc. Noxisie, idź zastawić te swoje runiczne pułapki. Ivar i Nike pójdą leczyć tych lżej rannych, którym można udzielić pomocy jeszcze na polu bitwy.

Po tych rozkazach wszyscy jakby wsiąknęli w ziemię, tak szybko się rozbiegli. Zostałam tylko ja, opiekunka szpitala, i sam Durgh, z nadzieją spoglądający na lśniące mu u pasa ostrze.

- Teraz nie wiem, czy chciałbym drugi raz wyłowić je z tego jeziora – powiedział. – Należy do Kościoła, a ja jedynym wysłannikiem Eklezji w tych okolicach. Problem jest jednak z używaniem tego oręża. To Miecz Równowagi. Zadając nim cios, odczuwam ten sam ból, co osoba, którą ranię. Nie wytrzymam długo, walcząc nim.

- Ale najwyraźniej nie opętał cię ani nic z tych rzeczy. Przynajmniej tyle dobrego. Tsuna mówił...

- Nie wiem, co mówił, ale nie zamierzałem go słuchać. Ani nie zamierzam! – rzucił, jakby w powietrze, a ja zrozumiałam, że to któraś z blakających się dookoła dusz zaczęła pewnie wrzeszczeć mu do ucha.

- Bo zaraz cisnę egzorcyzmem! Wybacz, Aerlinn, ale to, co dzieje się w tych lasach, przechodzi wszelkie pojęcie. Rozumiem, zaczepiać szamanów, ale wysłannika Toledy?!

- Lubiłam Tsunę – rzekłam cicho. – Szkoda, że sprawa tego ostrza tak was poróżniła. Może gdyby nie to...

- ATAKUJĄ!!!

- Muszę iść – blade uśmiechnął się Durgh. – Nie będą na mnie czekali.

- Tylko nie wracaj do mnie – teraz to ja uniosłam nieco ku górze kąci ust. – Nie chcę widzieć cię przed końcem bitwy.

Po tych słowach usiadłam na przygotowanym dla rannych kocu i ukryłam twarz w dłoniach. Pani, chroń go, tylko te słowa miałam w głowie.

Bum! Ka bum! Krasnoludzkie pułapki zdały pierwszy egzamin, a ja wychyłam z fortu, by zobaczyć, co dokładnie dzieje się na zewnątrz. Na oko pięćdziesięciu, sześćdziesięciu Wergundów przedierało się przez fosę ku stojącym na jej brzegu sprzymierzonym oddziałom. Czy tylko ja myślałam, że nie mamy szans?

- Orwidor, dawaj! – usłyszałam głos Noxisa żywiolowo gestykulującego w kierunku następcy tronu Imperium. Ten najwyraźniej zrozumiał, bo zaczął mamrotać coś pod nosem, po czym uniosł obie dłonie, wykonując nimi jakiś skomplikowany gest. Kilkunastu napastników nagle znikąd trafiło na dziurę w ziemi. No cóż, trzeba uważać na dołki kopane przez magów tego żywiołu. Jasnowłosy książe o wyglądzie cherubinka uśmiechnął się perfidnie.

Mimo wszystko nawet magia, kapłańskie runy oraz nasza barykada z gałęzi i kamieni na niewiele zdały się przeciw atakującej armii. Już wkrótce pierwsi żołnierze zaczęli wdrapywać się na wypłaszczenie przed fortem, gdzie ustawił się prowadzony wyjątkowo przez Lily szyk. Ulf stał z tyłu, tuż pod ścianą, z miną dziecka, z którym nikt nie chce się bawić. Miecz dawno już oddał, tarcza spoczywała na rękach innego członka hirdy, a, jakby tego było mało, wyczerpany dzisiejszymi zdarzeniami Fiordyjczyk podpierał się sporym kijaszkiem służącym mu za laskę.

- Ulf, obiecaj, że nie rzucisz się zaraz na nich z tą laseczką – uśmiechnęłam się do dowódcy.

- Nie rzucę się, a przynajmniej nie na razie. Może w krytycznej sytuacji...

- Ulf!

- No dobra, żartuję. Nie zmarnuję dzisiejszego leczenia.

W czasie naszej rozmowy napastnicy posuwali się krok za krokiem w stronę naszych tak, że nie byłam pewna, czy po prostu nie przepchną ich na drugi koniec fortu. Wśród Wergundów wszyscy byli wysocy i dobrze zbudowani, jak przystało na zawodowych żołnierzy i w porównaniu do naszej garstki prezentowali siłę huraganu zmiatającego lasy z powierzchni ziemi. Na widok czarnych znaków na ich zbroi każdy rozumiał, jak ciężką będziemy mieć przeprawę.

- Czarny Tymen – szepnął do mnie Ulf, patrząc na Lily tak, jak ojciec patrzy na córkę. – Elita wergundzkiej armii. Nie przeżyjemy dzisiejszego dnia.

- Więc chociaż zginiemy w walce, a potem spotkamy się po drugiej stronie – powiedziałam, wiedząc, jak ważna dla wojownika jest godna śmierć.

- Taa. Po drugiej stronie...

- *A wiecie choć, jak tu jest pięknie?*

- Ciszey, wy niewychowane duchy! Wiem, jak wygląda miejsce, w którym teraz jesteście. Nie zapominajcie, że wczoraj też tam byłem!

- Spokojnie, Ulf. Ciesz się, że nie musisz wysłuchiwać ich cały czas, jak niektórzy. Tsuna najwyraźniej obrał sobie za punkt honoru straszenie mnie.

Przerwałam, widząc, co dzieje się na placu boju. Wergundowie klinem wdarli się w nasz oddział, rozdzielając go na część główną, przy wejściu do fortu, i drugą, poboczną, którą natychmiast rozbili. Zdołałam tylko zauważyć leżącego wśród rannych Durgha.

Wyczuliłam zmysły na to, co dzieje się z tamtej strony. Chciałam biec, ratować leżących, ale nie miałam pojęcia, jak można ominąć wrogą armię. Wtedy właśnie poczułam delikatną wibrację zaklęcia. Więc kapłan Toledy żyje i na dodatek leczy innych!

Lecz, jak to mówią ludzie, wszystko, co dobre, szybko się kończy. Ta sama wibracja magii, która mnie przyniosła nadzieję na to, że towarzysz żyje, jego przyprawiła o kłopoty. Jeden z napastników, widać także czując rzucone właśnie zaklęcie, odwrócił się w stronę Durgha.

- Hej, ty mały kundlu! Śmiesz leczyć za naszymi plecami?!

- W imię Toledy, tak! – odpowiedział najdzielniejszy z kapłanów. – Za mną, bracia!

Ci, których przed chwilą uleczył, stanęli teraz w jednym szeregu ze swoim wybawcą, lecz kimże oni byli w porównaniu do nawały, jaka na nich nadciągnęła. Kilku zdrowych, z czego większość osłabiona, przeciwko ponad dwudziestce żołnierzy Czarnego Tymenu. Czarno to widzę, mruknęłam w myślach.

- Tooooleeeedooo! Wspieeeeeraaaaaj! – zabrzmiało niczym grzmot, a Miecz Równowagi zabłysnął jak błyskawica, jak grom na niewiernych.

Ujrzałam to, jak w zwolnionym tempie. Durgh ze swym magicznym orężem, kilkoro uleczonych przez niego żołnierzy i wszyscy oni w szaleńczej szarży na pędzącą na nich grupę.

- Pomóżcie im! – wrzasnęłam, widząc jak długowłose blondyn skręca się w piruecie, omijając kolejne wymierzone w siebie ostrza.

- Prowadź ku zwycięstwu! – krzyknął jeszcze, zadając cios swoim mieczem. Byłam chyba jedną z nielicznych, którzy zauważyli wykrzywający mu usta grymas bólu. Miecz Równowagi, no tak. Durgh pewnie nie powiedział o nim wszystkim w obozie.

- Przebijamy się do nich! – zakomenderowała swoim niepowtarzalnym głosem Lily. – Sława niepodległemu Tryntowi!

- Sława! – odpowiedziało wojsko, kierując się ku walczącym ostatkiem sił pacjentom wysłannika Toledy. Sam zaś kapłan...

- Gdzie Durgh?! – zawołałam, także, już za żołnierzami, biegnąc w tamtą stronę. – Durgh, w imię bogów!

Nie wiedziałam, że nie mógł już nam odpowiedzieć. Wergundowie co prawda wycofywali się już za fosę, ale pozostawili po sobie paskudną pamiątkę. Poderżnięte gardło naszego najmężniejszego sługi bogów.

- *Heilbrigi hem skade* – krzyknęłam, zanim ktoś spróbował tłumaczyć mi, że mój towarzysz już nie żyje. Dzisiejszy sen stanął mi przed oczyma.

- Bzdura! Nie widzicie, że jeszcze dycha?

- Zwołajcie wszystkich kapłanów na rytuał – zarządził Ivar. – Niech wojownicy przeniosą Durgha do lazaretu, tam się nim zajmiemy.

Gdy unieśli go, myślałam, że albo zginie po drodze, albo tuż po dojściu. Oczywiście, starali się być delikatni, ale w tym momencie daleko im było do troskliwości nawet dyżurnych kapłanek w

elfickich szpitalach. Szczęściem, udało się donieść kapłana bez większej szkody dla niego, a bodajże Aleksander przyniósł za Durghiem jego miecz, którego nie zdołały utrzymać słabnące ręce sługi Toledy.

- Krąg! – krzyknął Ivar, co zanotowałam jako jego pierwsze w historii podniesienie głosu na kogokolwiek. – Do kręgu i leczmy go!

Wykonaliśmy polecenie bez szemrania i gdy kapłan Herby wypowiedział sakramentalne wezwanie do modlitwy, z fortu rozległo się wołanie, które po prostu musieli usłyszeć bogowie.

- *GIORE TIL LANGS, Herba, Reg, Skogur, Wejan, Silva et Toleda! REKKE HEM SAUDE!* Dajcie mu, o bogowie, zdrowie i siłę! *REKKE HEM SAUDE! REKKE HEM SAUDE!*

- *Heilbrigi hem* – odezwała się Nike, a my powtórzyliśmy za nią jak echo, tyle że o stokroć głośniejsze.

- *HEILBRIGI HEM! HEILBRIGI HEM!* Uleczcie go, uleczcie jego rany!

- *Rekke hem evne!* Dodaj mu sił, Pani! – zawołałam i ja.

- *REKKE HEM EVNE! REKKE HEM EVNE!*

Problem był w tym, że mimo takich modlitw Durgh wciąż nie odzyskiwał przytomności.

- Pani mądra i dobra – zaczęłam więc tradycyjną prośbę. – Ciebie zwiemy Opiekunką Życia i protektorką wszelkich stworzeń biegających wśród lasu. Wejrzyj na mą prośbę, wejrzyj na tego kapłana Toledy, który nieraz i Tobie usługi swe oddał. Daj mu wrócić do nas, daj żyć!

Zamilkłam na chwilę, próbując zebrać myśli, a gdy przemówiłam, mój głos wyraźnie drżał.

- Pani łaskawa i miłosierna, Ty wiesz, że Durgh był najdzielniejszym i najpotężniejszym z nas. Że mógł porwać tłumy swoją modlitwą, a setki uratować swoim leczeniem. Wielka Silvo, Władczyni Lasu! Nie pozwól, by taka osoba odeszła z tego świata w Twoim dominium. Nie pozwól, by ten kapłan odszedł tam, gdzie za nim pójść nie możemy!

Nie słyszałam już innych modlitw tak, jakbym nagle przeniosła się do innego świata. Widziałam wprawdzie resztę kapłanów, ale mój wzrok skupiał się tylko na Durghu, wciąż nie okazującym żadnych oznak poprawy. Fakt, ranę niemal natychmiast udało nam się zasklepić, ale czy po takiej utracie krwi mogliśmy cokolwiek zrobić?

- *Dołączy do nas?* – to Tsuna, jak zwykle, trafił na najlepszy moment na rozmowę.

- Nie, nie dołączy. Utrzymamy go na tym świecie.

- *To w sumie dobrze, nie chce mi się tu, w zaświatach, klócić z nim o ten przeklęty miecz. Bo, oczywiście, musiałby mi go oddać.*

Nie odpowiedziałam, szepcząc modlitwę wzmacniającą. Nie wiedziałam, na ile to pomoże, ale przecież każdy ułamek boskiej mocy był dla rannego na wagę złota. Kiedy zakończono wspólne modły, złożyliśmy Durgha na przeznaczonym dla pacjentów sienniku i przykryliśmy dwoma grubymi kocami.

- Idźcie w bój, zostanę przy nim – powiedziałam, dotykając gorącego czoła pacjenta. Może się uda, może bogowie zechcą utrzymać swego wiernego sługę na tym padole łez i nie pozwolą mu pójść dalej.

Reszta kapłanów odeszła, ale jakby przygaszona po tym, co się stało. Przy mnie i biednym kapłanie Toledy został tylko kronikarz-polityk Aleksander.

- Gdyby wezwano mnie do innych rannych, zostań, proszę, przy nim – rzekłam do Ofirczyka. – Nie można zostawić go w takim stanie bez opieki. I jeszcze jedno: gdybyś, Aleksandrze, usłyszał gdzieś w okolicy głosy duchów, chroń Durgha. Wiesz, jaki Tsuna był czasem nieodpowiedzialny, a teraz zmienił się pod tym względem na gorsze. Tylko by nam przeszkadzał.

- *To o mnie było? Aerlinn, wstydziłabyś się! Żeby tak o elfie mówić...*

- Słyszałeś? – zwróciłam się do kronikarza.

- Taa. Faktycznie może okazać się złośliwy. Obiecuję pilnować Durgha jak oka w głowie.

Mijała minuta za minutą, pacierz za pacierzem, godzina za godziną. Wergundowie przychodzili i odchodzili, nacierali i wycofywali się, a my siedzieliśmy w forcie, błagając niebiosa o udzielenie choć ułamku swej łaski i uzdrowienie naszego towarzysza. Nie raz, nie dwa wzywano mnie też na pole bitwy, kiedy to Aleksander zostawał przy Durghu, a ja leczyłam innych, którym zagroziły wrogie ostrza. Mimo to cała ta bitwa dla mnie kręciła się tylko wokół tych, którzy spoczywali w lazarecie.

Było ich kilku, najpierw tylko Durgh, a zaraz później także dwójka rannych, którzy walczyli w jego grupie podczas tej szaleńczej szarży. Kilka godzin później w szpitalu znalazł się też Noxis, lekko ranny, ale wyczerpany pod względem magicznym. Niedługo potem do lazaretu wniesiono też kolejnego martwego, naszego towarzysza, kapłana Rega.

- Jak zginął? – zapytałam, gdy zobaczyłam, że głowę Sędziego złożono w zupełnie innym miejscu, niż wskazywałaby na to anatomia.

- Jak widać – odrzekła mi Nike. – W swym szale poucinał głowy kilku Wergundom, w końcu jeden z nich stwierdził, że miarka się przebrała i na ustach z krzykiem: „pokażę, jak to się robi” zrobił to, co zrobił. O jednego, a może nawet o dwóch kapłanów mniej.

- Nawet nie mów! Noxis już dochodzi do siebie.

- Nie chodzi mi o Noxa. Mów, co z Durghiem.

- Wygląda, jakby spał i nie chciał się obudzić, ale jego stan się poprawia. Oddech ma już stabilny, nawet nie rzęzi, jak na początku.

W tym momencie, jak na zawołanie, sługa Toledy kaszlnął chrapliwie, a ja rzuciłam się ku niemu, by w razie czego móc mu pomóc.

- Trochę tu przydymiliśmy tym ogniskiem – zauważył siedzący przy ogniu Ulf, który, choć miał już nieco więcej sił, dalej utykał, jak przystało raczej na wilka morskiego, niż na wojownika.

- Masz rację. Powinniśmy przenieść Durgha gdzieś na zewnątrz, tylko tak, żeby nam go nie dobili. Jest stąd podobno drugie wyjście, prawda?

- Jest, pokażę wam, bo zaraz jeszcze udusicie mi żołnierza.

- Nie zrobilibyśmy tego – zapewniłam, ale podążyłam za Fiordyczykiem.

Dowódca zaprowadził nas jakby na piętro zrujnowanego fortu, tyle że tego, co dawniej zwano piętrem, nie było już od lat. W miejscu, gdzie kiedyś musiały być schody, teraz ziała dziura w murze i ziemny nasyp, który wywiódł nas wszystkich na świeże powietrze. Wyjście prowadziło na tyły fortu, co upewniało nas w mniemaniu, że jesteśmy tutaj bezpieczni.

- Trzeba wynieść tu Durgha i resztę rannych – powtórzył nasze słowa Ulf, a my i jeszcze któryś z odpoczywających akurat w forcie wojowników zabraliśmy się za ten delikatny manewr. W końcu wszystko było już gotowe.

Na świeżym powietrzu kapłan Toledy robił znacznie lepsze wrażenie niż w zadymionym wnętrzu fortu. Jego trupioblada z początku twarz zaczynała nabierać już kolorów, a oddech, znów spokojniejszy, sprawiał, że zauważaliśmy poprawę stanu zdrowia pacjenta.

- Muszę iść – westchnęła Nike, gdy tylko ułożyliśmy wysłannika Toledy we w miarę wygodniej pozycji. – Jestem potrzebna na dole bardziej, niż tu, a wy z Aleksandrem świetnie sobie radzicie.

- Jak będziesz gdzieś tędy przechodzić, powiadom nas, z łaski swojej, co się tam dzieje – poprosiłam.

- Jasne, ale teraz zmykam.

Było już sporo po południu, gdy Durgh wreszcie zaczął sprawiać wrażenie przytomnego. Wprawdzie nie otwierał jeszcze oczu, ale wyciągniętą ręką wodził wokół siebie, szukając oparcia. Podawałam mu więc swoją dłoń i przekazywałam nieco mocy, mobilizując jego ciało do dalszej pracy. Tak było, dopóki w okolicy nie pojawiła się Nike.

- Obie jesteśmy potrzebne – powiedziała krótko. – Chodź ze mną, pomożesz mi.

Zgodziłam się, bo przecież kapłanka kapłance nie odmówi. Elfka zaś powiodła mnie gęstymi zaroślami tak, że wkrótce... znalazłyśmy się przy samym polu bitwy, ale obok samej barykady, z dala od wznoszącego się nieco na lewo fortu.

- Tu wtedy ranili Durgha – poinformowała mnie wyznawczyni Herby, bym lepiej mogła umiejscowić te zarośla. – A przed chwilą poszła tu kolejna szarża, jest jeszcze szansa na uleczenie kogoś.

- Czyś ty zwariowała?! Rzucisz się w sam środek bitwy? Zaryzykujesz tyle, co on? Ty przecież nawet nie masz przy sobie miecza, by się bronić!

- Czyżbyś straciła już wiarę, Aerlinn? Bogowie nas osłonią.

Byłam przerażona, lecz, choć teraz sama nazywam się tchórzem, wtedy wiedziałam, co robię. Uleczyłam jednego czy dwóch rannych leżących najbliżej, ale chwilę później usłyszałam głosy Wergundów nawołujących się na kolejną szarżę. Wyciągnęłam więc Nike i tych, których zdołała przywrócić zdrowiu, po czym udałam się w stronę lazaretu. W mojej głowie brzmiało słowo tchórz, ale jednocześnie prośby Noxisa i Durgha: "nie chcę widzieć cię dziś we krwi".

Spojrzałam na Aleksandra klęczącego obok nieprzytomnego kapłana i powiedziałam, że zaraz wrócę. Zeszłam tylko na dół, zobaczyć, co właściwie się dzieje.

Nie działo się wiele. Ulf stał przy wejściu, spoglądając na wciąż dowodzącą Lily, nieliczni odpoczywający po wyleczeniu ranni powoli zbierali się do wyjścia, a z zewnątrz dochodziły tylko nieliczne krzyki i wszechobecny szczeł oręża. Kiedy wyjrzałam na pole bitwy, zdawało mi się, że cofnęłam się w czasie. Zobaczyłam bowiem praktycznie to, co kilka godzin temu. Chyba że... czy mi się wydawało, czy Wergundów było niemal tyle samo?

- Udało nam się wybić prawie centurię – rzekł z dumą Ulf, widząc, czemu się przyglądam. – Ale doszły do nich posiłki, niemal pół setki. A przecież po naszej stronie też mamy poważne straty. Pięć osób to u nas jedna szosta, a jeśli dodać do tego niezdolnych do walki, mamy już siedmiu nie biorących udziału w bitwie.

- Ulfie?

- Tak, elfko?

- Obiecuj mi, że gdy będą mnie potrzebować, zawołasz mnie. Jestem tam u góry, przy Durghu.

- Teraz już przez cały czas będziesz potrzebna, Aerlinn. Aleksander poradzi sobie przy kapłanie, a z całym wojskiem... Uzdrowiciele są i będą potrzebni.

- Masz rację – odparłam smutno. – Ale boję się ich tam zostawiać. Aleksander przecież też nie ma broni, a jeśli cokolwiek im się stanie...

- Będę na nich spoglądał od czasu do czasu. Spokojnie, poradzą sobie.

Więc idę, dodałam już w myślach, gdy przekroczyłam próg fortu i znalazłam się na placu boju. Trafiłam akurat na kolejną szarżę Wergundów, dzięki czemu od razu wykorzystałam część zapasów mocy, jakie wciąż miałam. Mimo to sytuacja wciąż nie wyglądała korzystnie.

Było nas po prostu mało, barykada powoli kończyła spełniać swą funkcję, a magowie i kapłani mieli coraz mniej sił. Wszyscy wiedzieliśmy, że czas wcale nie gra na naszą korzyść. Nie wiedzieliśmy nawet, co stało się z resztą naszych sojuszników, a słońce przecież już chyliło się ku zachodowi.

- Po zmroku ktoś ma nam pomóc, ale czarno to widzę – przyznał się któryś z gołowąsów jakimś cudem dzierżący zdobyczy, wergundzki dwurak.

- Może jakoś się uda dotrzeć do zmierzchu – westchnęłam. – Ale masz rację, nawet nie wiemy, co z innymi, czy w ogóle... czy mamy, na co czekać.

- Kapłana! – wrzasnął ktoś spod barykady, więc przerwałam rozmowę i natychmiast ruszyłam w tamtą stronę. Kiedy wróciłam, ów malec miał jeszcze smutniejszą minę.

- Co się stało? – zagałam.

- Problem jest w tym, że przysłała wiadomość. Boję się, że twoje słowa się sprawdzą. Nie będziemy mieć, na kogo czekać.

- Chwila! Wiadomość od sojuszników? I kto ją ma?

- A kto? Ulf oczywiście!

- To czekaj i krzycz, jakby co. Chcę wiedzieć, co jest grane. Ulf!

Biegłam w stronę fortu tak szybko, jak wojownicy w przeciwną, kiedy znów, jakie ja miałam szczęście tego dnia, zawadziłam o jakiś kamień i jak długa runęłam na kolana. Ból, który trwał od marszu do fortu, jeszcze się powiększył. Do środka bastionu weszłam, poważnie utykając.

- Jest wiadomość, prawda? – zapytałam prosto z mostu.

- Tak, ale nie wiem, czy chcesz jej słuchać.

- Chcę, cokolwiek by nie zawierała.

- Więc czytaj, ja nie chcę już na to patrzeć.

Wzięłam do rąk zakrwawioną i pomiętą kartkę pokrytą pismem, po którym widać było, że pisano w pośpiechu. *"Driady pod nawalą wroga wycofały się w swoje święte miejsce, a krasnoludy w górach przeszły do defensywy. Miasteczko Silberberg broni się ostatkiem sił."*

- A orkowie? A Tryntyjczycy? – zapytałam.

- O nich nie wiemy nic. Mamy tyle, ile mamy, trudno. Ale przypuszczam, że wszędzie jest podobnie. Nasze szanse maleją z każdą chwilą.

Nie potrafiłam odpowiedzieć na to stwierdzenie, więc udałam się na zewnątrz, tam, gdzie wciąż byłam potrzebna.

- Nie, elfko – usłyszałam zza siebie. – Nie idź już na plac boju. Czyżbyś była ranna, że utykasz?

- Nie – starałam się uśmiechnąć. – Po prostu w drodze tutaj nieco wykręciłam nogę i teraz pobolewa. Ale przecież leczyć wciąż mogę, to pójdę i pomogę! Nie lubię tak beczynnie siedzieć.

W tej właśnie chwili Wergundowie do reszty zniszczyli naszą barykadę, więc Lily rzuciła się do sterty leżących pod ścianą fortu kamieni. Mało kto jednak z oddziału zdecydował się jej pomóc.

- Wstyd i hańba! – krzyknął oparty o mur Ulf, po którego minie widziałam, że chyba zaraz ruszy do boju. – Żeby dowódczyni i to nie dowódca, a elficka dowódczyni musiała nosić kamienie na barykadę! Lily, masz w oddziale tylu chłopów!

Miałam świadomość, że wojownik nie wołał do mnie i, że zaraz mi się oberwie, ale mimo to także skierowałam się ku kupie głązów i zaczęłam pomagać Lily.

- Następna! – zawołał Fiordyczyk. – Nie dość, że nie w pełni zdrowia i sił, nie dość, że słabsza od was, żołnierze, to jednak ruszyła dupę i zabrała się za to, co ważne dla nas wszystkich. Pomogliście! A ty, Aerlinn – zwrócił się do mnie – masz ode mnie osobisty nakaz siedzenia w środku. Daj spokój, dziewczyno, przecież widzę, jak chodzisz! Jeszcze chwila i zaczniesz mi mdleć!

Ze zwieszoną głową udałam się do środka. Palenisko zostało już zgaszone, a na zewnątrz zaczęło robić się chłodno, przez co zdecydowaliśmy jednak przenieść Durgha znów do środka. Kapłan czuł się już w miarę dobrze, leżał z otwartymi oczyma, a nawet czasem próbował siadać.

- Nie przemęczaj się – powiedziałam, widząc, jak, już w budynku fortu, oparł się rękami o materac i powoli podniósł się do pozycji siedzącej. Chwilę potem jednak bezsilnie opadł na posłanie.

- Aleksander, przynieś mu wody – poprosiłam, szukając czegoś w swojej własnej torbie. Kiedy wyciągnęłam z niej zawinięty w liście chleb elfów, chyba każdy spojrzął na to, jak na prawdziwy rarytas.

Durghowi podałyśmy nieco wody, a potem kilka kęsów chleba, który, jak wiedzą wszyscy, którzy kiedykolwiek o nim słyszeli, świetnie dodaje sił. Jeden kawałek dałam też Aleksandrowi, a trzeci osobiście zaniósłam wciąż wyczerpanemu Noxisowi. Uśmiechnęłam się, kiedy usłyszałam dochodzące z zaświatów głosy duchów.

- No dobra, niech wam będzie – rzuciłam, odłamując pół kromki i układając ją na skraju materaca. Chwilę później chleba już nie było.

- Nie dość, że dokuczają, to jeszcze objadają wykończonych – uśmiechnął się kronikarz. Na twarzy Durgha zagościł podobny wyraz.

Widać było, że wysłannikowi Toledy daleko jest do pełni sił, ale przynajmniej nie musiałam się już bać, że nie przeżyje kolejnej godziny. Po skromnym posiłku wciąż leżał, nie mówiąc jeszcze nic, ale dobrze wiedziałam, jak wiele w takim stanie kosztuje każde słowo. Kiedy Aleksander na chwilę wyszedł z pomieszczenia, Durgh ponownie złapał mnie za rękę.

- Dziękuję – wyszeptał niemal bezgłośnie i pewnie po tych słowach zemdlałby, gdyby nie szybkie wzmocnienie modlitwą.

- Jesteś jeszcze słaby – rzekłam. – Uważaj na siebie, zwłaszcza teraz, gdy wydaje ci się, że jesteś już zdrow.

- Nie... jestem.

- Wiem, ale proszę cię, nie mów nic. Niepotrzebnie się męczysz, gdy powinienes wypoczywać. Nie wiadomo, czy nie będziemy musieli opuszczać tego miejsca w pośpiechu. Nasi sojusznicy ponoszą klęski, a i my niewielu mamy ludzi. Kto wie, jak będą wyglądać kolejne godziny.

Nie minęło kilka chwil od tych słów, a przez lazaret przebiegła Nike z rozwianym włosom pędząca leczyć pozostałości po ostatniej szarży Wergundów.

- Chodź! – krzyknęła, ale bogowie świadkami, jak bardzo bałam się iść tam, na drugą stronę pola bitwy. Poszłam za kapłanką Herby, ale w pewnej odległości, obawiając się tego, co tam zastanę.

- Szybciej, Yndir tam padła!

Tylko to sprawiło, że przyspieszyłam. Nike jednak pomoc chyba wcale nie była potrzebna. Wysłanniczka Herby lekko niczym ptak przemknęła nad pobojuwiskiem i zatrzymała się tuż przy Wergundce. Ja zaczęłam leczyć rannego Keledy'ego, gdy zobaczyłam kolejny oddział wroga wchodzący przez dziurę po barykadzie. Położyłam elfowi dłoń na ustach i wskazałam na jedyne w tym momencie wyjście, las.

- Uważaj – szepnęłam do Nike, która właśnie stawiała Yndir na nogi. Sama powoli wycofałam się za osłonę krzewów, obawiając się powtórki z sytuacji Durgha.

- A ci znowu leczą tam, gdzie nie można! – usłyszeliśmy wrzask któregoś z napastników.

- Nie ma czasu, Nike! – krzyknęłam, ale ona, jak w transie, zbliżyła się do kolejnego rannego. Ach, jak dokładnie widziałam to, co stało się później!

Wergundzki żołnierz popędził ku Nike z prędkością wręcz zabójczą, a jego ręka trzymająca miecz wzięła potężny zamach i rozharatała biednej kapłance całe plecy.

- Byle nie kręgosłup, byle nie uszkodził kręgosłupa – marzyłam, gdy wróg nie zauważył nas, leżących za krzakami i zaczął się wycofywać. W okolicy byłam na pewno jedyną kapłanką, a teraz nadchodziła moja chwila prawdy.

Cicho, jak prawdziwa elfka, skierowałam się ku Nike i wyszeptałam nad nią te słowa, które jeszcze wczoraj ona szeptała nade mną:

- Pani, przywróć zdrowie tej kapłance i daj jej siły, by żyć. *Heilbrigi hem!* Wcześniej nawet nie zauważyłam, że znalazłam się niemal na środku pola bitwy, tuż za plecami wrogów. Teraz jednak wiedziałam, że skoro już tu jestem, mogę wreszcie na coś się przydać. Cofając się, uleczyłam tylu rannych, co chyba przez wszystkie poprzednie godziny spędzone w forcie. Wychodząc na ścieżkę prowadzącą w stronę fortu czułam się nienajlepiej pod względem fizycznym, ale psychikę miałam gotową nawet do samotnej szarży. Wreszcie zrobiłam coś, o czym marzyłam, a czego nie miałam odwagi uczynić!

Wraz z Nike szłyśmy powoli, miałyśmy czas, a poza tym nie chciałyśmy nadwyręzać naszych i tak osłabionych organizmów. Reszta uleczonych pobiegła w tempie iście zabójczym, by jak

najszybciej włączyć się do walki. Kiedy więc i na nas przyszedł czas, stojąc przy górnym wejściu do fortu, spostrzegliśmy Ulfa.

- Właśnie na was czekałem, kapłanki – rzekł dowódca, a mnie, szczerze mówiąc, serce podeszło do gardła.

- Co się stało? Nigdy nie mówiłeś takim tonem...

- To jest już koniec, zaraz dorzną do reszty nasze oddziały. Słyszeliście kiedyś historię jarla Leifa? Rangveig, księżna Tryntu, nakazała mu odejść spod Arden jeszcze przed końcem batalii, by bronił Askaronu i resztek wolnego państwa. Teraz podobny rozkaz wydaję wam. Ukryjcie się gdzieś tu, u góry, jak to wy, elfki, potraficie i czekajcie kłęski. Gdy ucichną już jęki konających i wergundzkie wrzaski, idźcie i głoście to, co się tu działo. To wasza ostatnia misja.

- Chyba zwariowałeś! Przecież tam na dole wciąż walczą!

- Niedługo, drogie kapłanki, niedługo. Nawet głos Lily nie jest już taki sam, słyszycie?

Właśnie w tym momencie dobiegł nas wrzask naszej rodaczki, ale faktycznie, był on zupełnie inny, niż na początku. Elfka głos miała zachrypnięty i pełen czegoś, co w innych sytuacjach nazwałabym pewnie beznadzieją.

- Nie możemy tak uciec, tak ich zostawić! – krzyknęła Nike. – Oni tam wciąż potrzebują kapłanów!

- To powiedz mi szczerze, służebnico Herby, na ile zakłęb starczy ci mocy. Jeśli na mniej niż pięć, nie ma, co się tam fatygować.

Moja towarzyszka nie odpowiedziała, a i ja szybko skalkulowałam, że trzy, cztery zakłęcia są w moim przypadku maksimum możliwości.

- Zachowajcie moc na wyławianie z pobojowiska tych, którzy przydadzą się buntowi. Starajcie się uratować Lily, Keledy'ego, może kogoś z hirdu... Ale nie więcej! Nie chcemy stracić i was, wysłanniczki bogów! A teraz idźcie i ukryjcie się dobrze. Jeśli przyjdę tu, odwołam alarm i pomożecie nam normalnie, a jeśli nie... znacie rozkazy.

Zamilkł, odchodząc, a my, chcąc nie chcąc, wykonałyśmy polecenie. Ukryte w krzakach na zboczu fortu nasłuchiwałyśmy, co dzieje się na dole.

- Pójdę obserwować – powiedziała kapłanka Herby. – W razie czego, spokojnie, zdążę wrócić, a znając życie, Ulf w ogóle może o nas zapomnieć.

Zgodziłam się, choć niechętnie, znając zapędy Nike do pakowania się w kłopoty. Okazało się jednak, że jej obserwacje przyniosły nam pewną korzyść.

- Nie jest tak źle – odezwała się na chwilę przed tym, jak przy nas pojawił się nasz dowódca. Ulf odwołał alarm i pozwolił nam wyjść, co powitałyśmy zgodnym westchnieniem ulgi.

- Tylko nie marnujcie teraz mocy, wiecie, jak wygląda sytuacja – polecił, zanim sprowadził nas do środka fortu.

Siedzący przy Durghu Aleksander uśmiechnął się na mój widok, po czym wskazał na pacjenta. Z początku myślałam, że kapłan znów stracił przytomność, ale kronikarz nieco mnie uspokoił.

- Śpi – zakomunikował. – Przez sen zaś szeptał twoje imię.

Dobrze, że w forcie jest ciemno, pomyślałam, starając się uspokoić i sprawić, by rumieńce zniknęły z mojej twarzy.

- Dziwne, że akurat moje – powiedziałam cicho, błagając, by nie było słyhać drżenia mojego głosu. – Na jego miejscu bardziej dziękowałabym tobie.

- A ja nie – uśmiechnął się Ofirczyk. – Jesteś przy nim, kiedy tylko możesz, w przerwach między leczeniem i pomaganiem innym. A ja... ja od początku nie mam nic poza tym do roboty.

Z zewnątrz doszło mnie jakieś wołanie, ale na razie nie zwracałam na to uwagi. Dopiero po chwili spostrzegłam Ulfa wymachującego ku nam swoją laseczką.

- Aerlinn, idź tam, gdzie poprzednio! – usłyszałam. – Weź ze sobą Nike i może jeszcze kogoś, kogo znajdziesz po drodze! Zaraz lazaret może przestać być bezpieczny!

Wybiegłam w tempie istic szaleńczym, nie zauważając nawet, czy Aleksander biegnie za mną, czy nie. Dopiero potem, gdy wraz z Nike i którymś z lżej rannych ukryliśmy się w krzakach, zrozumiałam, że go tam zostawiłam.

Dźwięki bitwy zaczęły się nasilać, ktoś krzyczał, ktoś inny, chyba Lily, ustawiała resztki naszego oddziału w szyk. Błagałam tylko, by wrogie oddziały nie wdarły się do lazaretu, ale wiedziałam, że dziś już zbyt wielu mych modlitw wysłuchali bogowie, by mieć nadzieję na spełnienie kolejnej prośby.

Wreszcie odgłosy jakby ucichły, a my wszyscy, którzy ukrywali się w gęstwinie, zaczęliśmy zastanawiać się, czy już jest po wszystkim, czy da się jeszcze coś ratować. Problem był jeden, skoro Wergundowie wygrali, czemu nie było słychać ich krzyków? Czemu panowała taka cisza?

W końcu coś zaszeleściło na gałęziach, a ja, a obok mnie Nike, wstrzymała oddech. Kroki zbliżały się powoli, jakby ktoś przeglądał krzewy dookoła w poszukiwaniu nas. Przeraziłam się. Czyżbym już nigdy nie miała zobaczyć nadrzewnych budowli Aenthil?

- Kto to? – usłyszałam szept mojej towarzyszk.

- Nie mam pojęcia – odrzekłam tak samo cicho, na dodatek uciszając resztę gestem. Na tle jasnego jeszcze po zachodzie słońca nieba dostrzegłam wysoką postać w dobrze mi znanym, purpurowym płaszczu. Albo to był Ulf, albo ktoś, kto go zabił, co było, niestety, dużo bardziej prawdopodobne. Ostrożnie wychyłam spomiędzy gałęzi, starając się nimi nie zaszeleścić.

- Jesteście tu? – zabrzmiał głos, którego, przyznam szczerze, nie miałam już nadziei słyszeć.

- Ulf! Dzięki bogom! Co tam się stało? Mów, czemu jest tam tak cicho!

- Odparliśmy atak, ale nie ma na razie, co się cieszyć.

Moi druhowie chyba nie podzielali tego zdania, bo zanim weszliśmy do fortu, po całym lesie zabrzmiało ich wesołe wołanie.

- Dobra! – zawołał Fiordyczyk, zbierając wszystkich pozostałych w głównej izbie lazaretu. – Musimy się stąd wycofać, gdy tylko będzie na tyle ciemno, by od razu nas nie zauważono.

- Którędy wyjdziemy? – zapytał Keledy, który odpoczywał właśnie po kolejnej zadanej mu ranie.

- Jest tu korytarz, niewielkie przejście, ale nie zmieścimy się w nim na przykład z tarczami.

- Tym bardziej z rannymi – mruknęłam. – A ja poszkodowanych nie opuszczę.

Nikomnie nie powiedziałam, że mam na myśli szczególnie jednego pokrzywdzonego, ale Aleksander rzucił mi dziwne spojrzenie. Durgh wciąż spał.

- Nie ma jakiegoś innego wyjścia z takiej sytuacji? – zapytałam z nadzieją.

- Możemy się rozdzielić. Część sprawnych mieczników pójdzie tym przejściem, wyciągając Wergundów z dala od fortu, a reszta przekradnie się do obozu za ich plecami. Tyle że w tym planie każda rzecz może się nie powieść, a wtedy stracimy kolejnych ludzi.

- A nie dałoby się wyrąbać przejścia między Wergundami? Wtedy się nie rozdzielamy i być może mamy więcej szans. Nawet posiłki, które dostała wroga armia, nie pomogły im tak, jakby się tego spodziewali.

- Dzięki, Einar, można i tak. Zawsze spróbować nie zaszkodzi, a potem można, jakby co, skierować się w podziemia.

- Osobiście wolałbym unikać wszelkich kazamat – jęknął Fiordyczyk, spoglądając na swojego rodaka, Ulfa. – Zobaczmy jednak, co się da zrobić. Część z nas może pomóc i przejść się tym tunelem, wbijając się w bok Wergundów

Niezbyt dobrze poczułam się, musząc budzić i podnosić na nogi Durgha, któremu natychmiast oparcia udzieliła dwójka mężczyzn, Aleksander i Noxis. To samo uczyniono z innymi ciężiej rannymi, więc gdy całą bandą wypadliśmy na wypłaszczenie przed fortem, Lily nieco się zdziwiła. Nic jednak nie mogło przebić jej wyrazu, kiedy powiedzieliśmy jej o planie.

- Mór, zaraza, franca i trąd! – aż krzyknęła, patrząc na stojący po drugiej stronie fosy oddział wroga. – Wy chcecie się przez to przebić, tak?!

- Tak – rzekł Ulf, prostując się i wskazując coś stojącemu za nim Keledy’emu.

- Jesteś pewien? – zapytał elf.

- Jestem. To moja ostatnia okazja w tej bitwie.

Po tych słowach wziął od mojego rodaka jego krótki miecz, a potem zarzucił sobie na ramię ulubioną tarczę.

- Tak, Lily, chcę się przez to przebić – powtórzył, a biła od niego taka aura męstwa i odwagi, że każdy z nas wtedy rzuciłby się za nim w ogień.

- Chodźmy więc – blade uśmiechnęła się Lily. – Wszak jesteście mistrzami samobójczych misji.

Wojowników było niewielu, nawet, jak na naszą garstkę. Kiedy odchodzili w stronę wejścia do kazamaty, zdawało mi się, że Ulf jakby maleje, a Lily przycicha. Keledy przystanął na chwilę, jakby niezdecydowany, Onfis mocniej uchwycił swój miecz, a Vey, który szedł jako straż tylna tego małego pochodziku, ni stąd, ni zowąd zatracił swoje banickie „manier” i wyrównał do idealnej linii szyku, na dodatek poprawiając ustawienie idących przed nim mniej znanych z naszej drużyny. My, kapłani, to znaczy ci, którzy jeszcze mieli trochę mocy, powoli ruszyliśmy za drugim oddziałem szykującym się do szarży od czoła, od strony fosy.

Niestety, przebijanie się przez Wergundów wcale nie wyglądało tak, jak zapowiadał Ulf, a bardziej tak, jak spodziewała się Lily. Pierwsza szarża trochę naruszyła wrogie szeregi, ale tylko dlatego, że po prostu przeciwnicy nie byli na nią przygotowani, a już zwłaszcza nie spodziewali się ataku z boku. Nasza piętnastka jednak szybko musiała wycofać się ze zbocza, a w kolejnych szarżach grupie dowodzonej przez Ulfa szło jeszcze gorzej. W końcu zdecydowano szukać innej drogi.

- Są tu w pobliżu kazamaty nieco szersze niż ta, którą pokazywałaś – mruknął Meriadoc. – Może dałoby się tamtędy przejść.

Zgodnie z tą propozycją wzięliśmy pochodnie i rozpaliwszy je, weszliśmy do pierwszego tunelu, na oko wiodącego wprost na zachód. Niestety, kiedy tylko weszliśmy do pierwszego rozszerzenia kazamaty, okazało się, że trafiliśmy na ślepy zaułek.

- No nie! – krzyknęła Nike i zmęła przekleństwo w ustach. Powoli, dźwigając ledwie żywych rannych, wydostaliśmy się na górę.

- Ale gdzie są Wergundowie? – usłyszałam pierwsze pytanie, a potem spostrzegłam coś zupełnie innego. Trzy zakapturzone postacie o pokrytych łuskami rękach zbliżały się do nas z jakimś dziwnym bulgotem na ustach.

- Jaszczury! – zdążyłam jeszcze wychwycić, zanim na powierzchni rozpętało się piekło.

Jedna z upiornych istot spojrzała nagle prosto na wyjście z kazamaty, gdzie akurat pojawiła się trójka naszych, dwoje mężczyzn i praktycznie niesiony przez nich Durgh. Przez chwilę miałam krzyknąć do niego, by uważał na tych, którzy są obok niego, ale nagle zrozumiałam, że było to całkowicie niepotrzebne. Kapłan Toledy z zupełnie niespodziewaną siłą wyrwał się z rąk zarówno Noxisowi, jak i słabszemu Aleksandrowi, by nagle wyszarpnąć zza pasa miecz i uderzyć dwie stojące najbliżej osoby. Krasnolud i kronikarz bezwładnie zwałili się na ziemię, a opętany przez jaszczurołudzi wysłannik bogów popędził w kierunku Nike i także ją dotkliwie poranił.

- Durgh, co ty robisz?! – zdołałam krzyknąć, a kapłan odwrócił się w moją stronę, podnosząc swój miecz do kolejnego cięcia. W tym samym momencie jednak, na całe szczęście, ktoś go ogłuszył.

Przyklęłam przy towarzyszu, badając, czy nic mu nie jest, a Ivar skoczył ku leżącej na ziemi Nike.

- No mała, wstawaj – powiedział po prostu, zanim powiedział zwyczajową formułkę. – Herbo, to znowu ja, twój Ivar. Ulecz moją towarzyszkę, a nie będę już dziś przeszkadzać ci w odpoczynku.

Nie wiem, czemu takie modlitwy działały, ale najważniejsze w tym momencie było to, że elfka podniosła się i z uśmiechem podziękowała zarówno bratu w wierze, jak i swej Bogini. Mi udało się doprowadzić Durgħa do w miarę dobrego stanu.

- Jakim cudem? – szeptał tylko wysłannik Toledy. – Przecież kapłańska tarcza... Jak to się stało? O, Pani, czemu do tego dopuściłaś?!

Tymczasem dowództwo, które jeszcze chwilę ściagało jaszczuroludzi, stwierdziło, że nie tylko nie dało się ich trafić, ale po kilku sekundach po prostu rozplynęli się w powietrzu.

- Może to jakaś iluzja? – poddała pomysł Lily, a Noxis jej przytaknął.

- Chwila! – dodał jeszcze, trzymając się za zabandażowaną właśnie nogę. – Czy mi się wydaje, czy po tamtej stronie fosy nie ma już Wergundów?

Miał rację. Ulf prędko zorganizował mały zwiad, a gdy okazało się, że obozowisko naszych przeciwników stoi puste, wszyscy przeprawiliśmy się przez jar i zagłębiliśmy się w las. Wszyscy czuliśmy, że powietrze aż wibruje od mocy.

- To może być iluzja – powtórzył ktoś słowa Lily. – Uważajcie i wypatrujcie wszystkiego, co nie pasuje do otoczenia.

Wiele rzeczy nie pasowało tu do reszty. Najpierw zauważyliśmy samotny miecz, co było wręcz nie do pomyślenia, by Wergundowie odchodząc, po prostu go zostawili. To samo dotyczyło się znalezionej kawałek dalej, leżącej u stóp jednego z drzew kolczugi.

- Co tu się stało? – szepnęłam do siebie, kiedy zmęczona Nike oparła się o pień któregoś z drzew i ze strachem spojrzała na swoją dłoń.

- Na bogów! Drzewa we krwi! Krew na drzewach! O Herbo, co tu się stało?!

- Pamiętajcie, że las będzie po waszej stronie – zaszumiały liście, a ja zrozumiałam już, co tu się wydarzyło.

- Silvo i Hernie, dzięki wam za ochronę! Dziękuję za to, że jeszcze żyjemy, że zachowaliście nas od wergundzkich ostrzy. Naraziliście las, byśmy my byli bezpieczni. Dzięki wam! *Takke para bra baskytte.*

- Co ty mówisz? – zapytał się mnie stojący za mną Vey. – Myślisz, że to las...

- Tak, las nam pomógł. Pokonał tych, którzy nam zagrażali, oddalił niebezpieczeństwo. Tu, wśród jego pni, jesteśmy całkowicie bezpieczni. Bogowie nad nami czuwają.

- Masz rację, kapłanko Silvy – mruknął Hogar, sługa Skogura. – Mój Pan uczynił przeprawę przez gąszcz ciężką dla naszych przeciwników. Chodźmy jednak, nie czekajmy tu na próżno.

Ulf przytaknął ludzkiemu kapłanowi i już po chwili ruszyliśmy w dalszą drogę. Nie uszliśmy jednak daleko, gdy ponownie zatrzymaliśmy pochód.

- Mamy tu rannego! – zawołano od czoła, a kapłani, w tym i ja, przecisnęli się do przodu. Szukaliśmy kogoś poszkodowanego wśród nas, ale okazało się, że jest tu jeszcze ktoś. Wysoki, długowłosa mężczyzna o nabijanej ćwiekami zbroi, który pewnie w normalnym stanie mógłby mierzyć się siłą z jarlem, a może nawet wodzem orków. Teraz jednak nieznajomy był cały we krwi, a jego usta poruszały się, nie wydając żadnego głosu.

Przyklęłam, zaczynając prośby do mej Pani o uzdrowienie tego obcego, ale mężczyzna nagle z nadludzkim niemal wysiłkiem uniósł rękę i przemówił:

- Nie. Bogowie... bogowie mnie nie ulecą.

- Dajcie bandaż! – trzeźwo pomyślał Ivar. – Szybko, zanim gość nam się wykrwawi!

Niewiele to da, przemknęło mi przez myśl, zanim nie zaczęłam opatrywać jednej z niezliczonych ran leżącego. Gdzieś z tyłu padło stwierdzenie, że może to Wergund, ale, nie

przerywając pomocy, zrozumiałam, że nieznajomy nie wygląda jak któryś z naszych wrogów. W końcu z dumą mogłam powiedzieć, że zrobiłam dla niego wszystko, co mogłam. Wyjęłam jeszcze z torby swoją manierkę i przytknęłam do ust rannego. Pił tak zachłannie, jak ja poprzedniego dnia po ataku Ormurinu.

- Dziękuję wam – rzekł przybysz. – Znajdzie się dla mnie jakieś bezpieczniejsze miejsce niż to?

- Znajdzie się – bez wahania odpowiedział Ulf i jeszcze raz przyjrzał się nieznajomemu. – Nie masz władzy w nogach, prawda? Poniesiemy cię do naszego obozu.

Spostrzegłam, że gdy tylko wydano rozkaz o przeniesieniu obcego, Ulf coś jeszcze szepnął ku szpiczastym uszom Onfisa.

- Jasne – odparł mój towarzysz z Aenthil. – Vey, pomóż mi!

Już wkrótce cały oddział ruszył w dalszą drogę.

Trudno mi opisać uczucie, jakie opanowało mnie, gdy ujrzeliśmy spadzisty dach halli i tryntyjską flagę powiewającą nad naszym obozem. Było to coś między ulgą, a tęsknotą, radością, a zmęczeniem. Gdy weszliśmy przez bramę, niemal każdy z nas wznosił oczy ku niebu, dziękując za to, że żyje. W karczmie zdołaliśmy jeszcze wypić po kuflu pianistego za poległych w dzisiejszej bitwie i znaleźć jakieś miejsce dla rannego, który wciąż nie mógł odzyskać sił. Później, nie mogąc wytrzymać zmęczenia po pełnym wrażeń popołudniu, udałam się na spoczynek do namiotu. Oczywiście, po wczorajszych wydarzeniach poprosiłam kogoś o eskortowanie mnie na moją kwaterę, bo trochę bałam się tego wąskiego przejścia między namiotami. Wreszcie zasnęłam, błagając bogów, aby zesłali mi spokojny sen. O moich urodzinach zupełnie nie pamiętałam.

CZEŚĆ III

Cień przeszłości

Był ranek szesnastego dnia po przesileniu, sto szesnasta rocznica moich urodzin. Rzadko oglądałam się wstecz, patrząc, co robiłam przez taki szmat czasu, ale tego dnia po prostu czułam, że wypadałoby podziękować bogom za ich dary. Kiedy więc większość jeszcze spała, zebrałam nazbierane w ciągu poprzednich dni liście i szyszki, po czym ułożyłam z nich ofiarną piramidę. Kiedy padłam na kolana, poczułam, że żyję. Łaska Bogini otoczyła mnie niemal natychmiast.

- Pani, dziękuję Ci za każdy z tak wielu dni mego życia, za każdy świt i zmierzch, który dzięki Tobie mogłam oglądać. Niechaj chwałę wyśpiewują Ci wszystkie ptaki, niech kwilą radośnie wszystkie leśne stworzenia! Tyś panią miłą i dobrą, władczynią miłosierną i łaskawą. Ty leczysz rannych, wspomagasz słabych, a wąpiącym przywracasz wiarę. Tobie po raz kolejny, nie liczę już, który, dziękuję za to, że wtedy, sto szesnaście lat temu, obdarzyłaś mą matkę, Erlinnę, córką.

Zamilkłam, padając na twarz i powtarzając podziękowanie słowami mocy. Potem zaś zaczęłam prosić:

- Wielka i potężna niczym dąb, a jednocześnie delikatna i słodka niczym letni powiew! Tobie życie swe zawierzam i Tobie się oddaję, błagając o kolejne dni, miesiące i lata życia oraz służby Tobie!

Szmer powiewu otoczył mnie całą, a dziś, jak jeszcze nigdy, rozróżniłam każde jego słowo.

- *Życie jeszcze przed tobą długie, córo Erlinny. Dopelnij tylko przysięg i serca słuchaj, a nie tylko przeżyjesz, ale i w spokoju oraz bezpieczeństwie żyć będziesz. Żyj według nakazów, a łaska moja cię nie opuści. Masz moje błogosławieństwo, na dziś i na dni kolejne, Aerlinn, moja kapłanko.*

- Dziękuję Ci, Pani. Raz jeszcze dziękuję.

Złożyłam ofiarę, po czym zakopałam ją pod najstarszym drzewem w okolicy. „Dopelniaj przysięg i słuchaj serca”, tak? Czyżby chodziło o dane Zakowi słowo, że poproszę resztę, aby go wskrzesili?

Wstałam z klęczek i udałam się w stronę ogniska. Siedziała przy nim ostatnia warta tego dnia, mocno uszczuplona po wczorajszej bitwie. Noxis rozcierał sobie bliznę po zadanej mu przez Durgha ranie, przy okazji spoglądając na wciąż obandażowany łokieć. Jego kolega, którego imię na tablicy z wartami wypisano „Kerdon”, starał się jakoś zamaskować paskudny ślad po próbie oskalpowania go. Podeszłam do nich, zastanawiając się, kto jeszcze wartował razem z nimi.

- Tsuna i Halt – odpowiedział Noxis, zanim jeszcze zadałam pytanie. – Widziałem twoje spojrzenie, wiem, że mamy dziś wyjątkowo małą wartę. Dzięki bogom, że nie zaatakowano nas na naszej zmianie.

- A tobie nic nie jest? – zapytałam troskliwie. – Wczoraj wiele przeszedłeś...

- Nie, już wszystko dobrze. A co z Durghiem? Wiem, że wartuje z wami.

- To prawda, ale wygląda już dużo lepiej. Dziwnie czuję, że dziś niejednemu pokaże, jak się walczy.

- Lepiej, by nie musiał. Może dziś uda nam się wygospodarować w miarę spokojny dzień...

- Wątpię, choć nie byłoby to najgorsze wyjście.

Siedziałam tak z nimi jeszcze przez chwilę, zanim reszta nie obudziła się na tyle, by można było pójść na śniadanie. Kiedy tylko zjedliśmy posiłek, zabraliśmy się za planowanie dnia.

- Wczoraj byliście naprawdę wspaniali – podsumował bitwę Ulf. – I dlatego też dziś nie musimy ani pracować w kamieniołomach, ani obawiać się Wergundów. Odpoczywajmy i cieszymy się ze zwycięstwa!

- Jasne – mruknął siedzący nieopodal mnie Onfis, ale nie widać było po nim najmniejszego śladu radości.

- Coś się stało? – zapytałam kilka minut po mowie naszego dowódcy, kiedy reszta zajęła się już swoimi sprawami.

- Mi? – odpowiedział pytaniem na pytanie.

- Przecież nie mi – uśmiechnęłam się. – Mi możesz zaufać, jestem elfką i na dodatek kapłanką. Nikogo tu nie zabijam ani nikomu nie donoszę.

- Myślę, że powiem to wszystkim kapłanom naraz, bo tylko razem jesteście w stanie mi pomóc – tajemniczo odrzekł elf. – Ale i tak nie wiem, czy dacie radę przeciwdziałać czemuś tak skomplikowanemu.

- Nie wiem, o czym mówisz, ale zaufaj nam, a raczej bogom, którzy przez nas przemawiają. Jak mamy ci nie pomóc, skoro zmarłych przywracaliśmy życiu? Zaufaj, Onfisie, potędze Silvy. Przecież i ty wierzysz w Opiekunkę Lasu, czyż nie?

Nie odpowiedział, zamyślony jak nigdy dotąd. Po tej rozmowie nawet mój dobry humor nieco przygasł, więc zamiast wraz z innymi cieszyć się pięknym dniem, udałam się w stronę ogniska, gdzie dziwnym trafem dostrzegłam resztę kapłanów. Kilka kroków za mną podążył Onfis.

- Dobra, jest sprawa – zaczął, kiedy usiadł na ławeczce przy ogniu, a nasza szóstka spojrzała na niego ciekawie. – Jakiś czas temu, nie boję się tego przyznać, służyłem Imperium. Uznawano mnie za dobrego żołnierza, służbistę wręcz, a czasem nawet nazywano mnie bohaterem.

Nie uszło mojej uwadze, że tylko Ivar, z niewiadomych względów, nie był zaskoczony tymi słowami.

- Problem jest taki: kiedy zlecono mi ostatnią misję, wstrzyknięto mi do ciała pewną truciznę o powolnym działaniu, która zabije mnie prawdopodobnie pod koniec tego tygodnia. Jeśli misji nie wykonam, a przypuszczam, że nie wykonam, nie dostanę obiecanej jako nagroda antidotum. Dlatego też, w imię bogów, proszę was o pomoc.

Mówił tym samym głosem, co w karczmie, smutnym, zmęczonym, ale spokojnym. Byłam pod wrażeniem, że można tak bezpłciowo opowiadać o swojej prawdopodobnej śmierci.

- Chodź z nami – polecił Durgh. – Będziesz przy naszych dzisiejszych modłach, by bogowie spojrzeli na ciebie przychylniejszym wzrokiem. Potem zaś, jeśli niebiosa pozwolą, odprawimy odpowiedni rytuał.

Onfis zgodził się, ale cóż innego miał uczynić. Wszyscy skierowaliśmy się w stronę jednego z cichszych miejsc obozu, by zanieść prośby do naszych najwyższych Przełożonych. Mój rodak przykląkł obok mnie.

Wszyscy wspólnie podziękowaliśmy bogom za dar życia, który utrzymali przy nas w czasie wczorajszej bitwy, a potem poprosiliśmy o chronienie naszych żywołów podczas kolejnych wypraw. Wreszcie nadszedł czas na rytuał mający na celu usunięcie trucizny z ciała naszego towarzysza.

Jasnowłosy elf ułożył się na przygotowanym dla niego miejscu, a my wypowiedzieliśmy nad nim pierwsze z wielu słów mocy, oczyszczając rytualny krąg. Gdy Noxis wspomógł nas runami, a znaki bogów już od dawna widniały dookoła koła, zaczęliśmy cichą modlitwę.

Zaczął Durgh, tyle pamiętam w tym momencie, a jego modły, jak zwykle, nappełniły nas łaską i mocą. Każdy z nas wygłaszał jeszcze swoje prośby do bogów, a gdy nadszedł czas, Ivar rozpoczął sakramentalny zaśpiew:

- *Gjore til langs* – rzekł, a każdy z nas wypowiedział imię bóstwa, któremu służył. Nigdy wcześniej ani później tak bardzo nie brakowało mi tu słowa „Reg”.

- Silva – powiedziała, gdy nadeszła moja kolej, a potem wszyscy razem zaczęliśmy mantrować słowa na odesłanie trucizny z ciała:

- *Rekke hem saude et kjore eitur, rekke hem saude et...*

Zaśpiew z każdą chwilą stawał się coraz głośniejszy, aż w końcu każdy z nas poczuł uwalnianą do środka kręgu moc. Onfis znieruchomiał nagle i, gdy nasza modlitwa miała się już ku końcowi, równie niespodziewanie stracił przytomność.

- Zaraz go ocucę – krzyknęła Nike, gdy rytuał uznany był za zakończony. Wkrótce elf drgnął, lecz wcale nie wyglądał teraz lepiej niż przed modłami. Mieliśmy tylko nadzieję, że trucizna już z niego uszła.

Tymczasem reszta wojowników od dłuższej chwili siedziała w halli, radząc nad czymś wyjątkowo ważnym. Kiedy zjawiliśmy się tam my, wysłannicy bogów, usłyszeliśmy tylko dwa słowa:

- Potrzebujemy wskrzeszenia.

- Kogo? – padło pytanie ze strony Durgha.

- Może opiszmy im najpierw całą historię, bo pewnie tak od razu w życiu się nie zgodzą – zaproponował Keledy, jakby wcale nas tam nie było.

- Dowiedzieliśmy się co nieco od naszego drogiego towarzysza, którego wczoraj zastaliśmy rannego w gąszczu zakrwawionych drzew. Jeszcze wieczorem wypyaliśmy go, lecz wtedy jego słowa gdzieś się plątały. Dziś zaś zaprezentował nam już całkiem składną historię.

Ulf zamilkł, jakby szukając kogoś, kto tę historię by opisał, lecz nieznamy sam poruszył się i zaproponował, że przekaze nam opowieść jeszcze raz.

- Jam Saugatuk Otoahastis. Pochodzę zza Wielkiej Zmarzliny, z plemienia smoczycy jeźdźców – rzekł powoli, by niczego nie opuścić, choć i tak każdy wiedział, że tego imienia nie wymówi. – Mój lud rzadko zapuszcza się w te okolice, lecz jego historia związana jest właśnie z tym miejscem.

Było to wszystko dawno temu, gdy smoki latały nad całym niebem ówczesnego świata i przyjaźniły się z ludźmi. Po wielu latach wspólnego życia na tych samych terenach tak się zżyły się z waszą rasą, że chciały zabrać ich w przestworza. I tak jeden ze smoków zgodził się nieść na sobie Jeźdźca.

Pierwszym Jeźdźcą naszego ludu był pierwszy wódz mego plemienia i tak przez kolejne tysiąclecia, bo życia jeźdźców trwają tyle, co żywoty smoków. Wreszcie jednak nadszedł czarny dzień narodzin Okanogana.

Imienia jego jeźdźca nie sposób wymówić w waszym języku, ale dość że smok miał tak czarne serce, że chciał przewyższyć swą mocą samych bogów. W końcu skradł im ich Pieśń, Pieśń Stworzenia i tak ją zniekształcił, że stworzył nową rasę. Rasę półsmoków, swych ukochanych dzieci. Jaszczurołudzi, którzy mieli zniszczyć, raz na zawsze, wszelkie inne rasy.

Lecz i inni jeźdźcy tego czasu nie próżnowali. Zebrali się, by pokonać Okanogana. Był zaś wśród nich jeden, który potęgę magii posiadał i po raz pierwszy ową magię opanował, ułożył w swym ręku. Wziął więc ów mag, wezwawszy wszelkie żywioły, utworzył z nich kryształ, który smoka może zniszczyć. Mocą zaś swoją i innych jeźdźców uwięził potwora pod górą w tych okolicach, bo wiedział, że nawet on swą mocą Okanogana zniszczyć nie może. Sam zaś swego smoka jako strażnika zostawił w okolicy, aż ten zmarł. I wtedy jego smoka zastąpił kolejny i kolejny, aż po dziś dzień. Dlatego wysłano mnie w te okolice, by dopilnować tego, co się tu dzieje. Bo jaszczurołudzie szukają swego pana, a jeśli go znajdą i uwolnią, czarny dzień nadejdzie dla tego świata. Krążą tu też legendy o górze twardej jak granit, gdzie smoka uwięziono, więc...

- Lisianka! Na bogów! – wykrzyknął ktoś.

- Widzicie więc. Musicie się spieszyć. Musicie uratować ten świat przed Złym.

Zakończył, a ja nagle uświadomiłam sobie, gdzie już słyszałam o smoczym plemieniu.

- Plemię Smoka miało już w tych okolicach swego przedstawiciela – powiedziałam. –

Zak'Revan, może znasz, panie, to imię?

- Niestety, nie. Czyżby był Jeźdźcą? Wezwijcie go, wypytam go o to, czego się dowiedział.

- Zak zginął wczoraj w bitwie o fort. Jeśli chcesz go wypytać, musimy choć spróbować go wskrzesić.

Przybysz spojrział na mnie, a potem na resztę zgromadzonych.

- O nim mówiliście, gdy rzekliście waszym kapłanom: „Potrzebujemy wskrzeszenia”?

- Raczej o Tsunie – odpowiedział Meriadoc. Wielu z nas usłyszało wtedy głośne prychnięcie Durgha.

- Jeśli chcecie wskrzeszać Tsunę, wiecie, że zabiję go, jeszcze zanim stanie na nogach – rzekł kapłan. – Przy Zaku niechętnie, ale jednak pomogę, może okazać się przydatny.

- A Tsuna? Jeśli chce wrócić, dajmy mu szansę! Czemu jesteś do niego tak uprzedzony?

- Nie zapominasz czasem, że to on chciał mnie zabić?

- Chciał odebrać ci miecz, czego i ja wtedy pragnęłam. Czy i mnie zechcesz dźgnąć tym swoim ostrzem?!

Nawet nie zauważyłam, że w czasie naszej rozmowy wyszliśmy z halli i teraz wydzielaliśmy się na siebie na świeżym powietrzu.

- Aerlinn, ja naprawdę chce wrócić – usłyszałam obok siebie, lecz Durghowi chyba nie dane było posłyszeć tego przekazu z zaświatów.

- On chce wrócić, proszę, pozwól mu.

- Nie. Nie tylko nie pomogę przy rytuale, ale, jak mówiłem, zabiję Tsunę, zanim zdąży odzyskać siły.

Nie potrafiłam przemówić do rozsądku temu słudze Toledy. Odeszłam więc, by znaleźć kogoś innego, kto mógł to uczynić.

Większość wojowników opuściła hallę, zajmując się przygotowaniami do ewentualnego turnieju, który zamierzali zorganizować.

- Ulf! – zawołałam, widząc dowódcę. Upewniwszy się, że Durgh pozostał pod karczmą, poprosiłam Fiordyjczyka na stronę. – Mam sprawę – powiedziałam.

- Tak? Czego chcesz, kapłanko?

- Potrzebuję pomocy. Chcecie wskrzesić Tsunę, ale nie mam pojęcia, jak to rozegrać, by nie zginął zaraz po tym, jak duch wróci do jego okaleczonego ciała.

- Chodzi ci o Durgha, prawda? To nie jest łatwa sprawa.

- Wiem, jest niezwykle zawzięty. Przewyższa swym fanatyzmem wielu spośród jego braci w wierze, co nie poprawia naszej sytuacji – posmutniałam, wiedząc, jak wiele zawdzięczam osobie, przeciw której teraz stoję. Mimo to musiałam to uczynić.

- Potrzebujemy Tsuny – rzekł wojownik – a skoro chce wrócić... Jest jeden pomysł.

Przekonam Durgha, a raczej spróbuję go przekonać, by po wskrzeszeniu naszego towarzysza odczekał jeden dzień, a po jego upływie ogłosimy pojedynek o ten feralny miecz. Sąd Boży, pojmujesz?

- Świetny pomysł! Myślę, że na taki sąd nawet zakonnik takiego Zakonu się zgodzi.

Uśmiechnęliśmy się oboje, a Ulf skierował się w stronę Durgha. Miałam nadzieję, że kapłan zgodzi się z tym, co proponował Fiordyjczyk.

Zgodził się. Niechętnie, bo niechętnie, ale jednak przysiągł na moc swej Pani, że nie podniesie ręki na Tsunę, dopóki ten nie odzyska sił.

- Dobra, bierzmy się za to wskrzeszanie – powiedział kilka pacierzy później, a jego głos był bardzo, ale to bardzo zdecydowany. – I zacznijmy od Tsuny.

Utworzyliśmy krąg, a wojownicy, którzy rankiem przynieśli, bez naszej wiedzy, ciała poległych, teraz złożyli Tsunę w jego centrum. Noxis wyrzył runy, a Durgh zapalił dziesięć stojących wokół nas świec.

- W imię bogów wzywamy cię, duchu Tsuny! Przybądź i stań przy nas, abyśmy mogli przywrócić cię ciału!

Durgh przewodniczący takiemu rytuałowi? Tego jeszcze nie było, westchnęłam, próbując skupić się na brzmiącej właśnie modlitwie.

- Wiemy, że nie dokończyłeś jeszcze swej misji na tym świecie! Wejdź do kręgu! – zawołał Ivar.

- Jak głębokie są twoje rany, Tsuno, tak głęboka jest nasza rozpacz po twojej stracie. Niech bogowie zasklepią tę ranę w naszych sercach!

Nike potrafi składać tak piękne modły? Dziś najwyraźniej kapłani zamierzali mieć dzień zaskakiwania mnie.

- O, bogowie! Dusza jest w kręgu! Przywróćcie ją ciału, sprawcie, by Tsuna wrócił do życia!
Rekke hem vide!

- *Rekke hem vide* – powtórzyliśmy po Ivarze. A potem jeszcze raz. I jeszcze.

- Wejanie, Żarze Nieugaszony! Wlej ogień życia w ciało tego dzielnego wojownika!

Tsuna drgnął po tym wezwaniu Noxisa, więc to mnie czekała teraz praca.

- Silvo łaskawa! Błagam, daj siły temu wiernemu elfowi, obdarz go swoją łaską i mocą, by nie wrócił tam, skąd go przywołaliśmy! *Rekke hem evne!* Daj mu energię i moc!

- *Rekke hem evne!* – powtórzyła za mną reszta, lecz...

- Ciszej! – nakazał Durgh. – Rytuał jest zakończony. Mimo to jednak, Tsuno, z łaski Toledy, Matki Równowagi, przywrócony światu! Masz dług wobec mej Pani, który zaciągnąłeś kiedyś, nastając na życie Jej wysłannika! Teraz odrodź się jako nowy wojownik! Jako żołnierz Zakonu!

Przeraziłam się tej mowy. Tsuna przecież w życiu nie zgodzi się na coś takiego. Lecz nagle on kiwnął głową, a ja wiedziałam, że gdyby miał siły, przemówiłby w tym samym tonie. Wyszeptałam kolejną modlitwę o wzmocnienie.

- Czy więc, przyoblekając się w nowe szaty, tak jak przed chwilą wszedłeś w nowe życie, zgadzasz się i przysięgasz trwać przy Pani po wsze czasy i aż po kres swoich dni?

- Przysięgam – usłyszałam cichy szept łowcy potworów.

- Czy ślubujesz nieść płomień wiary i wykonywać wszelkie rozkazy swych przełożonych?

- Ślubuję.

- Czy, na koniec, przyrzekasz odrzucić sprawę ziemskie dla wiecznego dobra?

- Przyrzekam.

- Wejź więc w nowe życie, jako mój brat w wierze i sługa Zakonu. Niechaj Bogini oświeć ci wszelkie, nawet najmroczniejsze ścieżki!

Nie tylko ja byłam zadziwiona tym, co właśnie usłyszałam. Reszta kapłanów patrzyła po sobie ze zdziwieniem, ale już po chwili wszyscy wiedzieliśmy, czemu Durgh to zrobił. Miecza mogła używać tylko osoba związana z Zakonem Początku Świata... Teraz Tsuna zaś stał się właśnie zakonnikiem.

Ktoś, już sama nie wiem, kto, pomógł elfowi zwlec się z ziemi. Teraz przyniesiono ciało Zaka, a Hogar stwierdził, że przejdzie się po coś do namiotu.

Odczekaliśmy chwilę, rozchodząc się po placu i rozmawiając. Ja i Aleksander, który akurat był w pobliżu, zaczęliśmy konwersację o tym, co się stało, o włączeniu Tsuny do Zakonu. Kiedy jednak spojrzałam na resztę zebranych w okolicy wojowników, przejęła mnie zgroza.

To nie było zwykłe zbiegowisko. Tuż przy kręgu piątka wojów, i to nie dowódców, a tych małych, nic nieznaczących gołowąsów, zbierała maleńkie kamyczki z pyłu placu i rzucała nimi w przygotowane do wskrzeszenia ciało Zaka.

- Jak tak można?! – krzyknęłam natychmiast, ale oni nie przerwali „zabawy”. Dopiero po chwili, gdy przyszedł Durgh, udało się powstrzymać te bluźniercze zapędy.

Z kolejnego rytuału niewiele pamiętam, może dlatego, że mimo łaski, którą mnie obdarzono, po dwóch ceremoniach byłam już nieco wyczerpana. Jedyne słowa Nike wryły mi się w pamięć.

- Pani, przywróć go życiu, choć nie dla wszystkich był on przyjacielem...

Zak był zdrajcą. To prawda. Mało kto go lubił. Ale mimo wszystko coś zawsze ciągnęło mnie ku jego towarzystwu. Gdybym nie rozmawiała z nim jak przyjaciółką, niczego bym nie zyskała. A nawet później, kiedy nie potrzebowałam informacji... jakoś go lubiałam. Modły popłynęły ku niebu. Wkrótce Zak'Revan podniósł się, przywrócony życiu.

Wiele ważnych opowieści płynęło w halli tego dnia. Gdy tylko Zak wypoczął na tyle, że mógł chodzić praktycznie bez pomocy, także znalazł się w karczmie i zaczął mówić o swojej roli w całej tej historii. Mimo zmęczenia, nawet kapłani ryknęli wtedy śmiechem.

- To może od początku. Jak do nas przybyłeś? – zapytał z lekkim niedowierzaniem Ulf, a Saugatuk spojrział ciekawie na swego współplemieńca.

- Smok mnie przy... przeleciał. Nad górami. A potem jeszcze łódką.

- Smok z łódką, który przelatuje? Bogowie, jakiż straszny koszmar! Chrońmy się, nadchodzą smoki z łódkami! – wrzasnął Meriadoc.

- Chwila, teraz ja o coś zapytam – przerwał rodak Zaka. – Rozumiem, że któryś z jeźdźców pomógł ci się dostać na tę stronę świata, prawda, młodzieńcze? Ale powiedz mi, co wiesz w takim razie o dziedzicu i samym Wielkim Magu? Po co cię tu wysłano?

- O magu słyszałem tyle, że był, żył w okolicach pobliskiego fortu. Niedaleko stąd znajduje się miejsce, gdzie uwięził Złego pod górą. O dziedzicu wiem więcej. Mam też informacje, gdzie może przebywać jego matka. Wysłano mnie, aby odnaleźć dziedzica i zniszczyć jaszczury wraz z Okanoganem.

- Matka powiadasz? – zdziwił się wciąż nieco osłabiony Onfis, a nasz towarzysz skinął głową.

- Daj spokój, Onfis! – przerwał jednak Ulf. – Wierzysz w ten stek bzdur? Pozwoliłem im opowiedzieć swoją historię, ale przecież każdy głupek wie, że smoki nie istnieją! Noxis w Shamaroth widział je tylko po księżycówce, a na Północ i tak nikt się nie zapuszcza. Jak mamy im wierzyć? Co, będziesz się bił z obrazkami z bajeczek dla dzieci?! Czy może z szyldem naszej najlepszej karczmy, gdzie przecież także widnieje zielony smok?

- Masz rację – odpowiedział elf, uśmiechając się perfidnie. – Smoki nie mogłyby nawet zawrzeć przymierza z ludźmi, bo to wtedy byłoby to opisane w kronikach zebranych w bibliotece w Aenthil! A przecież cała ta sytuacja nie mogła się wydarzyć przed przybyciem elfów, bo o ludziach to sobie można było wtedy pomarzyć!

- Smoki istnieją! – krzyknął rozeźlony Zak, ale zaraz umilkł, dotykając miejsca, gdzie wczoraj przebódl go wergundzki miecz. Był jeszcze za słaby na takie wybryki.

- Aleksander... – odwróciłam się do polityka. – Proszę cię, pilnuj tu chwilę naszego kochanego zdrajcy. Muszę iść do namiotu po torbę. Dziwnie czuję, że zaraz rozpęta się tu piekielko, a jesteś jedynym, który nie chce go zabić za tamtą zdradę.

Lecz Ofirczyk spojrział na mnie z miną niepokieszonego dziecka.

- Ja też chciałem go zabić – powiedział, a ja jęknęłam cicho. Po chwili wyszłam, prosząc o ochronę Zaka bodajże Noxisa, który kapłanom, a zwłaszcza kapłankom, nie odmawiał chyba nigdy.

Czułam, że dzisiejszy dzień okaże się ważny. Nie wiedziałam, czy opowieści Zaka, wielokrotnie zmyślane i wysysane z palca, mogą okazać się prawdziwe, ale na pewno nie mówiły tego bez powodu. I nie do spółki z tamtym człowiekiem, Saugatukiem. Siedząc w pustym namiocie i dopakowując do torby paczkę chleba elfów i manierkę z wodę, uśmiechnęłam się lekko. Bandaży już nie miałam, musiałam poprosić o nie karczmarkę, ale czy dziś, prócz jaszczurów, mogło nas coś zaatakować?

W końcu byłam gotowa do niemal każdej misji. W tym samym momencie, w którym wyszłam z namiotu, Ulf wezwał wszystkich przed hallę. Gdy tam doszłam, usłyszałam już, co się dzieje.

- Mamy dziś dwa tropy w tej całej sprawie ze – tu prychnął cicho – smokami. Nie wierzę w żadnego dziedzica, ze słów na „dzie” interesują mnie tylko dziewice. Biorę więc grupę do katakumb, gdzie kiedyś podobno żył ów antyczny mag. Jak nie smoki, to znajdziemy przynajmniej coś, na czym można nieco pobrudzić nasze piękne ostrza. Reszta idzie z Yndir, która zdaje się w to wierzyć, do „matki dziedzica” czy innej starowinki, która nakarmi was bajeczkami. Wybór należy do was.

Chwilę spędziliśmy na dobieraniu wojowników i kapłanów w odpowiednie grupy. Mi właściwie było obojętne, gdzie idę, ale że w drużynie zmierzającej do matki znalazło się już kilkoro

wysłanników bogów, postanowiłam towarzyszyć hirdowi i tym mniej wierzącym w smoki w drodze do katakumb. O dziwo, jako przewodnik naszej grupy, miał służyć znający smocze legendy Zak oraz orientujący się w terenie Olaf. Widać o dziedzicu Yndir wysłuchała już wszystkiego, bo to ona miała prowadzić drugą drużynę.

Droga nie była długa. Zaprowadzono nas w las, a potem na przełaj, ku fortowi, który, jak wyjaśnił ktoś bardziej obeznany, kiedyś nazwano Rogowym. W końcu przed nami zmaterializowały się pierwsze ściany, kamienie i fosy. Byliśmy niemal na miejscu.

- Czego właściwie szukamy? – zwróciłam się do Onfisa, który, choć niezbyt zgrabnie, wspinał się właśnie na przeciwległy brzeg głębokiego jaru. Śladów rytuału nie było już po nim widać.

- Bo ja wiem? – odpowiedział drwiąco. – Ktoś tu mówił o podziemiach i katakumbach, więc musimy się tam dostać i znaleźć cokolwiek, czego nie powinno tam być.

Uśmiechnęłam się. Prawie jak poszukiwania niewiadomo czego na Lisiance, pomyślałam, zanim nie poprowadzono nas przez kolejny gąszcz pokrzyw. Wkrótce zatrzymaliśmy się przed sporym fortem, a właściwie jego ruinami. W zniszczonej ścianie ziały trzy czarne dziury. Wejścia do pradawnych komnat.

- Idziemy po kolei – zakomenderował Ulf, wskazując na dwie czy trzy osoby do niesienia pochodni.

Weszliśmy do środka jeszcze bez światła – mieliśmy rozpalać ogień tylko, gdy będzie wymagała tego potrzeba. Pierwsze wejście jednak niewiele dało, podziemie było tu niewielkie i nieciekawe. Ruszyliśmy więc do drugiego.

Tu czekała nas niespodzianka. Komnata, do której weszliśmy, była raczej długa i ciemna, sklepiona półkuliście w starym stylu. W lewej ścianie miała ona dwa otwory prowadzące do wąskich i całkowicie pogrążonych w mroku korytarzy. Rozdzieliliśmy się i zagłębiliśmy się w ciemności.

Przodem naszej grupy szedł Ulf wraz z którymś z członków hirdu, przede mną Noxis z obandażowanym łokciem, a na samym końcu Onfis zażarcie z kimś dyskutujący. Ja jednak wolałam nic nie mówić, rozdzielenie się uważałam za najgorszy pomysł, jaki mógł wpaść do fiordyjskiego łba Ulfa. Całe szczęście, moje złe przecucia się nie sprawdziły. Na razie.

Doszliśmy do zakrętu korytarza, gdy zza niego dobiegł mnie tłumiony okrzyk Einara. Każdy natychmiast przyspieszył, chcąc dowiedzieć się, co znaleźli nasi towarzysze. Albo co ich znalazło, przeszło mi przez myśl.

Korytarz, wciąż wąski, nagle kończył się ślepym zaułkiem. Tuż jednak obok zakończenia naszej drogi w świetle pochodni zobaczyliśmy coś, co sprawiło, że przeszły nas dreszcze. Inskrypcja, wykonana z całą pewnością więcej niż kilka wieków temu, bo barwniki zdołały już ściemnieć. Inskrypcja z całą pewnością przedstawiająca smoka.

Zbliżyłam się do pierwszego malowidła. Stwór, którego tu namalowano, leciał z lekko opuszczonym łbem.

- On spada! – wydedukował Nox. – Patrzcie na jego ogon! Za to ten drugi, niżej...

- To trzeci, czyta się najpierw obydwie górne obrazy.

- Więc na trzecim, skoro tak chcecie się kłócić, smok uwięziony jest pod górą, to chyba jasne – mruknął, wskazując kopulastą kreskę nad zwiniętym w kłębek potworem.

- A w takim razie ten drugi rysunek? Co to za bajeczka? – zapytał wciąż niewierzący w tę historię Ulf.

- Ten smok leci – powiedziałam. – Nie spada, nie leży, tylko leci. To zwycięzca.

- Strażnik? – poddał pomysł Zak.

- Możliwe. Umieszczono go między dwoma górami, prawda? Jest tam też twierdza. To muszą być te okolice. Trzeba zapamiętać wielkość tych gór z rysunku i porównać z mapą.

- Dobra, to teraz niech każdy się temu przyjrzy i wracamy. Chyba że szukamy czegoś jeszcze?

- Nie, na pewno nie – rzekł Olaf. – Wracajmy.

Wszyscy po kolei zawracaliśmy i odchodziliśmy, uprzednio dobrze przyjrzawszy się malowidłom. W końcu wróciliśmy do sporej komnaty, skąd wysłaliśmy w stronę inskrypcji także drugą część naszej grupy. Wkrótce wszyscy skierowaliśmy się ku wyjściu. Pochodnie zgaszono.

Wtedy czekała nas pierwsza niespodzianka. Choć na początku nie spodziewaliśmy się jakiegokolwiek zagrożenia, Onfis, który wyszedł na zwiad, wrócił z niepocieszoną miną.

- Po drugiej stronie fortu jest jaszczur – powiedział. – Musimy się go strzec, a najlepiej w ogóle się mu nie pokazywać.

- Niestety, tamtą stroną musimy wracać. Powinniśmy zachować ostrożność, a nic nam się nie stanie.

- Wiecie, że jeśli nas zobaczy, mamy przechłapanie? – odezwał się Noxis.

- Wiemy ¬– padła odpowiedź. – Dlatego nasza głowa w tym, żeby nie zobaczył.

Ruszajmy.

Powoli wyszliśmy z komnaty na świeże powietrze. Onfis szedł przodem, wskazując bezpieczną drogę biegnącą między nielicznymi pniami młodych drzewek i kępami traw. W końcu znaleźliśmy się w cieniu, który dawały pierwsze ze starszych drzew.

- Nie wiemy, co czai się w gąszczu, a i kierunek, który wskazuje las, nie jest bezpieczny – powiedział elf. – Ruszajmy skrajem gęstwiny, w razie czego kryjąc się w puszczy. Obejdźmy fort i przemknijmy koło jaszczura. Tylko, na bogów, cicho! Jeśli nas dostrzeże...

- Jasne – przerwał Ulf. – Kilka mieczy na przód i tył, kapłani i cywile do środka. Gęsiego marsz!

Ruszyliśmy. Moje serce tłukło się gdzieś w krtani, gdy patrzyłam na nasz pochód i wspominałam wczorajsze spotkanie z jaszczurami. Nie, to nie było coś, co chciałabym powtórzyć. Już raz magia półsmoków przebiła się przez Tarczę Bogów. Nie chciałam, by stało się to ponownie. Wzniosłam oczy ku niebu, gdy z czoła pochodu dobiegł przekazywany szeptem rozkaz „stać i uważać”.

Teraz powiedziano nas niewielkim gajem, aż w końcu doszliśmy do skraju polany. Dobrze widzieliśmy groźną „drugą” ścianę fortu i stojącego na dachu konstrukcji stwora. Postać była zakapturzona, ale jej długie szpony widać było nawet z takiej odległości. Zacisnęłam zęby, gdy Onfis i przednia straż rzucili się pędem przez polanę, by dopaść kolejnego gaju. Udało im się. Nadeszła kolej reszty.

Przebiegłam ten odkryty fragment z duszą na ramieniu, lecz łaska Pani sprawiła, że ani mi, ani nikomu innemu nic się nie stało. Wkrótce podążyliśmy w dalszą drogę do obozu. Kiedy tam dotarliśmy, odczekaliśmy ledwie kilka pacierzy, zanim w halli zameldowała się także druga grupa, ta zdążająca do matki.

- I co? – padło podstawowe pytanie.

Streściliśmy im naszą przygodę z jaszczurem oraz odnalezienie inskrypcji, a oni za to poinformowali nas, czego dowiedzieli się na swojej wyprawie. Okazało się, że dziedzic pochodził nie tylko z rodu wielkiego maga, ale także z rodu jego potomka, Danwiga. Potomkiem zaś Danwiga był między innymi Elmeryk, były Książę Imperator.

- Więc dobrze słyszę, że ta kobieta była... żoną Elmeryka? – zapytał Zak.

- Tak. Miała też syna, którego dla jego własnego bezpieczeństwa oddała Tryntyjczykom na wychowanie. Nie wiem – tu zwrócono się przede wszystkim do Olafa – czy znasz może niejakiego Egilsona, twego imiennika?

Zapadła krótka, pełna napięcia cisza.

- Ale... ja mam na nazwisko Egilson.

Wszyscy spojrzeli na Olafa zupełnie inaczej niż do tej pory. Orwidor, który miał zostać władcą Wergundii, teraz pochylił głowę z szacunkiem.

- Czy to... czy to możliwe? – upewnił się syn Elmeryka. W tym momencie zapytano go o wiek. Wszystko się zgadzało z tym, co tamtej grupie mówiła matka. Uśmiechnięci rozeszliśmy się do namiotów, dyskutując o niuansach każdej z wypraw.

- Twierdza, dwie góry i strażnik, to będzie klucz – powiedziała Lily, gdy wraz ze mną i Ulfem szła ścieżką między kwaterami.

- A ja dalej w to nie wierzę. Coś podobnego mogło narysować sześciolatek!

- Te malowidła były stare – odezwała się. – I co do joty zgadzają się z opowieścią Saugatuka. Coś w tym może być, albo mnóstwo prawdy, albo pułapka i mnóstwo niebezpieczeństwa.

Kiedy po godzinie czy dwóch przedzielonych obiadem zebraliśmy się w halli, by wszystko przedyskutować, dowiedziałam się jeszcze o czymś. Zak namówił kilka osób do udania się w kierunku kryjówki strażnika, by udowodnić im, że smoki istnieją. Był tam też Noxis, ale poza nim i bodajże Nike kapłani zostawali w obozie. Z poczucia obowiązku zgłosiłam się do grupy idącej na miejsce.

Dwie góry z rysunku rozpoznano jako te, między którymi znajdował się trakt na Minsterberg. Smok był bliżej mniejszej, z jaskinią w środku, więc odnaleźliśmy na mapie sztolnię i w kierunku jej ruszyliśmy. Było to mniej więcej na trasie, którą pokonywaliśmy kiedyś, idąc do kartografki.

Niewiele dowiedziałam się na tej wyprawie, kiedy zostałam na zewnątrz sztolni, pilnując tych, którzy z kolei pilnowali wyjścia. Było wśród nich kilku nowych przybyszów – samnijski szaman i dwaj Tryntyjczycy: szlachcic Torlof oraz jego sługa. Nie miałam nawet czasu ich poznać, ledwie zapytałam o imię, zanim usłyszeliśmy pogwizdywanie w gąszczu. Chwilę później posypało się na nas z zarośli kilka niecelnych strzał, ale zanim napastnicy się ujawnili, ze sztolni wyszła tamta grupa z niepocieszonym Zakiem na czele.

- Cieszcie się, że jeszcze nas widzicie – uśmiechnęła się Lily. – Ten smok za sprawą Zaka prawie nas spopielił!

Kiedy ruszyliśmy, wypytałam Zak'Revana o to, co stało się na dole.

- Bo widzisz... – zaczął. – Moim marzeniem jest zostanie Jeźdźcem, a Jeździec to ten, który zdobędzie smocze jajo. Jajo smok składa, gdy umiera, jest to przekazanie jego ostatniego tchnienia dalej. I ja... ja poprosiłem strażnika o jajo.

- Poprosiłeś go, żeby się zabił?!

- Takie rzeczy tylko u Zaka, który prosi dwie goblinie lampy na desce, aby oddały mu jajo – powiedział Ulf. – A teraz uważajcie na nadlatujące od tyłu smoki z łódkami! Zewrzeć szyk, pośladki razem i tarcze na tył!

Po tych słowach założył swojego migdała na plecy tak, że przypominająca strzałę runa wskazywała dokładnie ich mniej szlachetną część.

- To, jak mniemam, drogowskaz dla smoka? – zapytał Meriadoc.

- Nie, jak smok nadlatuje, zwijam się w kłębek jak prawdziwy jeź i to wskazuje wtedy tego za mną.

Pół pochodu zgodnie ryknęło śmiechem. Wkrótce tak rozbawieni zameldowaliśmy się w obozie.

- Hej, Zak, co wam jeszcze ten smok powiedział? – zadał pytanie mój „towarzysz z powierzchni”, Nox, który, jak się okazało, po pracy w kuźni cierpiał na klaustrofobię.

- Mówił o narzędziu, które pomoże nam pokonać Okanogana. To potężny katalizator, dużo potężniejszy od tego, którego używaliśmy aż do bitwy o fort.

- A właśnie, co z tamtym?

- Rozładował się, jak to fachowo stwierdził Orwiś. Prawda, Orwidor?

Mag nieco skrzywił się na takie zdrobnienie swojego imienia, ale przynajmniej nie mógł już wrzasnąć „Uważaj, bo mówisz do przyszłego władcy!”

- A ten nowy? Jak go zdobyć? – kontynuowałam, otwierając drzwi halli.

- Nie! – przerwała mi karczmarka Demon. – Zaraz otworzymy karczmę, ale na razie idźcie po manierki i miski. Szykuje się wieczerza.

Udając się więc w stronę namiotu, kontynuowałam rozmowę z Zakim.

- Mówiono o rytuale. Czterech magów... – zaczął.

- Gdzie ty tu znajdziesz czterech magów? Mamy jednego Orwidora!

- Jest jeszcze jeden imieniem Ahtung. Przybył dzisiaj. Ale to i tak za mało. Dwójka kapłanów pójdzie z magami i odprawi rytuał. Wtedy powinien pojawić się katalizator, którego dotknąć może tylko dziedzic. Przy okazji sprawdzimy, czy Olaf faktycznie jest synem Elmeryka.

Doszłam na swoją kwatere, wzięłam miskę i skierowałam się w kierunku halli. Gdy tam doszłam, przed karczmą zgromadzony był już każdy mieszkaniec obozu. Wkrótce otwarto drzwi.

Powitała mnie dziwna ciemność. Dwa niewielkie płomyki wskazywały miejsce, gdzie zapalono jedyne w pomieszczeniu świece. I nagle zrozumiałam. Demon uśmiechnęła się promiennie.

- Wszystkie leśne ptaki śpiewają o twoich urodzinach, kapłanko.

Wtedy zagrzmiało. Cały obóz zatrzęsł się od gromkiego „sto lat”, typowo ludzkiej pieśni, na którą jednak nie mogłam narzekać, choć dziś miałam już sto szesnaste urodziny. Wniesiono kielichy za moje zdrowie, a ja spełniłam powinność gospodyni, krojąc specjalnie upieczone na tę okazję ciasto. Łakomi towarzysze, nie tylko z hirtu, rzucili się na nie nie jak jeże, ale jak sępy.

Zauważyłam odchodzących od całej żarłocznej grupy dwóch wojowników. Ulf i Onfis, niczym prawdziwi spiskowcy coś do siebie szeptali, nachyleni ku sobie jak kochankowie. Postarałam się podejść bliżej, a nawet elfie ucho Onfisa było zajęte chyba zupełnie czymś innym, bo o dziwo mi się to udało.

- Na pewno coś z szesnastką – usłyszałam szept naszego dowódcy. – Nie przypadkiem dwieście szesnaste?

-Nie... – uśmiechnął się mój rodak. – Zresztą kobiety zawsze lubią jak im się odejmuje lat, więc będzie dobrze.

-To zaczynamy?

- Tak.

W tym momencie musiałam dość szybko się odwrócić i umknąć, gdy dwójka wojów oderwała się od swojej pasjonującej rozmowy i podeszła do baru, by napełnić kufle. Potem, nareszcie, dowiedziałam się, co planowali.

- Więc w rocznicę twoich – zaczął swym donośnym głosem Ulf, badawczo spoglądając na Onfisa – sto szesnastych urodzin, chcielibyśmy życzyć ci następnych szczęśliwych lat, by bogowie wciąż obdarzali cię urodą i pogodą ducha, i żebyś zawsze mogła być z nami!

- I pić z nami – usłyszałam gdzieś zza pleców. Tymczasem obydwaj przemawiający podnieśli kufle.

- Wiwat Aerlinn!

- Wiwat! – odpowiedziała zgodnie brać zgromadzona w karczmie i wszyscy zebrani spełnili toast.

W końcu wszyscy najedli się i napili, a sprowadzona z wioski kapela zagrała pierwsze takty któregoś z tryntyjskich tańców. Choć niewielu z nas je znało, natychmiast zaczęliśmy się bawić. Pamiętam, że to ja jako pierwsza zatańczyłam z Ulfem, dowódcą, by spełniony został zwyczaj. Po kilku utworach ktoś wpadł na zupełnie inny, także ciekawy pomysł. Zdjęto ogromną, okrągłą tarczę dekorującą jedną ze ścian izby, a kilku wojów chwyciło ją i spojrzęło na mnie zachęcająco. Słyszałam o tym obyczaju, choć nigdy nie spodziewałam się, że będę w nim uczestniczyć. Weszłam na tarczę, którą podniesiono aż pod sufit.

- Tysiąc lat, elfko! – zakrzyknął ktoś, a potem jeszcze ktoś inny i inny. Gdy tarcza dotknęła ziemi, czułam się nie jak kapłanka, ale jak królowa.

Wiele jeszcze tańców zatańczyłam, wiele toastów spełniłam i wielu życzeń wysłuchałam. W końcu jednak nadszedł czas powrotu do szarej rzeczywistości, a Durgh, Ivar i dwójka magów zaczęli przygotowywać się do swojej wyprawy. Nie minęły dwie godziny, a i my, którzy zostawaliśmy w obozie, udaliśmy się na spoczynek, w moim wypadku poprzedzony wieczornymi modłami.

Następny ranek wstał pogodny. Nocne warty nie zauważyły nic podejrzanego, co sprawiło, że poczuliśmy się niezwykle pewnie. Gdy przy śniadaniu padł temat odprawionego rytuału, Olaf uśmiechnął się promiennie i pokazał niewielki, prostokątny kryształ.

- Nie dotykaj – natychmiast uprzedził Noxisa.

Wszyscy uśmiechnęliśmy się na widok niepokojącej miny krasnoluda, któremu zabroniono dotknąć kamienia. Tylko hird zajmował się własnymi, równie ciekawymi, rozmowami o taktyce.

- Walka podjazdowa, panowie – wyjaśniał tonem profesora Ulf. – Jest niezwykle złożonym przedsięwzięciem. Należy bowiem wbić się klinem we wroga, przedzierając się przez dziewicze lasy

- A potem wycofać się i ponowić natarcie – dokończył Onfis. – Później znów wycofać się i tak do skutku.

Zarumieniłam się, słysząc słowa Fiordyjczyka, który szczególnie nacisk kładł na „dziewicze lasy” i „wbijanie się klinem”. W końcu jednak śniadanie i rozmowy przy nim zostały zakończone, a rozpoczęła się krótka narada pod tytułem „co robimy?”.

- Saugatuk powiedział nam wieczorem, że dziś spotka się z nami na północ stąd, przy górnej ścieżce na Lisiankę – powiedział Olaf. – Proponuję więc iść tam i dowiedzieć się, co znalazł. Miał dziś szukać wskazówek, co do rytuału zniszczenia Okanogana i jego dzieci.

- Dobrze. Zbierzmy więc wszystko, co potrzeba i ruszajmy. Lepiej dowiedzieć się, co jest grane jak najszybciej.

Faktycznie, zebraliśmy się dość szybko. Torba na ramię, manierka napełniona wodą i kilka bandaży na nadgarstek, tak na wszelki wypadek. Ofiarę złożyliśmy tuż przed wyruszeniem, ale wiedzieliśmy, że bogowie będą nas ochraniać. Po zakończeniu medytacji nad darami, zakopaliśmy je i wróciliśmy do reszty. Nie minęło kilka pacierzy, a wyruszyliśmy.

Szliśmy rozluźnieni, podśpiewując pod nosem pieśni i wspominając wczorajszą ucztę. O szyku można było zapomnieć, był tak piękny dzień, że nikomu nie chciało się pilnować kolumny. Bywały momenty, że to hird szedł w środku pochodu, a cywile i kapłani na czele, ale, całe szczęście, udało się jakoś to naprawić, zanim weszliśmy na skrzyżowanie traktów, które już kiedyś mijaliśmy w drodze na Lisiankę.

W tym momencie przed nami na trakcie pojawiła się trójka czy czwórka przeciwników, po lewej i po prawej stronie krzaki zaszeleściły niepokojąco, a i z tyłu ujrzelśmy kilkoro napastników. Bandyci czy najemnicy, teraz nie miało to znaczenia.

- Chronić kapłanów i Olafa! – padł rozkaz, a ja nachyliłam się nad pierwszym rannym, tryntyjskim sługą Torlofa, Jorudandem. Nagle jednak moja modlitwa urwała się w pół słowa. Potężne cięcie w rękę prawie mi ją odcięło.

- Bogowie, ratujcie! – krzyknęłam, gdy obok mnie zaczynała się tworzyć już mała piramida z rannych. Czołgając się i jęcząc każdy starał się dobrać do zarośli i tam się skryć. Ujrzałam, jak Olaf pada, także raniony, a jeden z atakujących przez jakąś chustę zabiera mu kryształ. Gdyby nie mój stan, pobieglabym tam i uleczyła go, ale nie miałam nawet sił, by wstać.

Zobaczyłam leżącego nieopodal samnijskiego szamana, który zapamiętał grzebał w swojej torbie, aż wreszcie wyciągnął z niej eliksir leczniczy. Wsparł nim mnie oraz kilkoro innych rannych, zwłaszcza kapłanów, którzy natychmiast zajęli się uzdrawianiem reszty. Udało nam się wprawdzie podnieść na nogi wszystkich, ale napastnicy już odeszli w kierunku Lisianki. I to odeszli z kryształem. Olaf był wściekły.

- Biegłem za mną! Kilka osób z Yndirmarie idzie spotkać się z Saugatukiem! Raz, raz! Ruchy!

Już w biegu podzieliliśmy się na dwie grupy. Ja z Durghiem i Tsuną popędziliśmy za Yndir ścieżką w górę zbocza, za nami kolejnych kilka osób: Onfis, Aleksander i Orwidor mruczący coś pod nosem. Nie wiem, ilu jeszcze było w tej drużynie, ale dość, że była to garstka nie mogąca sprostać więcej, jak pięćce przeciwników, a i to jeszcze z łaską bogów. Wkrótce ścieżka zoczyła w prawo, na nieco bardziej wyrównany teren upstrzony niewielkimi ruinami jakiegoś fortu.

- Saugatuk! – zaczęła nawoływać Yndir, ale niewiele to pomogło. Zaczęliśmy szukać umówionego z jeźdźcem miejsca, gdy usłyszeliśmy stłumiony krzyk Orwidora.

- Bogowie... Spójrzcie na te ślady krwi – tu wskazał na pobliskie drzewa i kamienie. Były całe czerwone, a u stóp jednego z drzew lśniły srebrne ćwieki, pozostałości po zbroi Saugatuka.

- Już nie żyje – krótko podsumowała Wergundka. – Krew na taką wysokość sika tylko z tętnicy. Ruszajmy do reszty, by im o tym powiedzieć.

- Nie wyjdziecie stąd żywi – zabrzmiał twardy, męski głos. Kilkoro, sądząc po ubiorach, bandytów uniosło miecze w jednoznaczny geście.

- To wy stąd nie wyjdziecie, bluźniercze źmije! Niech święty ogień Pani wypali zło! Kula ognia!

Potęga tej modlitwy Durgha sprawiła, że jeden z przeciwników z krzykiem i płomieniami rzucił się do krótkiej i bolesnej ucieczki. Reszta jednak ruszyła wprost na nas.

- Oddam ci miecz, jak tylko osłabnę! – krzyknął jeszcze do Tsuny kapłan, po czym rzucił się na pierwszego napastnika. Od drugiej strony atakujących zachodził Onfis. Orwidor wciąż mamrotał pod nosem.

Walka była krótka. Durgh posłał w kierunku rywali kolejną kulę ognia, jednocześnie przekazując Miecz Równowagi drugiemu z zakonników. Onfis rozprawił się z innym bandytą. Uważnie obserwowałam, czy nie trzeba kogoś leczyć, ale świetnie radzili sobie bez mojej pomocy. Na dodatek Orwidorowi udało się zakłębem powalić jednego z zamierzających się na Tsunę wojowników.

Wkrótce przeciwnicy leżeli już na ziemi, tam, gdzie ich miejsce. Durgh, nieco osłabiony działaniem Ostrza Równowagi oraz podobnie wyglądający Tsuna usiedli na chwilę, wyciągając manierki.

- Nie mamy czasu – rzuciła Yndir. – Rzuć im ktoś wzmacniające i biegnijmy do reszty. Kto wie, co ich tam spotkało.

Żał było mi podnosić z ziemi kapłana, który tyle dla mnie uczynił, ale rozkaz był rozkazem. Wyszepiałam słowa inkantacji i pomogłam mu wstać. Nie wyglądał najlepiej, Ostrze musiało mieć na niego wielki wpływ.

- Musimy iść – powiedziałam, mrużąc kolejną modlitwę wzmacniającą. Uśmiechnął się, zarzucając torbę na ramię.

- Ruszajmy – powiedział. Popędziliśmy za Yndir.

Resztę, wraz z Olafem, zastaliśmy na rozstajach pod samą Lisianką.

- Zwiali nam i przekazali kryształ jaszczurom – poinformowano nas. – Musimy iść i im go wykraść, a do tego woleliśmy mieć pełny skład. Gdzie Saugatuk?

Spuściłam głowę.

- Prawdopodobnie nie żyje.

- Bez tego „prawdopodobnie”, kapłanko – upomniała mnie Yndir. – Krew sikała na prawie pięć stóp.

Wesoły gwar dookoła nas nieco ucichł.

- Dobra, trzeba odzyskać kryształ i wrócić do obozu żywym – podsumował Olaf. – Ja i kilku wojowników idziemy zabrać kamień, reszta robi dywersję, atakując strażę. Jasne? Jak będzie po wszystkim, dam wam znać.

To powiedziawszy, wyjął róg i zadął weń donośnie.

- Szybki podział i ruszajmy. Jeśli zdążą obudzić Okanogana...
- Nie mamy wtedy, czego tam szukać.
- Nie mamy – potwierdził syn Elmeryka.

Pobiegliśmy w stronę Lisianki. Olaf wraz z kilkoma wojownikami pędzili po prawej, gotowi oddzielić się od nas, gdy tylko zaczniemy wchodzić pod górę. Wkrótce nadszedł ten moment. Ujrzałam Lisiankę, a na niej naszych przeciwników.

Było ich mnóstwo, dwudziestka zbrojnych, a może nawet więcej. Do tego czwórka jaszczurów dookoła jakiegoś kamienia tworzących coś na kształt rytualnego kręgu. Olaf skierował swoją grupę w prawo, a my... My ruszyliśmy z krzykiem.

Ogarnęło nas piekło. To nie była bitwa ani nawet rzeź. To było piekło. Gdzie się nie zwróciłam, trzeba było leczyć, pomagać wstać. Straż jaszczurów była potężna, dobrze wyszkoleni najemnicy nawet najbardziej doświadczonym z wojowników sprawiali trudności. I w tym momencie usłyszeliśmy dęcie w róg. Czyste granie instrumentu przywróciło nam wiarę.

- Aerlinn, wracaj do tyłu, pomóż tam Olafowi i reszcie, ktoś tam może być ranny! – usłyszałam czyjś głos. Mimo, że nie rozpoznałam, kto wydał mi ten rozkaz, wypełniłam polecenie. Po drodze podniosłam jeszcze Aarendila, przez którego przed chwilą przetoczył się nieprzyjaciel.

Kiedy dopędziliśmy grupę Olafa, ten z triumfalnym uśmiechem pokazał nam kryształ, a mi kazał wracać do walczących. Gdy jednak zewsząd zabrzmiał potężny wizg jaszczurów, nasi zaczęli dość szybko się wycofywać.

- Uciekaaaaa! – usłyszeliśmy krzyk. – Chroniiié Olaafaaaa!

Pozostali wojowie, a także magowie i kapłani dość szybko nas dopędzili. Słyszając krzyki pogoni, mimo fizycznego zmęczenia każdy z nas potrafił wykrzesać z siebie jeszcze nieco sił. Za nami Ahtung, nowy przybysz, mag ognia, krzyczał coś na całe gardło. Nie zdążyłam jeszcze zobaczyć, co to był za czar, gdy i od przodu pojawiło się kilkoro przeciwników.

- Część mieczy na przód!

Rozgorzała walka, rozpaczliwe wycofywanie się byle dalej od jaszczurów. Tych atakujących od czoła roznieśliśmy dość szybko, niestety, nie obyło się bez poważnych ran. Raz za razem goniłam między przodem, a tylnią strażą kolumny, gdzie także była potrzebna pomoc uzdrowicielki. W końcu szyk z przodu mógł już bezpiecznie iść. Krzyknięto, by wiać, ile sił w nogach. Usłuchałam.

Nie wiem, czy pamiętacie, jak nieszczęśliwie do tej pory w skutkach były zaklęcia Hogara, kapłana Skogura. Jednak dziś tylko jemu zawdzięczaliśmy, choć po kolejnych wydarzeniach przykro mi to przyznać, nasze życia. Hogar donośnym głosem wezwał swego Pana, by poplątał ścieżki tym, którzy nas ścigają. Udało się, a my, wykończeni do granic możliwości, wróciliśmy do obozu.

Narada kręciła się głównie wokół śmierci Saugatuka. Czy umarł? Jak umarł? Co mógł wiedzieć? No i oczywiście, co mamy robić dalej.

- Mogłabym zapytać lasu i drzew o to, co widziały, ale musiałabym wrócić na miejsce śmierci naszego informatora – powiedziałam, plując sobie w brodę za to, że nie zrobiłam tego, gdy tam jeszcze byliśmy.

- Jest inny sposób. Można pójść do Serca Lasu i tam wszystkiego się dowiedzieć od najstarszego drzewa tego gąszczy – rzekł Hogar. Skinęłam głową, nie wiedząc jeszcze, co nas dziś czeka.

- Ale chwila! Mówimy dziś o Saugatuku, a może warto wspomnieć o szarży Olafa! – rzucił Ulf. – Kiedy te jaszczury były w transie, siedząc dookoła kamienia, Olaf z Meriadociem zrobili wspaniałą rzecz, rzucili się między wrogów i cap kryształ! To warto wspomnieć!

- Wspomni się przy biesiadzie – uśmiechnął się zarumieniony Olaf. – A teraz zbierzmy grupę, która uda się do driad.

- Ja pójdę – zgłosiłam się jako pierwsza. – Driady mnie znają, służę tym samym bogom, co i one.

- Także idę – poinformował Hogar.

- Przyda się jakieś wsparcie – mruknął Onfis. – Mnie też chyba tam lubią.

- Ogólnie elfy powinny iść – powiedział Tsuna. – Już raz dość dobrze nam to wyszło.

- A w ramach wsparcia idę jeszcze ja – rzekł Durgh, na co we mnie gwałtownie urosło serce.

- I oczywiście ja. Chętnie popatrzę, jak Lily dowodzi – zachichotał Ulf.

- Ja się przydam na zwiady – uśmiechnął się Vey. – Ktoś jeszcze? Prócz elfów rzecz jasna?

- Z elfów ja nie idę. Laro nie jest bliskie driadom – zakomunikował Aarendil, wychodząc z karczmy. Potem dobraliśmy jeszcze kilku ochotników i umówiliśmy się na wyjście tuż po obiedzie.

Po posiłku zwarci i gotowi ruszyliśmy w drogę. Tym razem każdy z nas świetnie pamiętał, jak dojść do jeziora, nie potrzeba było już magii Hogara. Wkrótce stanęliśmy nieopodal świętego miejsca, zaprzestaliśmy rozmów i ze mną na przedzie weszliśmy do Serca Lasu.

- Witajcie w imię Silvy i Herna – rzekłam, kłaniając się nisko.

- Witajcie, przybysze.

Dopiero teraz dostrzegłam, jak zmieniła się wioska. Część nimf leżała poraniona, inne z kolei pomagały swoim rodaczkom. Pochyliłam głowę w hołdzie dla ich poświęcenia.

- Po co przybywacie? – zapytała przywódczyni. – Przecież nie tylko, by zobaczyć, jak niewiele nas zostało.

- Nie tylko po to, pani – rzekłam, a reszta spojrzała na mnie zachęcająco. Chcieli, bym mówiła dalej.

- Straciliśmy dziś w lesie towarzysza, informatora. Wiemy, że drzewa widziały tę masakrę. Gdyby najstarsze z nich pamiętało tę informację...

- Chcicie się dowiedzieć, jak zginął? Co mówił? Nie wiem, czy po masakrze pod fortem drzewa cokolwiek powiedzą. Ale owszem, zapytam Najstarszego.

- Dziękujemy.

Odeszła od nas, zbliżając się do wiekowego dębu, najświętszego i najstarszego z drzew tej puszczy. W myślach błagałam niebiosa, byśmy dowiedzieli się tu czegoś przydatnego.

- Niestety – przemówiła po chwili pani driad. – Drzewa pamiętają tylko krew. Swoją i cudzą przelaną w ciągu ostatnich dni. Tylko jedna Istota w tym kręgu może wam coś powiedzieć...

Zaszumiały drzewa. Przyklęłam, ramię w ramię z driadą i z Hogarem po mojej lewej ręce. Po przeciwnej stronie jeziora pojawił się Hern.

- Co chcecie wiedzieć? – zapytał, a ja poczułam takie onieśmienie, że nie mogłam wymówić słowa.

- Aerlinn, mów – usłyszałam głos z tyłu.

- Panie... W lesie dziś zginął człowiek. Miał nam przekazać ważne informacje na temat zniszczenia tego, który zagraża nie tylko nam, istotom śmiertelnym, ale i całemu porządkowi świata.

- Ten człowiek zginął, to prawda. Lecz ani jedno ze stworzeń nie słyszało tych informacji, o których mówicie. Może zamiast informatorowi zaufacie mnie?

- Więc możesz udzielić nam choćby cząstki swej wiedzy, Panie? Jak mamy zgładzić Złego?

- Odpowiedź znajdziecie u Korzenia Gór, w zapomnianym przez czas miejscu. Reszty dowiedziecie się sami. W swoim czasie.

- Dziękujemy, Panie.

Podniósł rękę w geście błogosławieństwa, gdy nagle usłyszałam głos Hogara.

- I ja mam misję zleconą mi przez bogów – rzekł głośno, jakby mówił do poddanego, a nie do boga. Sam ten ton zagotował we mnie krew.

- Mój Pan, Skogur, kazał mi przekazać ci, Hernie, posłannictwo! Zostaw Silwę Temu, komu jest należna i nie mieszaj się w sprawy mego Pana!

Że niby jak?! Chciałam wstać i strzelić Hogara w twarz, a sądząc po minie Wielkiego Łowczego i on nie był już spokojny.

- Śmiesz tak odzywać się do mnie w moim dominium?! – krzyknął, a ja wiedziałam już, że jeśli Hogar zaraz się nie ukorzy, będzie po nim.

- Silva jest moja i wara od Niej Skogurowi! A ty na kolana!

Hogar jednak trwał niewzruszenie.

- Chcesz zginąć i sprowadzić nieszczęście na nas wszystkich? – syknęłam. – Klękaj, jeśli ci życie miłe! I tak ciesz się, że jeszcze żyjesz.

Po chwili posłusznie klęknął.

- Wybacz, lecz przekazywałem tylko posłannictwo od mego...

- Milcz – nakazałam, przypominając sobie wypowiedziane przed chwilą słowa kapłana. Czy to możliwe, aby... Nie, nie powinnam o tym myśleć. Silvo, Pani Lasu, co się dzieje? Co mam zrobić?

- Odejdźcie i znajcie moją cierpliwość. A ty – tu spojrział na Hogara – naucz się jednego. Nie obraża się boga w jego własnym dominium.

Kapłan Skogura chciał jeszcze odpowiedzieć, lecz Hern, widząc bojąc się wybuchnąć swym strasznym gniewem, zniknął między drzewami. Pożegnaliśmy driady i wyruszyliśmy w drogę powrotną.

Były to najgorsze chwile w moim życiu jako kapłanki. Gdy słyszałam, jak Hogar i reszta bluźnią przeciw mej Pani, ledwie utrzymywałam nerwy na wodzy. Brzmiały tam różne teksty, których nie godzi się tu przytoczyć, lecz wszystkie dotyczyły, jak to zwano „skoku w bok” i tego, kim to nie jest Skogur czy Silva. Choć po dzisiejszej rozmowie chętnie ponarzekałabym na Skogura, nie zniżyłabym się poziomem do nazywania Go „Ogórem”, jak czyniło ponad trzy czwarte naszej ekipy. Tylko Durgh idący u mego boku nie dawał się ponieść atmosferze bluźnierstw.

- Spotka ich za to kara – rzekł do mnie. – Bo bogów można nie lubić, ale nie godzi się ich obrażać.

- Sama rękę przyłożę do ukarania bluźnierców. A gdy tylko wrócimy do obozu, wezwę Panią, po raz pierwszy w swym życiu. Wezwę Ją i zapytam o radę. Bo dzisiejsze wydarzenia przekraczają zdolności pojmowania śmiertelników.

Doszliśmy do obozu, gdzie wieść o słowach Hogara rozniosła się błyskawicznie.

- Słyszałem, że Silva romansuje z Hernem – mówiono zamiast powitania. Czym prędzej udałam się do namiotu.

Po odbiciu obozu udało mi się odzyskać to, co zabrali mi Wergundowie, gdy mnie pojmano. Teraz więc miałam do dyspozycji pełny strój rytualny z Aenthil, który zamierzałam wykorzystać. Gdy go włożyłam, na czele z lśniącem diademem i kapłańską broszą, poczułam się jak prawdziwa służebnica niebios, Córa Silvy. Kiedy mijałam wojowników, nikt nie zaczął mnie już pytaniem o to, co stało się przy jeziorze. Patrzono na mnie niemal z trwogą.

Kiedy stanęłam pod skarpą, gdzie zdecydowałam się wzywać mą Panią, dostrzegłam już Durgha, klęczącego kawałek dalej i pochylającego głowę, niczym przed władcą. Wzywa Toledę, zrozumiałam. Odczekałam więc, aż zakończy modły i zapytałam, czego się dowiedział.

- Zapłacą – odrzekł krótko, a ja z nadzieją spojrzałam w niebo. Potem uklękłam i wezwałam imienia Silvy, Pani Lasu i protektorki jego stworzeń, Matki Elfów.

- Usłyszałam twoje wezwanie – zabrzmiał cichy, kojący głos. – Czemu twoim sercem targają wątpliwości, kapłanko?

- Pani, Ty wiesz, co się dziś stało. Znasz moje uczucia i wiesz, że nie przyłożyłam ręki do tych bluźnierstw i obelg. Lecz powiedz mi, Matko, co mam zrobić w obliczu takiego zła i takiej nieprawości w naszych własnych szeregach? Wiem, uczyłaś mnie przebaczać, ale czy obrazy skierowane przeciw Twemu imieniu nie powinny być karane?

- *Uczyłam przebaczać, dobrze, że o tym pamiętasz. I tym razem przebac. Ale „przebac” nie znaczy „zapomnij”, to ważne. I nie mieszaj się do spraw między mną a Skogurem. To niebezpieczne dla śmiertelniczki. Hogar wykonywał swoje zadanie, nie kieruj swego gniewu przeciw niemu. Ani*

przeciw nikomu, bo nie godzi się, by moja służebnica wpadała w gniew, gdy ja sama spokój zachowuję. Kapłan jest obrazem bóstwa, wiesz o tym. Strzeż się gniewu i pochopności. Przebaczej. Ale nie zapominaj.

- Silvo, Ty jedna możesz mi powiedzieć o jeszcze jednej rzeczy. Wiem, że może mieszałam się w nie swoje sprawy, ale... co tam się stało?

- *Dobrze czujesz. Mieszasz się w nie swoje sprawy. W swoim czasie będziesz wiedzieć, domyślisz się. A teraz idź. Idź i przebac.*

- Twoja wola, Pani, świętością. Dziękuję Ci za radę. Przrzekam się do niej stosować.

Rozmowa była zakończona, a ja rozdarła. Przebaczyć? Przebaczyć bluźniercom? Przebaczyć, ale nie zapominać, powtórzyłam w myślach słowa Matki Lasu. Dobrze, Pani, Ty wiesz, że poprzysięgłam Twoją wolę uważać za moją. Przebaczę. I nie zapomnę.

Przebrawszy się z rytualnego stroju, ujrzałam idącego wzdłuż namiotów Durgha.

- Co się dzieje? – zapytałam. – Co robimy?

- A co tobie kazała Silva?

- Przebaczyć, lecz zachować tę sprawę w swoim sercu. Nie pomogę ci w Inkwizycji.

- I ja stosów tu nie wyprawiam. Lecz bluźniercy zostaną ukarani. Chodźmy do halli.

Weszliśmy do karczmy ramię w ramię, jak dobrzy przyjaciele, bo też i minione zdarzenia uczyniły nas przyjaciółmi na śmierć i życie. Tymczasem jednak posłannictwo Durgha, pokuta dla bluźnierców, nie mogło być zrealizowane. W halli siedzieli niemal wszyscy byli więźniowie i zesłańcy, a między nimi Hugin dyskutujący z Ulfem.

- I gdzie bogowie kazali wam iść? – prychnął cicho.

- W miejsce, które Hern nazwał „korzeniem gór” – wyjaśnił Fiordyjczyk. Krasnolud z drżeniem ręki odłożył dzierzony w niej kufel.

- Dobrze słyszę? Chcecie iść do Korzenia Gór? Na Ścieżki Szaleństwa?! Bogowie przeceniają wasze możliwości. Ścieżki to nie miejsce dla śmiertelnych. Chyba, że chcą odejść z tego świata.

Teraz to Ulf zbladł.

- Co to za miejsce, Hugin? Czemu nazywasz je Ścieżkami Szaleństwa?

- Kiedyś to była kopalnia – zaczął opowieść krasnolud. – Wielka i dobrze prosperująca. Ale pewnego dnia coś się w niej zagnieżdżyło. Moi rodacy pracujący pod ziemią już stamtąd nie wychodzili, a przynajmniej nie tacy sami. Bo na Ścieżki można wejść i wyjść, ale Ścieżki zawsze pójdą za wami. Więc wpadali w obłąd. I starzy, i młodzi. Niektórzy też zmieniali się fizycznie, nigdy na lepsze. I umierali. Masowo. Ścieżki to jeden wielki cmentarz. Grobowiec. I śmierć zarazem. Od tamtej pory nikt tam nie wchodził, a przynajmniej nikt nie wychodził. Do dziś, gdy chcemy kogoś wysłać do diabła, mówimy „a idź na Ścieżki Szaleństwa!”

- I nie można się jakoś ochronić przed ich działaniem?

- Mówią, że im więcej jest osób, tym mniej działają Ścieżki. Ale działają zawsze. To miejsce zapomniane przez czas, odrzucone przez bogów. Nie idźcie tam, jeśli nie musicie. To pewna śmierć czy obłąd, niewiadomo czy z tego nie lepsza śmierć.

- Mimo to pójdziemy. Po wieczery czekam na ochotników – ogłosił Ulf, a Durgh natychmiast do niego podszedł i zgłosił się na wyprawę. Zadrżałam. Powinnam iść, ale czy mam na tyle odwagi?

Wyszliśmy z halli, rozmawiając na temat Ścieżek.

- Ilu kapłanów się zgłosiło? – zapytałam, chcąc upewnić się, jak bardzo jestem potrzebna.

- Na pewno Ivar, a widziałem też Noxa – odpowiedział mi wysłannik Toledy. – Wiem, o czym myślisz, Aerlinn, ale proszę, nie idź tam. Będzie nas dość, a i obóz potrzebuje ochrony.

W tym momencie do obozu, jak gdyby nigdy nic, wtarabaniła się dwójka przybyszów. Wyglądali raczej zwyczajnie poza dość długimi mieczami przy pasie. Spojrzałam na tych, którzy zdążyli właśnie wyjść z karczmy i przyglądali się przybyszom. Ci zaś powoli skierowali się w stronę starego posągu Modwita.

- Potrzebujemy mapy – powiedział jeden z nich. Mówił dość głośno, ale spora część obozu zbliżyła się do niego. Ręce wojowników spoczęły na rękojeściach.

- Szukacie drogi na Minsterberg? – zapytał zapobiegawczo Einar, by nie okazało się, że to jacyś sojusznicy jarla.

- Kij z Minsterbergiem!

W tym samym momencie wyciągnęli oręż, wiedząc, że nie damy się tak łatwo zaskoczyć. Jeden z nich skinął na drugiego, po czym z dzikim krzykiem runęli na zagradzających im drogę wojów. Spostrzegłam czarny frak Aleksandra znikający w strategicznym punkcie, jakim była halla. Niestety, tuż za politykiem przebiła się dwójka przybyszów z dziką szarżą. Przyklęłam przy pierwszym z wielu rannych.

Nie pamiętam dziś tej potyczki zbyt dokładnie, wiele miesięcy już minęło, wiele wody upłynęło w rzekach. W mojej pamięci zapisało się mało szczegółów. Gdy wyteżę jednak pamięć, mogę sobie przypomnieć, że w pewnym momencie z lasu wyskoczyła jeszcze co najmniej piątka napastników, którzy jednak wkrótce pod nawałą w większości fiordyjskich mieczy legli na placu. Potem każdy z nas, który jeszcze był w stanie walczyć czy leczyć, skierował się do halli.

Niestety, na nic zdały się nasze liczne próby odbicia karczmy. W końcu dwójka zabarykadowanych tam przeciwników z kolejnym wrzaskiem wyskoczyła z budynku, siekąc swoimi mieczami na prawo i lewo. Niezmiernie żałuję, że udało im się uciec.

- Idę leczyć w halli – usłyszałam głos Durgha, który niczym na skrzydłach pomknął udzielać pomocy tym, którzy najdłużej byli w sąsiedztwie napastników. Ja skupiłam się na tych leżących na placu i w okolicach, aż wkrótce, nieco zmęczona, wróciłam do karczmy.

Zastałam tam Durgha klęczącego przy którymś z rannych, a także spore zbiegowisko dookoła kartki z wartami.

- Spójrzcie tylko – jęknął Ulf, podnosząc się z ziemi i wycierając z krwi własną dłoń, którą jeszcze przed chwilą, jak się dowiedziałam, próbował tamować krwotok. Z bladym uśmiechem wskazał na przybitą do słupa kartkę z wypisaną kolejnością wartowania.

Wysłuchaliśmy prośby dowódcy. Spis wart niewiele się zmienił, oprócz tego, że dwie straże, ta należąca dziś do Aleksandra, i któraś z ostatnich, którą miała objąć Lily z Keledym i Veyem, były podkreślone. Do tego u dołu kartki przybito tak dobrze mi znaną karteczkę z napisem „Ormurin”. Aleksander właśnie malowniczo podsumowywał tę karteczkę, dopisując pod symbolem organizacji „Takiego wała, jak Wergundia cała”. Nawet Durgh się uśmiechnął.

- Widzisz? Zostaniesz w obozie, będziesz ich tu pilnować. Nie chcemy cię stracić – rzekł.

- A jeśli to ja was stracę? Słyszałeś, co mówili. Z całą pewnością będziecie potrzebować mojej pomocy.

- Poradzimy sobie. A twoja pomoc będzie nieoceniona, by doprowadzić nas do wyjściowego stanu, gdy wrócimy. Zostań.

Skinęłam głowę, a gdy po dłuższej chwili i wytarciu podłogi z krwi wniesiono wieczerzę, atmosfera z niemal dramatycznej w mgnieniu oka zrobiła się wesoła.

- Hej, oddajcie mi ten chleb! – błagał znany z łakomstwa Noxis, gdy wojownicy hirtu podawali sobie pod stołem cały bochenek.

- Ej, Meriadoc, dałbyś mi sos czosnkowy! – padła prośba ze strony Onfisa.

- Częstkowy? Nie rozumiem! – uśmiechnął się adresat.

- Podaj mi to, co trzymasz pod stołem i jest twarde, okrągłe i ociekające białym płynem.

Zanim zdążył się zorientować, co właśnie powiedział, ci, którzy tylko to słyszeli, parsknęli w swoje kubki. Ulf poklepał towarzysza po plecach.

- Moja krew – rzekł.

Takie i jeszcze inne tego typu zabawy i gry słowne trwały przez dobrych kilkanaście minut, aż wreszcie wszyscy wychylili ostatnie kubki, w pobliskim źródle umyli miski i odnieśli „sprzęt” do namiotów. Wtedy zajęto się ustalaniem składu na Ścieżki.

- Wszyscy, którzy idą, marsz pod halłę! – padła komenda.

- Aerlinn, zostań, proszę po raz ostatni.

Tylko Pani świadkiem, jak ciężka dla mnie była ta decyzja. Walczyły we mnie jakby dwie istoty, ta pragnąca pomóc reszcie za wszelką cenę oraz ta, która tak strasznie bała się Ścieżek z opowieści Hugina. Wreszcie ta druga, wspierana przez głos Durgha, wygrała.

- Zostanę – powiedziałam, gdy od strony ogniska zabrzmiał krzyk Tsuny. Pobiełam tam ramię w ramię z wysłannikiem Toledy.

Tsuna leżał wprost na ziemi, dygocąc jakby w przedśmiertnych drgawkach. Przypadłam do niego, wzmacniając go szybko, lecz Durgh wciąż stał niewzruszony.

- Myślał, że poradzi sobie sam bez boskiej ochrony. Błuznił. Teraz spotyka go za to kara. Pozbawiono go tarczy, co wykorzystał prawdopodobnie demon.

- Więc nie możemy tego tak zostawić! Mimo bluźnierstw nikt nie zasługuje na taki los!

Wymruczeliśmy modlitwy, mój towarzysz dodał do nich specjalny egzorcyzm i wreszcie udało nam się ocucić elfa. Nieszczęsny zakonnik, choć wciąż był słaby, podziękował nam, gdy Durgh nachylił się nad nim i wypowiedział jeszcze kilka słów, wyjaśniając, co się stało. Kiedy Tsuna wreszcie stanął na nogach, od strony halli nadszedł ponaglający ochotników Ulf ramię w ramię z Veyem.

- Widzieliście, co dzieje się z tymi, którzy bluźnią przeciw bogom – rzekł najwierniejszy z kapłanów. – Dobrze wiecie, co robiliście podczas powrotu od driad. Widzę po waszych minach, że żałujecie, lecz Pani, choć przebacza, wymaga pokuty dla bluźnierców.

Tu zbliżył się do każdego z osobna i wyszeptał kilka słów, których nie dosłyszał nikt poza nimi. Po tej rozmowie myśleliśmy, że wszystko zostało ustalone, więc Durgh ruszył w stronę halli, tam, gdzie przebywała reszta oddziału.

- Pozostaje sprawa innego bluźniercy – rzekł po drodze, gdy jednak zdecydowałam się odprowadzić go przynajmniej na miejsce zbiórki. – Onfis także obrażał bogów.

- Uczyni więc z nim to, co z innymi. Nie mnie mieszać się do pokuty nakazanej przez twą Panią.

- Gdzie Onfis? – zapytał więc kapłan pierwszego z szykujących się do wyprawy wojowników.

- Siedział w karczmie – uzyskaliśmy odpowiedź.

W tej chwili sam zainteresowany wytoczył się z halli z kuflem w ręku. W tym samym momencie zamarł, jakby z przestachem na twarzy i nagle upadł, tak po prostu, bez powodu, upuszczając naczynie. Podbiegłam do niego, wiedząc, że musiało się stać coś poważnego. Elf już był nieprzytomny.

- Szybko, przenieście go do karczmy – usłyszałam jakiś głos, ale te słowa dobiegały mnie jakby z oddali. W mojej głowie były tylko modlitwy, tylko błagania o to, by Onfis przeżył.

Drzwi do halli stanęły otworem, a ja krzyknęłam na tych spośród kapłanów, którzy byli jeszcze poza oberżą, po czym znów przeniosłam uwagę na ledwie żywego elfa.

- Onfis, na święte gaje Aenthil! Co się stało?

Nie uzyskałam odpowiedzi, czego można się było spodziewać po nieprzytomnym pacjencie. Modlitwa lecznicza także niewiele wskórała. Nagle oczy Onfisa zaszklily się, jakby... Nie, tylko nie to!

- Dusza nie uszła z ciała – rzekł powoli samnijski szaman, który właśnie przyklęknął obok elfa. – Ale ogień życia niemal w nim zagaś.

- Pani, Matko Elfów, nie pozwól swemu słudze odejść, daj szansę, by się nawrócił, by ponownie wkroczył na świętą Ścieżkę Wiary. Nie zabieraj go teraz, nie w mroku grzechu. Proszę, Silvo Łaskawa, ulituj się nad Onfitem, przywróć go nam!

Zabrzmiały słowa mocy, jakaś mantra, aż wreszcie pacjent drgnął. Żył. Kiedy udało mu się, choć z naszą pomocą, podnieść, uśmiechnął się blade.

- Dziękuję – powiedział tak słabym głosem, że przygotowałam już modlitwę wzmacniającą. – Trucizna działała, chciałem wziąć antidotum mi przyrządzone... Gdyby nie wy, nie byłoby mnie tu.

- Więc działała? Nic nie pomogło? A tamten rytuał?

- Nic – jęknął. – A teraz proszę, rzućcie coś na wzmocnienie, bo muszę zebrać się do wyjścia.

- O nie! – krzyknął Ulf, który właśnie wkroczył do karczmy dumnym krokiem dowódcy.

- Tak! Idę, muszę wam pomóc.

- Zostajesz pod opieką kapłanów, nie ma mowy.

- Nie.

- Tak i nie kłóć się, bo dostaniesz cepem przez łeb! – Ulf wyraźnie się wkurzył.

- Niech wam będzie. Zostanę. I tu przyda się wsparcie. Przynajmniej się prześpię, skoro wszystko jest już ustalone.

- Nie, jeszcze jedna sprawa. Wybacz, że w takim stanie, ale muszę to uczynić – twardym głosem odezwał się Durgh.

- Wyjdźmy – poprosiłam resztę.

Chwilę później Onfis wytoczył się z karczmy, a grupa, która miała podążyć na Ścieżki, została obdarzona specjalnym błogosławieństwem. Nie potrafię dziś przypomnieć sobie słów Durgha, lecz ich moc była większa, niż jakiegokolwiek modlitwy wcześniej. Nasze prośby nijak miały się do tego zapędu, oddania i wiary. Kiedy po wezwaniu zakonnika zabrzmiały nasze głosy, wiedziałam, że to błagania wysłannika Toledy najbardziej spodobały się bogom.

Wyruszyli. W obozie zapadła złowroga cisza, a większość z tych, którzy nie poszli na Ścieżki, w tym i osłabiony Onfis, zajęła strategiczne miejsca przy ognisku. Wartowali wszyscy, błagając niebiosy, by Ormurin, wbrew zapowiedziom, jednak nie zaatakował.

- Mało nas, a przeciwników może być wiele – rzekł elf, gdy kilkoro z nas mimo wszystko udało się na spoczynek.

- Jeśli zaatakują, możemy nie dożyć świtu – powiedziała Nike.

- Nawet tak nie mów! – ofuknął ją niejaki Rafimos, który miał się czego obawiać, był bowiem na liście Ormurinu.

Nikt nie chciał już kontynuować tego tematu. Popłynęły opowieści o świecie, później na moją osobistą prośbę o bitwie pod Arden zaczął opowiadać Onfis. Tę historię kontynuował też przybyły niedawno człowiek jarla, a gdy skończył, wraz z dwoma czy trzema osobami przeniosłam się do halli, miejsca jeszcze bardziej strategicznego i dużo łatwiejszego do obrony niż ognisko. Mimo zagrożenia, nie doczekałam powrotu reszty ze Ścieżek. Jakies dwie godziny po północy poszłam spać.

Ranek okazał się upalny, prawie jak na granicy Południowej Puszczy. Kiedy tylko wyszłam z namiotu, dostrzegłam kilku wojowników, którzy wczoraj wyszli na Ścieżki. Idąc obmyć się w pobliskim strumieniu, zauważyłam też klęczącego na uboczu Aleksandra. Czyżby Ofirczyk się nawrócił? Zawsze miałam go za zatwardziałego ateistę.

Zaczełam, aż zakończy modlitwę i zapytałam, do kogo zanosił swe prośby. Nie wiem, czemu, ale nie zdziwiła mnie odpowiedź, że do Toledy, Pani Równowagi. W tak trudnych czasach chyba każdy błagał o przywrócenie sprawiedliwości i właśnie równowagi. Aleksander pożegnał mnie, zaczesując za ucho krótkie, srebrnosiwie pasemko. Nie zamierzałam pytać go o nocną wyprawę.

Wracając od strumienia, przy samym dawnym karczerze znalazłam siedzącego samotnie Ulfa. Byłam pewna, że kto jak kto, ale on Ścieżki przetrzymał najlepiej. Chciałam więc zapytać go, co tam się właściwie stało.

- Nie. Wspominaj. Tego. Miejsca – wycodził, lecz po chwili sam zaczął opowiadać, choć w innych okolicznościach jego głosu pewnie nawet bym nie poznała. Fiordyjczyk był tak blady, tak inny od wojownika, którego znałam...

- Widziałem krew – dukał teraz tym przeraźliwie zmienionym głosem. – Bitwę. Głębinę Meite. Byłem wtedy młody, niedoświadczony. Widziałem ciała braci. Przyjaciół. Morze czerwone od krwi.

- To tylko wspomnienia, Ulfie – starałam się uspokoić wojownika. – To było i już nigdy nie wróci.

Lecz on spojrzał na mnie nieprzytomnym wzrokiem, oczyma pełnymi jednocześnie beznadziei i przerażenia.

- Też tak myślałem przez te wszystkie lata. Ale to wraca. Co noc w koszmarach. A teraz widziałem to jeszcze raz. Na jawie.

- Takie myślenie nie przywróci życia tym, co wtedy polegli. Co możesz zrobić poza tym, że walczysz z tymi, z którymi walczyliście wtedy?

- Mogę... szukać śmierci. Ona mnie znajdzie, gdyby nie wy, już by mnie znalazła. Mogę wreszcie spotkać braci z Głębiny.

- Nie! – powiedziałam głośno, a kątem oka dostrzegłam zmierzającego w naszą stronę Ivara.

- Ivar, ty jesteś z hirdu, znasz go. Przemów mu do rozsądku – błagałam.

- Ulf, wiem, że się z tobą bawiłem ciężkimi zabawkami...

Wzniosłam oczy ku niebu i postanowiłam wziąć sprawę jednak w swoje ręce.

- Nie możesz się poddać. Nie po to wróciłeś... stamtąd, by teraz odchodzić. Nie po to bogowie sprawili, że przeżyłeś tamto piekło na Głębinie. Masz tu misję do wykonania. Bez ciebie nikt jej nie wykona.

Zebrał się w sobie i nieco spokojniej rozejrzał się dookoła.

- Więc ją wykonam. A potem do nich dołączę, gdy pomsta się dopełni.

Dalsza część ranka wyglądała podobnie. Tego dnia w obozie nie słychać było wesołych rozmów czy śmiechu. Onfis powiedział, że zdołał dowiedzieć się, bodajże od Tsuny, co znaleźli na Ścieżkach. Nie była to pełna opowieść, ale o najważniejszych sprawach wiedzieliśmy właśnie dzięki niemu.

- Okanogan stworzył jaszczury na górze o nazwie Mabrog. Tylko tam możemy zniszczyć tę rasę. Stworzył je, jak wiemy, na podstawie Pieśni Bogów, a dokładnie kamiennej tablicy z wrytą na niej Pieśnią Stworzenia. Tylko za pomocą Pieśni możemy jaszczury unicestwić.

- Kamiennej tablicy? – do rozmowy między dwójką elfów włączył się krasnolud. – Powinniśmy powiedzieć o tym reszcie, bo ja... wiem, gdzie znajduje się odpis tej tablicy. Mój Pan, Wajan, wskazał mi dziś we śnie to miejsce...

CZEŚĆ IV

Pieśń i co z niej wynikło

- Była to dolinka, niewielka, zalesiona. W niej kopalnia czy sztolnia. Pilnowała jej dwójka krasnoludów z berdyszami.

- I oni mają tablicę? – zabrzmiało w ciszy halli.

- Odpis. Ale mają. Musimy się tam udać i to od nich wynegocjować.

- Gdzie jest ta dolinka?

- Nie wiem, podobnych jest tutaj...

- Ja wiem – przerwał Hugin. – Niedaleko stąd, na południe. Otwarto tam niedawno starą kopalnię. To ziemie mojego klanu, więc widziałem tamtych górników. Faktycznie, mają berdysze.

- Więc powinniśmy się tam udać. I to jak najszybciej, co by nas jakieś лихо nie znalazło – podsumował Olaf. – Wyruszamy za chwilę, zebrać potrzebne bety i w drogę.

Do wymarszu byliśmy gotowi niemal natychmiast. Woleliśmy opuścić obóz szybko, by zdążyć dojść na miejsce przed południem, przed największym skwarem. Upał, faktycznie, był niezwykle uciążliwy, zwłaszcza, że ścieżka, którą nas prowadzono, wiodła cały czas pod górę i nie lasem, a odkrytym terenem. Kiedy zeszlśmy w dolinę, moja manierka była już prawie pusta.

Sztolnię znaleźliśmy szybko i bezproblemowo. Choć na początku próbowano nas straszyć wspomnianymi berdyszami, szybko „zgadaliśmy się” na handel. Pokazano nam odpis Pieśni, tłumacząc, że prawdziwą tablicę krasnoludy, jak to Lud Gór, po prostu sprzedają.

- Hej, szpiczastousi z dala od kopalni, bo dostaną, jak nie berdyszem to łopata przez łeb!

Posłusznie odsunęłam się z zagrożonego terenu, a Noxis próbował negocjować cenę odpisu. Trzeba tu przyznać, że słusznie potem ochrzciliśmy go antytalentem handlowym, bo nie dość, że zapłacił za to bająską sumę, nawiasem mówiąc przekazaną mu z ofirskiej sakiewki Aleksandra, to jeszcze sprzedający zażądali w zamian jakiegoś, możliwie cennego artefaktu.

- Może ten mieczyk? – zapytał któryś z nich, wskazując na lśniący Miecz Równowagi, a dłoń Durgha przesunęła się na rękojeść.

- Mam lepszy pomysł – rzekł kapłan. – Mam tu amulet o niezwyklej mocy.

W tym momencie z sakiewki wyciągnął ogromny, zielony kamień oprawiony w srebro

- Regeneruje on zdrowie prawie natychmiastowo – wyjaśnił. – Każdą ranę zasklepia w ciągu kilku chwil.

- Dobre! – zawołał krasnolud. – Ale potrzebna nam demonstracja. Daj amulet swemu towarzyszkowi, o niech będzie nawet ten elf, i uderz go mieczem.

Durgh podający kamień drugiemu z zakonników i zamierzający się na niego nie był przyjemnym widokiem. Kapłan też wiedział, że będzie tego żałował, ale czyż nie czynił tego dla większego dobra?

Tsuna padł, lecz w jednej chwili rana, dość głęboka, to trzeba przyznać, zasklepiła się, a blizna zniknęła.

- Niesamowite! – usłyszałam od krasnoludów, a wysłannik Toledy spojrział w niebo, jakby oczekując co najmniej gromu za swoje poczynania. Dopiero potem wyjaśnił mi, że za samo użycie amuletu powinna spotkać go kara.

- Kamień dawał regenerację ale zaburzał wewnętrzną równowagę – powiedział, gdy kilka minut później (i ofirskich bezantów także) szliśmy w stronę obozu. – Prowadził on do dysharmonii organizmu, goił rany, ale niszczył wszystko, co dali bogowie. Zdobyłem ten amulet na Gertrudzie, więc teraz pewnie nie dziwi cię, że z tak wielką chęcią oddałem go krasnoludom. Swoją drogą za samo uderzenie zakonnego brata powinienem już nie żyć.

W niewesołym nastroju powrócił do obozu. W czasie marszu raz czy dwa zatrzymaliśmy się, by przepisać jakoś odpis, co dawałoby nam nieco bezpieczeństwa w razie jakiegoś ataku. Wreszcie doszliśmy do dolnej bramy dawnej wergundzkiej placówki. W obozie odetchnęliśmy z ulgą.

Halla powitała nas długo wyczekiwany chłodem i lodowatą wodą ze strumienia. W kącie jednak siedziała dwójka nieznanych nam przybyszów, co sprawiło, że nasze miny nieco zrzedły. Na pytanie o to, czym się parają, mężczyzna odpowiedział, że jest magiem, zaś niewysoka kobieta przedstawiła się jako bardka. Niewiele nam to pomogło, ale, choć właściwie nie wiem, czemu, nasze dowództwo stwierdziło, że można im zaufać.

- Potrzebujemy odczytać zapis Pieśni. To jakieś runy czy inny starożytny alfabet. Skoro żaden z nas nie potrafi tego zrozumieć, trzeba poprosić kogoś, kto może się na tym znać.

Lecz tu czekał nas problem. Gdy pokazano magowi początek Pieśni, ten zaprzeczył, jakoby potrafił to rozczytać. O dziwo, zupełnie inną minę miała bardka.

- To zapis nutowy – powiedziała z uśmiechem. – To melodia i to wcale nieskomplikowana.

- Pieśń nie może składać się tylko z melodii – zaproponował Noxis. – Może była jakaś druga tablica ze słowami?

- A może to tylko przez przypadek przypomina melodię? Gdzie możemy dowiedzieć się jeszcze o zapomnianych pismach?

Zapadła cisza, którą przerwał wchodzący do halli jarl Leif. Wszyscy zdziwiliśmy się jego nagłym przybyciem, ale gdy nieco się rozchmurzył, zrozumieliśmy, że chyba nie przychodzi pytać nas o flagę. Nie opisałam tu tej historii, ale obozowe legendy głosiły, że jeszcze przed naradą u driad jarl przekazał obozowi tryntyjską flagę, tę samą, którą wyniesiono spod Arden. A ledwie dzień czy dwa później, tuż po bitwie o fort, flaga z obozu zniknęła. Dobrze, że nikt tym razem nie wspomniał o tym jarlowi.

- Zapomnieliście pewnie, że w okolicy jest świeżo założona komandoria Zakonu Początku Świata...

- Źe co?! – aż przerwał wojownikowi Durgh. – Komandoria? Gdzie? Daleko stąd?

- Olaf pewnie zna to miejsce. Tam, gdzie złamane drzewo od wagi. Stary fort...

- Znam, faktycznie – uśmiechnął się przyszły władca Imperium. – Yndir, weźmiesz tam część drużyny i wypytacie o wszystko zakonników. Reszta zaś, która tu zostanie, zajmie się nauką tej nieszczęsnej melodii.

Rozeszliśmy się na chwilę do namiotów, przecież i tak wyruszyć mieliśmy już po obiedzie. Durgh z chęcią złożył wizytę na mojej kwaterze, ciesząc się z rychłego spotkania ze swoimi braćmi.

- Mam nadzieję, że nic nie mają do innowierców – powiedziałam. – Chciałabym zobaczyć, jak żyje wasz Zakon, ale nie wiem, czy stamtąd wyjdę.

- Wyjdziesz. Nie powinni nic mieć do tych, którzy wyznają innych bogów, a nawet jeśli, to obiecuję, że nie zaatakują osoby, która uratowała mi życie. Własną piersią bym cię osłonił.

Nie muszę nawet mówić, jakie wrażenie zrobiła na mnie ta wypowiedź.

- Obyś nie musiał – odrzekłam, ale sama dobrze czułam, jak bardzo widoczne było drżenie w moim głosie.

Obiad nadszedł szybko i równie szybko minął. Wkrótce nasza grupa zmierzająca do komandorii zebrała się przy obozowej bramie.

- Niech nas Pani strzeże – usłyszałam cichy szept Durgha, kiedy ostatnia osoba zamknęła za sobą furtę.

Ruszyliśmy w drogę. Było nas niewielu, ale wystarczająco, gdybyśmy mieli bronić się przed grasującymi w okolicy bandytami. Szła z nami cała trójka wyznawców Toledy: Durgh, Tsuna i Aleksander, a także kilkoro innych, którzy na własne oczy chcieli się przekonać o surowości zakonnego życia.

Nasz pochód nie trwał długo. Najpierw szliśmy drogą podobną, jak ta do driad, lecz wkrótce skręciliśmy na północ. Przeszliśmy kawałek lasem, aż dotarliśmy do sporej łąki. Niecałe pół mili za nią znajdowały się ruiny któregoś z licznych fortów, nad którymi górował nagi pień drzewa.

- Drzewo od wagi – usłyszałam niemal zachwycony głos kapłana.

On nas prowadził. Gdyby nie zaufanie, jakim darzyła go drużyna, wielu pewnie zawróciłoby, ale teraz każdy, choć nieco zląkniony, szedł za nim do ziejącej w ścianie fortu dziury.

- Przybывamy w pokoju i z łaski Pani – rzekł głośno, gdy zauważył stojącego w wejściu zakonnika.

- Wejdźcie więc. Choć dopiero przybyliśmy, z chęcią was ugościmy.

Za Durghiem wdrapałam się ku wejściu, a potem zesłam wąskim przejściem aż do głównej izby komandorii. Zapachniało suszącymi się u sufitu ziołami. Jak się później okazało, prócz ziół było tu niemal wszystko, co mogło się zmieścić na tak małej przestrzeni. Pięcioro zakonników w pocie czoła pracowało, by urządzić tu jaką taką siedzibę.

- Witaj, bracie – rzekł tutejszy przełożony, wysoki brunet, który właśnie wstał od naprędce skleconego stołu.

- Witaj w imię Pani – skłonił się Durgh, a i wielu z nas z szacunkiem pochyliło głowy.

- Co sprowadza samotnego zakonnika w te okolice? Nie widzieliśmy tu wielu naszych braci.

- Otrzymałem misję, której wykonywanie, niestety, przerwało mi osadzenie w tutejszym obozie jenieckim. Dopiero kilka dni temu udało nam się wyzwolić obóz i kontynuować zadanie. Mam przygotować te ziemie do walki z nadchodzącym Złym.

- Zły nie nadejdzie, jeśli go powstrzymamy. Lecz pewnie nie po wieści ze świata przybyłeś tu, prawda?

- Prawda, bracie. Wiemy, że księgi Zakonu są kopalnią wiedzy, że tylko tu możemy dowiedzieć się, co właściwie znaleźliśmy.

- Zamieniam się w słuch, bracie.

- Mamy tu... kartkę z odpisem pewnego, jak przypuszczamy, tekstu. Bardka rozpoznała to jako melodię, ale jestem pewien, że jest to też alfabet. Tylko wiedza Zakonu może nam pomóc.

- Pokażcie ten odpis, a i ja znajdę w księgach tyle, ile tylko mogę.

Podano mu fragment kartki, na którym udało się zamieścić odpis Pieśni Stworzenia. Zakonnik milczał przez chwilę, po czym zawołał na siostrę zajmującą się do tej pory ziołami i nakazał jej przynieść jakiś wolumin o niezrozumiałym tytule. Kiedy otworzył księgę, przez chwilę milczał, aż wreszcie powiedział coś, co uradowało nie tylko Noxisa.

- To faktycznie są słowa. To stary alfabet sylabiczny, ale przy odrobinie szczęścia mogę go odczytać. Czekaście chwilę, wyciągnę pióro i inkaust, a zapiszę wam całość tego tekstu.

W końcu na kartce pod niezrozumiałymi symbolami zapisano także sylaby. Uśmiechnęliśmy się, gdy zobaczyliśmy, że nasza wizyta tu na coś się przydała. Tymczasem zakonnik wyciągnął rękę nad Durghiem i błogosławił mu w imię Toledy.

- Bracie, jest tu jeszcze ktoś, kto potrzebuje twego błogosławieństwa – rzekł kapłan. – Wybacz, wiem, że nie mam uprawnień, ale sytuacja była wyjątkowa. Tego oto elfa, Tsunę, przyjąłem do Zakonu chwilę po tym, jak Pani zesłała mu nawrócenie.

- Dobrze uczyniłeś. Podejź tu, Tsuno, niechaj i na ciebie spłynie błogosławieństwo.

Po całej ceremonii raz jeszcze podziękowaliśmy zakonnikom, choć ja z cichą obawą, że nagle zapytają, w co wierzą inni obecni w komandorii. Udało nam się jednak wyjść bez niepotrzebnych pytań. Na jakieś dwie godziny przed zachodem słońca znaleźliśmy się w obozie.

- Mamy słowa! – oznajmiliśmy triumfalnie.

- A my już prawie znamy melodię! – otrzymaliśmy odpowiedź. – I mag pomoże nam ułożyć rytuał!

Ucieszyłam się na te słowa, choć nie pokładałam wielkiej wiary w dwójce naszych magów. Nike, która zrobiła mi miejsce w drzwiach halli, nuciła coś pod nosem.

- Czyżby to ta słynna melodia? – zagadnęłam ją po chwili.

- Tak, wreszcie ją zapamiętałam. Ale jest gorzej, teraz mam uczyć innych. Chór musi brzmieć zgodnie.

Na myśl o próbach nauki śpiewu chociażby członków hirdu kąciki moich ust natychmiast powędrowały ku górze.

- No to powodzenia – powiedziałam, po raz ostatni spoglądając na chylące się ku zachodowi słońce. Onfis minął mnie, wychodząc z karczmy. Też się uśmiechał. Gdzieś w głębi halli brzmiał donośny głos Hugina, co tym bardziej skłoniło mnie do zajęcia miejsca gdzieś niedaleko.

Usiadłam na ławie, rozprawiając o rytuale i aktualnym temacie, czyli lokalizacji góry Mabrog, o której na razie nikt więcej nam nie powiedział.

- Mabrog? – zapytała po raz wtóry Yndir. – Nigdy nie słyszałam o takiej górze. Ale nie ma, co się dziwić, tu każdy pagórek i drzewo ma co najmniej trzy nazwy. Jedna musi być krasnoludzka, druga starożytna, elficka chyba, no i trzecia, obecna, ludzka. Z czasem każda nazwa ulega zniekształceniu, więc nie możemy powiedzieć, jak naprawdę coś się nazywa czy nazywało. Każda rasa odpowie wam inaczej.

- A ja chyba wiem, gdzie znajdziecie tę górę Mabrog – rzekł Hugin, głośno odstawiając kufel na stół. – To nazwa krasnoludzka, a samą górę znajdziecie trzy godziny marszu na północ stąd. To po waszemu Góra Zamkowa.

- Zamkowa? Znam to miejsce – odpowiedziała Wergundka, a i Olaf jej przytaknął. W tej samej chwili usłyszeliśmy dochodzący z dolnego krańca obozu krzyk. Większość z nas natychmiast wyszła przed karczmę, zobaczyć, co się stało.

Z krzaków poniżej namiotów wybiegł nieco przerażony Leif ze zbroją we krwi i z również zakrwawionym sztyletem w ręku.

- Zdrada! – wrzasnął. – Zdrada wśród tych, którym tak pomagałem, poświęcając własnych żołnierzy! Mam dość tego obozu! Noga Tryntyjczyka nie postanie już w tym legowisku węży, wśród skrytobójców i trucielei! A co do skrytobójców – powiedział, energicznym krokiem podchodząc do nas zebranych przed hallą – weźcie sobie ciało waszego kamrata. Leży na tej łączce za zaroślami.

- Onfis! – krzyknął któryś z zebranych, o ile dobrze pamiętam, dość krótko ostrzyżony młodzieniec z pierwszego, pojedynczego namiotu. – Mówił, że idzie spotkać się z dziewczyną!

- Myślicie, że to prawda? – zapytał Noxis. – Że to Onfis chciał ukatrupić jarla, a nie na odwrót?

Nikt nie przejmował się samym jarlem, który dość szybko wyszedł z obozu.

- Bogowie – westchnął Ivar. – Chodźmy go przenieść i bierzmy się za wskrzeszanie.

- Dobra, wy zajmijcie się przenosinami, a my kręgiem – przytaknął Durgh, gdy hird podążył w kierunku wskazanym przez jarla. Zacisnęłam pięści.

W tym momencie nienawidziłam Leifa, jak nigdy wcześniej. Nawet tamto zabójstwo jego własnego podwładnego było niczym w porównaniu do tego, co zrobił Onfisowi. Onfis, bogowie, jedyny elf, który otwarcie powiedział mi, że czci Silvē, jedyny, który jak zbawienia wyglądał pomocy kapłanów... Zastanawiałam się, na ile była to prawda, ale wiedziałam, że na takie rozmyślenia przyjdzie jeszcze czas. Podniosłam opuszczoną w żalobie głowę. Chciałam iść za Durghiem na plac i przygotowywać krąg, gdy usłyszałam głos Yndir:

- Zaraz wyruszamy, nie możemy teraz pozwolić sobie na wskrzeszanie.

- Możemy. Wolę nie iść na rytuał i ocalić Onfisa – powiedziałam, czując, że mówię za większość kapłanów.

- Uczynię tak samo, jeśli będzie trzeba – poparł mnie Durgh.

- Nie możecie, tam jesteście potrzebni!

- A tu jeszcze bardziej. Nie zostawię rodaka.
- Musicie poradzić sobie bez nas – dodała Nike, a twarz Yndir wykrzywił gniew.
- Musimy ratować świat, a nie jednego elfa!
- Nic nie musimy – powiedział Ivar, a my zwróciliśmy się właśnie w kierunku kapłana Herby poprzedzającego Onfisa niesionego przez członków hirdu.
- Złóżcie go przy ognisku – usłyszałam drżący głos Fiordyjczyka, odbijający rozpacz, która znajdowała się w moim sercu.
- Nie – powiedział donośnie ktoś inny. Z halli wyszedł siedzący tam do tej pory mag.
- Jeśli chcecie zniszczyć jaszczury, muszą być tam wszyscy wasi magowie i kapłani. Dlatego ja wskreszę waszego towarzysza. Złóżcie go na ławeczce przed hallą.

Po jego słowach nikt nie miał już zamiaru się sprzeczać, chociaż, jak Durgh i większość kapłanów, nieufnie spoglądałam na ciemnowłosego mężczyznę. Kiedy przeniesiono Onfisa na wskazane miejsce, serce zabiło mi mocniej. Musiało się udać. A nawet, jeśli nie, gotowa byłam poświęcić ratowanie świata dla tego jednego elfa. Tak, nawet krzyki Yndir nie odwoływały mnie od mojego pierwotnego zamiaru.

Na całe szczęście, nie musiałam jednak wykonywać swoich postanowień. Mag po wyrysowaniu czegoś, co przypominało krąg i po ułożeniu wokół i na ciele elfa odpowiednich kamieni krzyknął kilka niezrozumiałych słów, machnął dłońmi w typowy dla tej profesji sposób i ponownie wymówił jakąś inkantację. Po dłuższej chwili mruczenia mężczyzny, Onfis wreszcie drgnął.

- I kto tu się sprzecza, że tylko boska moc może wskreszyć? – zapytał mag, a Orwidor spojrział na nas swoim wielkopańskim wzrokiem.

- Spokojnie, Durgh. Ważne, że my wiemy – dotknęłam ręki kapłana. – A teraz zajmijmy się tym nieszczęsnym rytuałem.

Stan rzeczy był następujący. Pieśń była już gotowa, Aleksander w asyście bardki kończył właśnie sporządzać odpisy dla tych, którzy mieli ją śpiewać. Kapłanom przypadła szczytna rola błagania bogów o ich interwencję, a magowie dyskutowali już zacięcie o kręgu, który ustawią. Wojownicy ostrzyli miecze.

- Musimy być tam o świcie – powiedział mag, gdy wszyscy przeniesliśmy się do halli. Onfis, opierając się o Ulfa, powoli dokuśtykał do ławy.

- O tym świcie? Jutrzejszym? – upewnił się przywódca hirdu. – I to jest trzy godziny marszu stąd, tak?

- Tak, spokojnie zdążycie.

- Ma rację – dodał Olaf. – Zdążymy. Wyruszymy za jakieś pół, do godziny czasu. Idziemy do północy, potem śpimy chwilę gdzieś w lesie. O świcie odprawiamy rytuał, a potem wracamy do obozu.

- Męcząca wyprawa – jęknął któryś z gołowąsów.

- Ale jeśli faktycznie mamy uwolnić się od psioników...

Przytaknęliśmy tym słowom Lily, która już zaczęła zbierać się do wyjścia z halli.

- Każdy bierze jakiś koc i coś na chłodną noc, nie chcę mieć tu epidemii, jasne? – swoje trzy grosze ponownie wtrącił Ulf, kiedy wszyscy wstaliśmy i ruszyliśmy do namiotów.

Każdy z nas zabrał to, co było mu najbardziej potrzebne. Zarzuciłam sobie na ramię koc, zawiązałam na nadgarstku bandażę, które po poprzedniej wyprawie schowałam do torby, wyjęłam też rytualne bransolety i większość tradycyjnego kapłańskiego stroju. Do torby ponadto wsadziłam pełen wody bukłak i ostatnią porcję chleba elfów. Gdy wychodziłam, zmówiłam jeszcze krótką modlitwę o bezpieczną drogę i ruszyłam przed karczmę, gdzie ustalono miejsce zbiórki.

Wszyscy szli na rytuał, to postanowiono już na początku. Nike teraz uczyła sporej grupy melodii, co chwila spoglądając jeszcze na kartkę ze słowami. „*Sota mona tratao no trateja mon...*”

niosło się, gdy każdy z nas starał się zapamiętać te słowa. My, kapłani, z szacunkiem pochylaliśmy głowy, słysząc tekst Pieśni Bogów.

- Przecież każde to słowo to rasa, kraina albo jeszcze coś, co bogowie nam dali – z uniesieniem szepnął Durgh. – Nie można przejść obok tego obojętnie.

- Masz rację, nie można. Cieszę się, że będę przy tym rytuale. To... coś pięknego, że Pieśń Bogów ponownie posłuży do tego, do czego została stworzona.

Wkrótce ruszyliśmy pod górę, tym samym traktem, którym szliśmy do driad czy jeziora topielca. Słońce ledwie zaszło, było jeszcze ciepło, a niesiony na ramieniu koc grzał naprawdę mocno. Nic też dziwnego, że wkrótce zostałam w ogonie grupy, przy straży tylnej dowodzonej przez Ulfa.

- Pomogę ci, kapłanko – zaferował Fiordyjczyk. – Chcemy, żebyś była w pełni sił, gdyby coś się zaczęło dziać.

Z uśmiechem więc podałam mu koc i choć droga była naprawdę męcząca, odtąd szło mi się dużo lepiej. Wkrótce uzupełniłam też jedną z trójek, do tej pory składającą się z Durgha oraz Aleksandra. Wiedziałam, że to nieroztropne, by wypchać się między dwóch wyznawców Toledy, więc ustawiłam się po zewnętrznej stronie pochodu, z lewej strony Durgha.

Robiło się coraz ciemniej. Przez dłuższy czas szliśmy w zapadającym zmroku, gdy las szeptał cichutko szmerem gałęzi. Niebo, ledwie widoczne przez korony drzew, zatracalo swą złotawą barwę, szarząc coraz bardziej. W końcu zrobiło się kompletnie ciemno, a my zatrzymaliśmy się na postój. Hogar, kapłan Skogura, a wróg Herna, poprosił dla pewności o wskazanie właściwej drogi. Ja oraz wędrujący obok mnie Durgh i świeżo nawrócony Aleksander przyklekliśmy teraz, przytłoczeni ciszą, która zapanowała na postoju. Las szumiał, moc bogów niemal czuło się wszędzie wokół.

- Pani, osłaniaj Twych wiernych, chroń oddanych Tobie i tych, którzy wraz z nimi idą wypełnić tę świętą misję – usłyszałam obok siebie głos kapłana. – To Ty, o Doradczyni nasza, objawiłaś mi swą swiłą wolę i nakazałaś poprowadzić swój lud do walki ze Złym. Chroń nas także teraz, gdy otaczają nas ciemności, tak jak wtedy, gdy uwalniałaś nas z okowów niewoli, odwagę wlewając w nasze serca, przekuwając nasze dusze w pancierz chroniący przed zepsuciem... Udziel nam swej łaski, otocz nas ją, błagamy, bo bez pomocy bogów nic nie zdziałamy! Żebzemy Twego zmiłowania wobec tego, czym Cię obraziliśmy i choćby rąbka Twej szaty chwycić się chcemy w tę ciemną noc. Niech nieboskłon rozświecili nasze oddanie, niech jak tęcza na obłokach załśni nasza wiara! Umocnij ją swoją mocą!

- O Pani, dziękuję ci za ukazanie mi słusznej drogi, za zapalenie światła w ciemności, którą było moje życie. Złałaś na mnie łaskę wiary w chwili, kiedy najbardziej jej potrzebowałam, nie opuściłaś mnie w tym piekle... – wyćwiczony, pewny głos Aleksandra zadrzał wyraźnie, kiedy wypowiadał te słowa. - Nie opuszczaj nas i w tej godzinie próby. Wspieraj nas w tej świętej misji, zezwól nam wypełniać swą Wolę. Niech żar naszej wiary nigdy nie przygaśnie, niech rozpacz i cierpienia jedynie podsycają ten ogień! I Toledo, strzeż swego wiernego sługę, niech Twa łaska będzie pancierzem osłaniającym go przed plugawą magią i zepsuciem...

- Matko Lasu, strzeż nas w swym dominium, chroń wszystkich i każdego z osobna, jak prawdziwa Matka chroniąca ukochane dzieci. Wyciągnij swą rękę nad nami, broń przed wpływami tego, co w imię Twoje idziemy zniszczyć. Osłaniaj nas i strzeż, proszę. Mówiłaś kiedyś, że uznanie swej słabości to już połowa modlitwy, połowa drogi do łaski niebios. Jam słaba, jam niegodna tych wszystkich darów, które mi ofiarowałaś. Bez Ciebie nie uleczyłabym nawet skaleczenia. Pani łaskawa i miłosierna, i dziś swej mocy mi udziel, bym w Twe imię przywracała rannych zdrowiu. A najlepiej, gdyby w ogóle rannych nie było.

Nie zdążyłam powiedzieć wiele więcej, gdy wezwano nas do dalszej drogi. Wychyliłam kilka łyków ze swojej manierki, dzieląc się wodą z dwójką moich towarzyszy, po czym, chcąc, nie chcąc, ruszyłam. Rozpalono wprawdzie pochodnie, ale czymże były trzy płomyki przeciw wszechobecnej

ciemności? Nawet światło księżycy nie przeświecało przez sklepienie liści rozciągające się ponad naszymi głowami.

W końcu zaczęło się robić chłodno, a każdy z nas był coraz bardziej zmęczony. Gdzieś z tyłu dochodził głos niezłe przerażonego Ulfa, ale nie potrafiłam rozpoznać, o czym mówi. Wiem jedynie, że później o tej właśnie rozmowie krążyły legendy i plotki, jakoby Ulf z Onfitem rozmawiali o jakichś przerażających potworach podobnych do owiec. Nic więcej jednak nie wiem i nie chcę wiedzieć.

- Zaraz schodzimy z traktu w las – poinformowała nas Yndir, gdy zatrzymaliśmy się po raz kolejny. – Następny postój będzie przy strumieniu, z którego będzie można nabrać świeżej i zdatnej do picia wody. Później czeka nas zaś przeprawa przez chaszczę.

Skinęłam głową, patrząc na wojowniczkę. Nie wydawała się w ogóle zmęczona ponadgodzinnym marszem, jej wyprostowana sylwetka czerniejąca na tle rozciągającego się przez jedną z pochodni światła wyglądała naprawdę majestatycznie. To naprawdę odważna i wytrwała kobieta, pomyślałam, gdy Yndirmarie stwierdziła, że jeśli chcemy mieć więcej czasu na spanie, powinniśmy się pospieszyć. Jęknęłam cicho, ale jak można było sprzeciwić się takiemu nakazowi?

Postój przy strumieniu okazał się wcale nieodległy w czasie. Całą watahą rzuciliśmy się ku wodzie, napełniając manierki i obmywając pokryte kurzem twarze. W końcu, choć nie wszyscy jeszcze zdążyli nabrać wody, trzeba było ruszać.

- Zatrzymamy się przy strumieniu jeszcze raz lub dwa – uprzedziła Wergundka. – Keledy, co ty robisz w tych krzakach?! Ruszamy!

- Chwila, łaskę robię! A poza tym oni jeszcze tu się zwalają!

Nie pomogły tłumaczenia, że elf szukał sobie kija do podpierania się przy wędrówce, a „zwalanie” było po prostu ociąganiem się części grupy. Zebrani do wyruszenia, na czele z Ulfem, ryknęli śmiechem.

Potem jednak nikomu do śmiechu nie było. Droga na Zamkową zamieniła się w koszmar. Chaszczę, powalone drzewa, przez które trzeba było przechodzić niemal po ciemku, stanowiły prawdziwą męczarnię. Wędrówkę umilały nam nieliczne postoje przy strumieniu, kiedy światła było trochę więcej i można było dostrzec chociaż twarze towarzyszy. W pozostałych momentach jedynym moim przyjacielem była modlitwa.

Wreszcie wybrnęliśmy z chaszczy i z wiatrołomu weszliśmy w żywy, pradawny bór. Choć i tu trzeba było uważać na korzenie czy niespodziewane dziury w ziemi, jakoś udawało nam się iść.

- Drzewa jak w Aenthil – powiedział ktoś z podziwem, a moją twarz na wspomnienie domu rozjaśnił uśmiech. W końcu stanęliśmy w niewielkiej kotlinie, gdzie natychmiast rozłożyliśmy się obozem. Odetchnęliśmy z ulgą, że to koniec wędrówki.

Wieczera była skromna. Z zapasów obozowych wydzielono nam po kawałku kabanosa i sucharze, szumnie nazwanym lembasikiem. Tylko trójka spośród nas mogła posilić się prawdziwym chlebem elfów, nie chwając się, za moją sprawą. Durgh i Aleksander spojrzeli na mnie z wdzięcznością, dobrze wiedziałam, jak wspaniale przywracają siły prawdziwe lembasy. Popiwszy lodowatą wodą przed chwilą nabrałą ze strumienia, rozłożyliśmy na ziemi koce, w tym i mój odebrany od Ulfa, i poszliśmy spać.

Mówiono nam później, że zasnęliśmy w mgnieniu oka. Podobno wyglądaliśmy przedziwnie, Aleksander, Durgh i ja leżący obok siebie, opatuleni kocami i grzejący się nawzajem. Nie pamiętam, co mi się wtedy śniło, ale nie był to żaden z koszmarów, które wcześniej i później mnie dręczyły. Koszmarem była za to pobudka tuż przed świtem.

- Wstajemy, zaraz odprawiamy rytuał! – zabrzmiało w spokojnej ciszy lasu. – A kapłani już biorą potrzebne sprzęty i idą z magami obejrzeć miejsce!

Chcąc, nie chcąc, zwlokłam się z ziemi, przejrzałam zawartość torby, zarzucając tobolek na ramię, po czym ruszyłam za obudzonymi przed chwilą wysłannikami bogów. Poprowadzono nas w widny las, ścieżką wiodącą między dwoma sporymi skałami.

- Bogowie! Tablica! – krzyknął zachwycony Nox, gdy minęliśmy skałę i na jej przeciwnej stronie dostrzegliśmy nietknięty, biały kamień. Kilkadziesiąt stóp przed nami ziała za to ogromna dziura w ziemi, otoczona jakby wałem o kształcie kręgu.

- To musi być to miejsce – rzekł Orwidor, zabierając się do rysowania magicznego kręgu. Okazało się, że nie zabrał czegoś z obozowiska, więc chwilę potem puścił się pędem, by znaleźć zgubę. Wrócił tuż przed rytuałem, kiedy byliśmy już potężnie zniecierpliwieni.

Magowie rozpoczęli inkantację wzmacniającą wyrysowany krąg. Mówili długo i powoli, starannie wypowiadając słowa, kiedy my błagaliśmy bogów, by spuścili na tę ziemię swą oczyszczającą moc i uświęcili to miejsce rytuału. Wkrótce wszystko było gotowe, a Olaf uśmiechał się do nas, czekając na wschód słońca. W tej samej jednak chwili od strony obozu zabrzmiały krzyki.

- Magowie, przygotujcie się – polecił przyszedł Książę Imperator, po czym wyjął swój róg i zadał weń, wskazując drogę krzyczącym. Nie minęło kilka sekund, a między skałami pojawiły się pierwsze sylwetki. Część z nich była zakrwawiona, wszyscy potężnie zmęczeni.

- Jaszczury – wydyszał Aarendil, stając obok Nike gotowej do rozpoczęcia rytualnego śpiewu. Olaf skinął głową.

- Zaczynamy, póki możemy. Wojownicy, rozstawcie się wokół kapłanów i magów! Gdy zakończą inkantację, odsunąć się z linii krąg-tablica! Dobrze mówię?

- Dobrze – potwierdził Ahtung. – Zaczynamy.

Po tych słowach uniósł dłonie, wypowiadając serię skomplikowanych słów. Gdzieś na tyłach Nike zaintonowała Pieśń Bogów, co podchwyciło co najmniej kilku wojowników. Ja, Durgh, Ivar i Hogar błagaliśmy zaś niebiosa, by interweniowały, niszcząc rasę przeczącą boskim planom, a jednocześnie prosiliśmy też o ochronę dla magów, przez których ciała płynęła teraz potężna energia, łatwo mogąca stać się zabójczą.

W tej chwili przez barierę modlitewnego uniesienia przebił się ostry wizg jaszczurów, lecz teraz nie mogłam uczynić absolutnie nic. Słońce wschodziło, oświetlając trzydziestkę członków buntu, którzy właśnie ratowali świat.

- *Sota mona tratao no trateja mon...*

- *Giore til langs Silva, baskytte selv et rekke selv evne!*

- Bronić kapłanów! Nie cofaać się! Trzymać szyyyyk!

Kątem oka dostrzegłam trójkę smokoludzi walczących z naszymi wojownikami. Magowie mantrowali zawzięcie i niezrozumiale

- *Uto traja satija totaja tom* – śpiewała Nike, a z nią kilkunastu innych. Po drugiej stronie zabrzmiał krzyk rannego. Skupiłam się na modlitwie.

- Pani, wesprzyj, Pani, chroń! Swą mocą otocz nas, pozwól zniszczyć zepsucie, które na ten świat sprowadził Zły! Kazałaś mi z nim walczyć, Silvo i Ty, Hernie, Panie Lasu! Dajcie nam dokończyć tę misję!

- *Ima toja satao no trateja mon...*

- Kapłana! Einar dostał!

Lecz kapłana nie było, wszyscy zajmowali się rytuałem. Opowiadano mi potem, że rannego Fiordyjczyka zdrowiu przywrócił eliksir sporządzony przez samnijskiego szamana, inni mówili, że to Aleksander rzucił się tam z bandażami. W każdym razie Pieśń brzmiała dalej.

- *Uto traja satija tom, satija tom* – nad głos Nike wybił się śpiew Aarendila. Uśmiechnęłam się, dośpiewując wraz z nim ostatnie słowa:

- *Sadom, sadom.*

- *Sadom, sadom* – powtórzyło echo, a magowie podnieśli ręce. Wszyscy odsunęli się z linii czaru, a ja przelałam część mocy w ciała Ahtunga i Orwidora, by dodać im sił.

To stało się niemal równocześnie. Powietrzem wstrząsnął huk potężniejszy niż krzyk całego wergundzkiego tymentu, z mojej prawej strony zabrzmiał jęk któregoś z rannych, a otwór w ziemi, dookoła którego odprawialiśmy rytuał, nagle wybuchł piekielnym ogniem.

Durgh cofnął się z lękiem, podobnie jak większość z nas. Wiedziałam, że modły są już zakończone, że nie pozostaje nam nic innego, jak ratować rannych. We wszechobecnym dymie jaszczury zniknęły, pozostawiając po sobie kilku zakrwawionych wojowników. Zabrzmiała modlitwa o leczenie.

Kiedy dym się rozwiął, a słońce ponownie oświetliło nasze zmęczone twarze, Nox wskazywał na białą tablicę, którą mijaliśmy, idąc tu. Zamiast litego kamienia, na skale widniała teraz tylko jedna jego połówka, natomiast druga, odłamana, spoczywała pod głazem.

- Wezmę tablice – zaofiarował się Noxis, a jego głos świadczył o potężnym zmęczeniu rytuałem. – Trzeba odesłać je bogom.

Skinęliśmy głowami, doprowadzając do porządku rannych i wlekąc się w stronę obozowiska. Zwinęliśmy je dość szybko, by wkrótce ogłosić pełną gotowość do wyruszenia. Napiliśmy się kilka łyków chłodnej, ale nie lodowatej wody, choć wiedzieliśmy, że zaraz od nowa napełnimy manierki. Noxis, głośno sapiąc, stwierdził, że jakoś przeżyje podróż, że możemy ruszać.

Dobrze, że Ulf ponownie zgodził się nieść mój koc, bo droga była mordercza. Owszem, nie było ciemno, co ułatwiało nam marsz, ale z każdą chwilą robiło się cieplej, a zśliśmy tym samym wiatrołomem, co wczoraj, więc teraz musieliśmy się wdrapywać po dość stromym zboczu. Wkrótce wszyscy, a zwłaszcza ci wyczerpani rytuałem, ledwie się wlekli. W płucach miałam ogień, oddech zrobił się niepokojąco płytki i nie znajdowałam nawet sił, by krzyknąć za czołem pochodu, by poczekali. A za mną był jeszcze Noxis, który w pewnym momencie osłabł tak bardzo, że musiał po prostu położyć się na ziemi. W końcu jednak, po kilku podobnych przypadkach, jakoś dowlekliśmy się na trakt.

Dalsza droga była nudna. Każdego z nas wszystko bolało, każdy był niewyspany i głodny. Część pochodu z tego powodu wlekła się w ogonie, reszta natomiast, w tym i ja, niezdrowo przyspieszała, byleby jak najszybciej znaleźć się w obozie. Kiedy po kilku godzinach marszu ujrzałam zejście w stronę jeziora driad, wiedziałam, że jesteśmy już blisko. Doszło do tego, że w przypiływie radości wysforowałam się na sam przód.

Obok mnie szedł Keledy i jeszcze kilkoro tych, którym bardzo się spieszyło. Droga była prosta, a że wiodła lekko z górki, szło się jak marzenie. Oczywiście do czasu, gdy zobaczyliśmy kilkoro mężczyzn idących nam naprzeciw.

- Hej, tam z tyłu! Pomóżcie! – usłyszałam własny głos, zagłuszony jednak przez chóralne:

- O nie! Znowu?! I to przed śniadaniem?!

Lecz i tak wszystkich przebił rozzłoszczony Keledy:

- Nie stawajcie między mną, a łóżkiem!

Po tych słowach straż przednia przygotowała się do odparcia ataku. Niestety, pierwsze natarcie przyniosło sukces napastników. Szereg uformował się wprawdzie sprawnie, a ja znalazłam się na jego tyłach, lecz cóż z tego, jeśli jeden atakujących obszedł naszą grupę po zboczu, gdy wojownicy zajęci byli atakiem z przodu. Teraz wróg rzucił się wprost na nas, na tyły walczących. Ledwie cofnęłam się przed jego mieczem, zanim z tyłu nadbiegła odsiecz, lecz ktoś obok mnie nie miał tyle szczęścia. Już po chwili ziemia już była czerwona od czyjejś krwi, a miecz przeciwnika mierzył już w kolejnego z naszych. Korzystając z chwilowej nieuwagi napastnika, w końcu zajęty był teraz walką z kim innym, podbiegłam do rannego i wypowiedziałam krótką modlitwę leczącą. Tymczasem atakujący zwrócił się w stronę szarżującego od tyłu hirdu. Wściekły Ulf, dowódca straży tylnej, wyglądał jak jeden z tych wielkich posągów w wergundzkich świątyniach bogów wojny. Jego groźnie zmarszczone brwi, powiewające za nim niczym sztandar włosy barwy kruczonych skrzydeł i ten krzyk na ustach, który każdemu dodawał wiary i sił. Ledwie nasz dowódca wpadł między walczących, jego

cep zaczął się prawdziwe zniszczenie. Choć nie znam się na wojaczce, było to coś... niesamowitego, gdy kolejni wrogowie upadali ze zmiądzonymi czaszkami, a on brnął dalej, już przygotowany do kolejnego ciosu. Tak właśnie padł ów napastnik, który wcześniej próbował atakować przednią straż od tyłu.

Bitwa była krótka i obyło się bez strat. Prawie udało mi się wypróbować jedną z potężniejszych modlitw skutkującą unieruchomieniem przeciwnika, ale nie wypowiedziałam formułki do końca, gdy atakujący padł martwy. To tyle, jeśli chodzi o ranek. Wkrótce dotarliśmy do obozu i po śniadaniu jak jeden mąż poszliśmy spać pod zielonym baldachimem drzew „łączki knucia”. W namiotach było po prostu za gorąco.

Obudziliśmy się sporo po południu, a i tak część z nas nie do końca się wyspała. Ulf i Yndir zebrali nas na naradę w halli, gdzie podsumowali dzisiejsze wydarzenia. Postanowiono, że wkrótce powszechnie ujawnimy dziedzictwo Olafa i wojna z Wergundią rozpocznie się na dobre.

- A właśnie, gdzie Olaf? – zapytała Yndir, która do tej pory majestatycznie spacerowała po halli.

- Olaf? Pewnie śpi u siebie...

Miałam złe przeczucia po tych słowach, ale nie byłam jedyna. W tej samej chwili usłyszeliśmy krzyk i zobaczyliśmy wpadającą do halli postać.

- Olaf nie żyje! – zabrzmiała grobowa wieść.

- Że co?! – to Ulf podniósł się z ławy i wybiegł na zewnątrz, w stronę namiotu Olafa. Ja biegłam tuż za nim, gotowa do wypowiedzenia każdej ze znanych mi modlitw, choć oczywiście o potrzebie wskrzeszenia wolałam nawet nie myśleć.

Dobiegliśmy do namiotu.

- Olaf! – odruchowo krzyknęłam, mając nadzieję, że w odpowiedzi usłyszę choćby rżenie. Usłyszałam jęk. Żył.

Upadłam na kolana przed wejściem do namiotu, mrużąc krótkie „heilbrigi hem”. Wkrótce Olaf wyczołgał się ze swojej kwatery. Jego okrwawiona głowa na wszystkich zrobiła wrażenie. Podskoczyli do niego kapłani, a wojownicy zajęli się przeszukiwaniem namiotu z jednym pytaniem na ustach: „Co zginęło?”

- Bogowie, co się stało?! – zdziwiła się Wergundka Yndirmarie, gdy i jej pozwolono dopchać się do księcia.

- Skrytobójcy... Mają kryształ.

Kobieta błyskawicznie rozejrzała się dookoła. Ulf tymczasem znalazł coś w namiocie.

- To list, informacja dla nas – powiedział, podając kartkę Yndir.

- Cholera. Smocza Kompania – mruknęła strażniczka i zdecydowała się głośno przeczytać list.

- Wy zabraliście coś mojego, więc ja teraz wziąłem Wasze. Widać, jak łatwo można wejść do Waszego obozu. Jeśli jednak chcecie mieć z dupy wylotówkę na Ofir lub po prostu jeszcze raz dać sobie obiść Wasze śliczne pyszczki, czekam na Was przy forcie, gdzie wydaliście bitwę Wergundom. Nie zadziera się ze Smoczą Kompanią.

- Więc się z nim spotkamy – uśmiechnął się Ulf. – A ja... pokażę mu, jak Fiord handluje żelazem.

- Więc dobra. Jemy obiad i zmywamy się po kryształ. Nie wypada zostawiać naszego przeciwnika bez godziwej odpowiedzi.

Przy obiedzie zakrzątnięto się szybko, tak, że nie minęła godzina, a wychodziliśmy już z obozu. Szliśmy wszyscy, prawie każdy chciał jeszcze zasmakować bitki, zwłaszcza, że jeden przeciwnik nie mógł okazać się zbyt wymagający. Pełni wspomnień w idealnym szyku przeszliśmy przez przełęcz, po czym skierowaliśmy się w las, tam, gdzie kiedyś widzieliśmy krew na drzewach. To było tak dawno, pomyślałam, klucząc między pniami. Wreszcie doszliśmy do znajomej fosy.

- Padnij! – to było pierwsze słowo, jakie usłyszałam. W tej samej chwili nad moją głową przeleciała ze świstem kula. No tak, samopał, ulubiona, prócz młota bojowego, krasnoludzka broń, wystawał z dziury w dobrze znanej mi barykadzie.

- Dzięki, Ulf – uśmiechnęłam się do dowódcy.

Kolejne strzały uświadomiły nam, że łatwo nie przejdziemy. Ba, było pewne, że całą hałastrą w życiu nie przejdziemy. Ulf spojrział na stojącego koło nas Keledy'ego.

- Musimy załatwić dywersję – szepnęła, a gdybym stała dwa kroki dalej, nie usłyszałabym tego. – Zawołaj jeszcze Onfisa i jakiegoś dobrego wojownika, czy dwóch. Przeprowadzimy się przez fosę drugim wejściem, tym, które wtedy zaminowywał Noxis.

Nie wiedziałam, o które wejście mu chodzi, ale zrozumiałam, że plan jest raczej dobry. Kolejna kula świsnęła nam nad głowami.

Grupa dywersyjna zebrała się szybko. Błyskawicznie przebyli fosę, gdy my absorbowaliśmy uwagę członka Smoczey Kompanii, raz po raz to wstając, to padając, uchylając się przed kulami. Wreszcie zarówno Ulf z Keledym, jak i Onfis z resztą tamtej drużyny zniknęli nam z oczu.

- Oby tylko nic im się nie stało – mruknęłam, zastanawiając się, czy niebiosa wysłuchałyby takiej mojej prośby. W tym samym momencie zabrzmiał strzał, a zaraz po nim przeraźliwy wrzask Ulfa przywodzący na myśl legendy północy o wojownikach zwanych berserkerami. Nasza część grupy na ten znak ruszyła po zboczu fosy, wspinając się w stronę barykady. Przeciwnik nie miał szans. Zrozumiawszy to, zrejterował spod swojej, mimo wszystko mizernej osłony.

- Zwiewa do kazamaty! – usłyszałam krzyk któregoś z członków hirdy.

- Staaaa! – zabrzmiał głos Ulfa. – Tam nie możemy wykorzystać przewagi, pozabijamy się własnymi mieczami... tudzież cepami.

- Mam lepszy pomysł – odpowiedział Durgh. – Pani, oczyść tamto miejsce swą mocą, ześlij tam swój płomień, który wypala wszelkie zepsucie! W imię Toledy! Kula ognia!

Podobnego wrzasku nie słyszałam chyba nigdy. To, co wydawał z siebie nasz przeciwnik przypalany świętym ogniem, nie było nawet piskiem, lecz rozpaczą i przerażeniem w czystej postaci. W końcu do kazamaty z wojownikami u boku przeszedł się Olaf, a gdy wrócił, w ręku miał kryształ.

- Więc co z tym robimy? – zapytał przyszły Książę Imperator.

- Kryształ trzeba zniszczyć – odpowiedział mu Durgh swym natchnionym głosem – by już nigdy nie posłużył do obudzenia Okanogana. On nie może wpaść w niepowołane ręce. Moc Pani i Miecza Równowagi podola jego plugawej magii.

Spojrzeliliśmy na niego niepewnie.

- To zadanie samobójcze, wiem – potwierdził nasze najgorsze obawy. Lecz cóż można było powiedzieć tak oddanemu bogom kapłanowi?

- Więc pozwól mi to uczynić – to z całą pewnością był głos Aleksandra, nowego wyznawcy Toledy. – Moje życie jest mniej warte od twojego!

- Nie – rzekł spokojnie wysłannik niebios. – To sprawa Świętej Eklezji i Zakonu.

A potem wyszarpnął zza pasa miecz. Reszta kapłanów odruchowo utworzyła krąg, składając pierwsze modlitwy. Kryształ Durgh polecił ułożyć na ziemi. Olaf niepewnie wykonał polecenie.

- Toledo! – niemal zagrzmiało. – Matko Równowagi! Ty pozwoliłaś nam dziś o świecie wykonać Twą świętą misję, spraw, abyśmy i teraz mogli wypełnić swoje powołanie. Doradczyni nasza, to Twoja wola posłała mnie tutaj! Prowadź ku zwycięstwu, nadaj mocy, bym mógł uczynić to, co do mnie należy. Ty, która zesłałaś na ten padół łez święty Oręż! Błogosław na śmierć idącemu w imię Twoje! Zwyciężaj przez nas!

I uniół miecz w rytualnej pozie, po czym dźgnął w kryształ. Lecz oręż, niczym patyk w obliczu głazu, zadźwięczał tylko na kamieniu, po czym złamał się. Po prostu się złamał. Kapłan zaś nagle zbladł, a ułamek sekundy później padł na twarz z rozkrzyżowanymi ramionami. Każdy myślał, że stało się najgorsze.

- Pani – wyszeptalam, nie śmiać nawet zakłócać ciszy, jaka zapanowała w tym momencie. – Silvo Łaskawa, Matko Miłosierna! Czemu to czynisz? Czemu go zabierasz? Dlaczego?! Czyż on był mniej wierny ode mnie, że jego odbierasz temu światu, gdy możesz zabrać mnie?!

Kiedy uniosłam głowę, przez chwilę mignęła mi sylwetka klęczącego Aleksandra. Po jego skrzywionej cierpieniem twarzy spływały łzy, jego usta poruszały się chaotycznie w rozpaczliwej modlitwie. Wiedziałam, do kogo się modli i o co. Takie same myśli przemykały przez moją głowę w tej chwili. Nie pozwól mu zginąć. Weź moje życie zamiast jego.

Podbiegłam do kapłana, widziałam już najgorsze, niemal wszystkie oznaki wskazywały na to, że już nie żyje. A jego poświęcenie poszło na nic, na marne. Złamany miecz leżał obok, bezpowrotnie zniszczony.

- Durgh... – pokręciłam głową, na wszelki wypadek badając puls. Serce jednak, ku mojemu zdziwieniu i radości, biło.

- On żyje! – zawołałam, szybko mamrocząc odpowiednie formułki.

- *Heilbrigi hem, rekke hem evne et kairen hem!* Pani, ulecz go, przecież to on był z nas najwierniejszy i najdzielniejszy! Daj mu siłę, wróć mu świadomość, niech znów wykonuje misje zleczone mu przez niebiosy! Pani, błagam, choćby swoje życie oddać mogę, by on mógł powrócić.

- *Nie szastaj swoim żywotem. Gdy będę chciała, sama wezwę cię do swych zielonych komnat. A on przecież żyje. Strzeż go, jeśli chcesz, bo widzę, co się dzieje. Strzeż go, powtarzam, bo ciężkie czasy dla niego nadejdą.*

- Dziękuję, Pani, za ostrzeżenie – wyszeptalam możliwie cicho. Nikt nie usłyszał tych słów, a i ja nie zamierzałam, nawet później, nikomu o nich mówić. Durgh drgnął, po czym powoli i z pomocą kapłanów podniósł się z ziemi.

- Nie... powinienem – powiedział powoli kapłan. – Nie powinienem tego robić. To ja... ja zachwiałem Równowagę.

- Jak to? Przecież ty... Ty chciałeś tylko niszczyć to, co złe i plugawe! – nie rozumiałam, o czym mówi.

- Dobro i zło zawsze muszą być w równowadze, jak Hwit i Swart, w których konflikcie szala zwycięstwa nigdy nie przechyla się na żadną stronę – rzekł tonem nauczyciela. – A ja... zapomniałem, że służba Pani to nie tylko zwalczanie zła, to utrzymywanie zła i dobra w równowadze, w wiecznej i świętej Równowadze. Sprzeniewierzyłem się świętym prawom. Ja, kapłan. Jak mogłem?

- To niemożliwe. Nie ty. To nie mogła być Pani. Zbyt wierny zawsze byłeś Jej zasadom, nie mogła cię tak ukarać.

- Uwierz mi, mogła – powiedział i już więcej nie odezwał się na ten temat aż do dojścia do obozu.

Kiedy udało nam się jakoś jeszcze wzmocnić leżącego przez ręce kapłana, dowództwo stwierdziło, że skoro mamy, po co przyszliśmy, wracamy do halli, namiotów i tych wszystkich rzeczy, których tak bardzo większość potrzebowała. Chciałam pomóc Durghowi iść, ale uprzedził mnie Aleksander z takim wyrazem twarzy, jakby była to misja jego życia. Ruszyliśmy.

- Idziemy na zwiad – rzekł Ulf, gdy stanęliśmy po przeciwnej stronie fosy. – Z niektórymi w takim stanie lepiej dmuchać na zimne...

- Na mnie nawet nie patrz – mruknął zwykle bardzo samodzielny Vey. – Ja nie idę.

Dowódca jednak nie wysłuchał go do końca, znikając w gąszczu wraz z Keledym. Reszta powoli podążyła w dół zbocza, w stronę „Zasadzkowej Przełęczy”.

Byliśmy już blisko, gdy wróciła grupa zwiadowcza.

- Wergundowie, niedaleko – usłyszałam szept przywódcy Hirdu Jeża. – Uważaj...

Nie dokończył, gdy część z nas, ci, którzy go nie dosłyszeli, wyszła już z gąszczu na trakt. Reszta dołączyła do nich, chcąc w razie czego jakoś ich chronić. Oczywiście, ochrona potrzebna była.

Wyskoczyli na nas błyskawicznie, lekka piechota, potem zwana przez Ulfa Weletami, czy też Wielitami. Były to, jak wiem od fiordyjskich specjalistów, oddziały zaczepne Wergundii, co było też widać od ich pierwszych ciosów, od pierwszych krzyków.

- Zabić zdrajczynię Yndir! – wrzeszczeli. I choć niewielu wśród nas padło, tą jedyną, która już nie wróciła... to była ona.

Już, gdy dostrzegłam kroczącego ku niej szpalerem rannych Wergunda... Byłam pewna, że coś tu się stanie. Yndirmarie walczyła dzielnie, jak to ona. Zawsze nieugięta, zawsze mężna i wytrwała. Waleczna, jak mało kto. Nawet wśród Fiordyjczyków niewielu znalazłoby się takich, którzy dorównywaliby jej w odwadze. A teraz widziałam wymierzone w nią ostrze, widziałam jej chyba pierwszą na moich oczach, nieudaną obronę... a potem czerwoną fontannę wytryskującą z piersi strażniczki. I to naprawdę bolało. Bo wiedziałam, że już nie mogę jej pomóc. Cios był idealny.

Ujrzałam Aleksandra, jego przerażone spojrzenie. W tym wzroku był nie tylko lęk, widziałam tam też skrajną rozpacz, beznadzieję... tęsknotę? Dziwne. Przecież to Wergundka, a on jest Ofirczykiem. Rozumiem smutek, ale żeby aż tak?

To nie czas na rozważania, upomniałam się w duchu i pobiegłam ku kolejnemu z rannych. Trwała bitwa, musiałam spełniać swoją powinność. Niemal jak w transie krzyknęłam nad kimś „*heilbrigi hem!*”, gdy zobaczyłam obok pędzącego wroga. Nie zastanawiałam się długo.

- *Giore til langs, nadig Silva, sahaliere hem!* Oplącz go pńczami!

Podziałało, co bardzo mnie ucieszyło. Potem jeszcze kilka modlitw leczących i potyczka była skończona. Kolejna wygrana bitwa z Wergundami. Ale czy na pewno w pełni wygrana?

Spojrzałam na ciało Yndir. Szaman już przy niej klęczał, starając się porozumieć z jej duchem. Wskreszenie? Dokonalibyśmy tego, dalibyśmy radę, przemknęło mi przez myśl. Lecz potem Samnijczyk pokręcił głową.

- Zapytam jeszcze raz, w obozie... – zaczął, gdy usłyszeliśmy dobrze znany, wojskowy rytm. Rytm wybijany na ciężkich pawężach.

- Primikohorta z centurionem fortu na czele! – usłyszałam jawnie załękniiony głos Ulfa.

- Nie damy rady – zawołał ktoś inny.

Ale mimo to ci, którzy mogli, stanęli w szyku, wykrzykując bojowe zawołania. Wergundowie odpowiedzieli chórem potężnych głosów.

- Mamy tu prawowitego następcę tronu! – usłyszałam krzyk któregoś z naszych. – Nowego Księcia Imperatora, syna Elmeryka z rodu Danwiga! Czy nadal chcecie podnieść na nas swój oręż?

- Bzdury! Jak udowodnicie, że to nie zwykły Tryntyjczyk? – odpowiedział nam głos zza pawęzy.

- Mam pierścień rodowy i odpowiednie dokumenty! – odezwał się Olaf. – A jeśli chcecie poświęcić człowieka, niechaj dotknie mojego kryształu, bo bezpiecznie może go tknąć tylko dziedzic!

- Pokaż pierścień, panie i dokumenty, a uwierzemy.

I stało się, jak powiedziano. Poselstwa spotkały się w pół drogi, wymieniając krótkie opinie. Wergundowie, na całe szczęście, rozpoznali symbol na pierścieniu.

- Sława Olafowi, synowi Eudomara! – zabrzmiał z naszych tyłów głos Ivara.

- Sława! – powtórzono, zanim zorientowaliśmy się, że to nie Eudomara, a Elmeryka synem jest Olaf.

- To znaczy synowi Elmeryka!

- Też sława!

Zabrzmiało jeszcze kilka takich okrzyków, Olaf spurpurowiał.

- Więc to wy jesteście buntownikami z Trzeciego Obozu? – zabrzmiało z przeciwnej strony.

- Tak – z dumą odpowiedział nowy władca Imperium. – Lecz zanim padną pytania... Gdzie jest Yndir? – odwrócił się w naszą stronę.

- Poległa – odpowiedziano, a nikomu nie udało się ukryć smutku w tym głosie..

- Lecz czyniąc to, wypełniła swoją misję – rzekł Olaf. – Zaprawdę, spotkała ją śmierć godna wojowniczkici. A teraz słuchajcie, Wergundowie! Ja, Olaf Egilson, syn Elmeryka, potomek Danwiga nakazuję wam, żołnierze, posłuszeństwo wszelkim rozkazom tych ludzi! Zaś moje pierwsze rozporządzenie jest takie: weźcie Yndirmarie, Wergundkę, bohaterkę, byśmy mogli godnie pogrzebać ją w obozie.

- Yndirmarie? Zdrajczynię? – zabrzmiało gdzieś na tyłach.

- Jeśli kto uważa ją za zdrajczynię, niech opuści te szeregi oraz Imperium i nigdy nie wraca! Bo gdyby nie ona, zginąłbym wraz z resztą więźniów tego obozu. To nie jest już wasz wróg, to wasz sprzymierzeniec! Szkoda, że dopiero teraz – powiedział cicho.

- Ruszajmy do obozu! – zagrzmiał jednak po chwili. Wergundowie rozbiegli się, robiąc z pawęży prowizoryczne nosze. Na twarzy Aleksandra, którego mijalam, dostrzegłam ślady łez. Chciałam zapytać, czemu aż tak się przejmuję, ale dostrzegłam, że powinnam zająć się kimś innym.

- Nawet mi nie myśl o czymś głupim – powiedziałam do Durgha. – Nie zniosłabym, gdyby coś ci się stało, gdy jestem obok. Nie po tym, co dla mnie zrobiłeś.

- Złamałem prawa, zasługuję na karę – odpowiedział słabym głosem. – Postępowałem według słów przełożonych Zakonu, a Pani się ode mnie odwróciła. Powinienem wrócić na Ścieżki Szaleństwa.

- Nie! – aż zawołałam. – Pani już cię ukarała, jeśli oczywiście to była Ona. A skąd miałeś wiedzieć, czym różni się wola przełożonych od woli niebios? Ale masz rację, może... może nie trzeba służyć tylko ludziom, ale tym, którym pierwszym przysięgało się posłuszeństwo?

Tę myśl zasłyszałam kiedyś od któregoś z druidów i, choć teraz poddałam ją ostrożnie, już wiedziałam, że spodobała się ona zakonnikowi. Zakonnikowi? Nie, Durgh niemal z odrazą spoglądał na broszę ze srebrnym skarabeuszem.

Wróciliśmy do obozu zamyśleni. Wergundowie zabrali się za przygotowywanie stosu pogrzebowego, część z nich przysłuchiwała się opowieściom o naszych przygodach. Olaf płał w glorii władzy, natomiast Durgh... gdzieś zniknął.

- No to wreszcie koniec bania się o nasze życia – uśmiechnął się do mnie Aarendil, kiedy przysiadłam przy ognisku i zamyślałam się nad minionymi dniami. – Żadnych więcej obozów, jaszczurów czy innych Okanoganów.

- Jest jeden problem – odrzekłam. – Kryształ wciąż może posłużyć jeszcze komuś do uwolnienia smoka, przecież nie został zniszczony. A i wojna, która teraz wybuchnie, nie będzie krótka i bezkrwawa.

- Widzę po twojej minie, że wyruszysz na front, prawda?

- Prawda. Moim powołaniem jest leczenie, więc na froncie postaram się uratować tyle żyć, ile tylko będę mogła. A ty? Co zamierzasz robić po zakończeniu naszej misji tutaj?

- Wybieram się na wybrzeże, a potem... chyba wracam do domu. Długo już byłam poza Górami Larion, czas wracać.

Uśmiechnęłam się. Też chciałam wracać, lecz powołanie ciągnęło mnie w zupełnie inną stronę. Od dłuższego czasu Aenthil nawet mi się nie śniło.

- Stos jest gotowy – oznajmił wysoki, ciemnowłosy Wergund. Aarendil zaoferował, że pójdzie powiadomić „księcia” o zakończeniu przygotowań. Zostałam sama.

Siedziałam przy ognisku w ciszy, przez dłuższą chwilę nawet nie myśląc, po prostu tępo wpatrując się w przestrzeń. Zobaczyłam na dole, przy namiotach, znajomą postać Durgha, ale czułam, że nie powinnam teraz mu przeszkadzać. Tymczasem cała reszta obozu zbliżyła się do przygotowanego już stosu. Kilkoro spośród wojowników złożyło na nim ciało Yndir.

- Pytałem ostatni raz – usłyszałam zmęczony głos właśnie podchodzącego do nas szamana. – Nie zamierza wrócić, uważa, że wykonała swoją misję, że bez wstydu stanie teraz przed swoimi przodkami. Nie możemy odbierać jej wiecznego szczęścia, choćby w dobrej wierze. Zaczynajmy.

- To była wielka wojowniczką, wierna ideałom i swym najwyższym przełożonym – zaczął mówić Olaf, który usłyszał ostatnie słowa Samnijczyka. – Nie czas teraz na podniosłe mowy, nie czas na zawodzenie. Wiemy, że nie chciałyby, byśmy po niej rozpaczali. Misję swoją wypełniła, uratowała to, co w państwie było najważniejsze, honor. Krew po wielokroć przelała w obronie prawdziwej Wergundii. Nie trzeba mówić więcej. Po prostu oddajmy jej ostatni hołd!

- Na początku była strażniczką – usłyszeliśmy dziwnie nieobecny głos Ulfa. – Strażniczką, której odebranie miecza graniczyło z cudem, lecz która świetnie rozumiała, że Eudomar niszczy to, co zaczął Elmerk. Pomogła nam, ramię w ramię stanęła z nami nawet przeciw wergundzkiej armii, by odrodzić Imperium. Jej wszyscy zawdzięczamy życie. Sława Yndirmarie!

- Sława! – odwrzasnęli zebrani. Hird uroczyście oddał poległej ostatni salut bronią, po czym Ulf skinął na Noxisa.

- Niewiele jest osób, których choć najpierw się nienawidzi, później tak bardzo jest żal. Pan mi świadkiem, że ta kobieta, ta wojowniczką... była jak najlepsza krasnoludzką stal, jak długo hartowana broń. Niech ogień, który płonął, gdy przyprowadziła nas do tego obozu... Niech teraz przeniesie do domu bogów bohaterkę! Fehu! Hagalaz! – zawołał, szybko rysując odpowiednie runy. Stos zapłonął.

Płomienie lizały ułożone zgodnie z wergundzkim obyczajem ciało. Tarcza i broń, to było wszystko, co chciałby zabrać ze sobą każdy żołnierz w ostatnią podróż. Twarz zmarłej zastygła w wyrazie, którego nie powstydziliby się sam Modwit, tak wojowniczym i odważnym, że chyba tylko Yndir mogła zginąć z taką miną. Wergundzka flaga, którą przykryto ciało poległej, teraz zajęła się ogniem. Gorączkowo zamrugałam powiekami, szepcząc słowa, które każdy z nas był winien strażniczce. Przynajmniej ta ostatnia modlitwa... Niech bogowie jej wysłuchają.

- Pani, daj jej wieczny odpoczynek. Przyjmij do królestwa bogów tę kobietę, której tak wiele zawdzięczamy. Twoja moc raz przywróciła ją zdrowiu i pewnie, gdyby tylko chciała wrócić, prosiłabym Cię, Matko Elfów, byś wróciła ją nam i dziś. Teraz teraz proszę jedynie, otwórz tej bohaterce drzwi Twego dominium. Niech odpoczywa szczęśliwie w komnatach bogów, a ich łaska, Twoja łaska... niechaj opromienia jej zmęczone walką oblicze.

Nikt nie usłyszał tej wypowiedzianej szeptem modlitwy. Stos płonął, część ze zgromadzonych powoli zaczynała się rozchodzić. Wergundzcy żołnierze ze spokojem patrzyli na całą ceremonię. No tak, przecież śmierć pewnie nieraz gościła w ich szeregach.

- Czas na nas – usłyszałam głos Noxa. – I my mamy misję. Musimy odesłać tablice bogom, mój Pan oczekiwał tego ode mnie.

- Dobrze – powiedziała. – Niech płomienie przygasną, a pomogę ci w rytuale. Lecz najpierw... – urwała, rozglądając się dookoła. – Muszę z kimś porozmawiać. To być może sprawa jego życia czy śmierci.

Odeszłam od stosu chwilę później, szukając tak dobrze znanej mi postaci. Zastałam go przy namiotach, samotnego, co chwila wznoszącego oczy ku niebu jakby z niemym pytaniem „Dlaczego?”. Widziałam wątpliwości w jego oczach, widziałam ból... Nie mogłam go tak zostawić.

- Durgh... – zaczęłam, zastanawiając się, jak zareaguje na przerwanie mu w takiej chwili. Noxis zatrzymał się kilkanaście kroków za mną.

- Czego chcesz? – usłyszałam głos załamanego człowieka. – Co chcesz powiedzieć? Że nie się nie stało? Właśnie zdałem sobie sprawę, że nie byłem w stanie zrozumieć woli Tej, której służę od tylu lat, od zawsze niemal...

- Woli bogów nikt nie pojmuje całkowicie – odezwał się wyraźnie zaniepokojony Nox. – a poza tym spełniałeś przecież nakazy przełożonych z Zakonu, czy mogłeś czynić inaczej?

- Te rozkazy zwiodły mnie ze Ścieżki Równowagi. Wola Zakonu nie jest już wolą Pani. Dobrze mówiła Aerlinn wcześniej, w drodze do obozu, że to nie ludzi trzeba słuchać, lecz bogów, którym przysięgało się posłuszeństwo.

- Więc co zamierzasz zrobić? – zapytałam tym razem ja.

- Napiszę ostatni raport Zakonowi, winien im jestem to za tyle lat posługi. A potem wystąpię z Zakonu, będę kapłanem, który słucha niebios, nie zaś tych, którzy sami mienią się ich sługami. Myślałem, czy nie wrócić na Ścieżki... To był dobry pomysł, poniósłbym karę za zachwianie Równowagi – najwyraźniej nie zauważył naszych przerażonych min. – Myślałem, czy zasługuję na dalsze życie i w większości przypadków mówiłem sobie, że nie. Ale teraz – spojrzał na mnie, jakby chciał przeszyć mnie wzrokiem. – Teraz wiem, że to wszystko miało swój cel, że odebranie sobie życia byłoby tylko pograżeniem się w grzechu przeciw prawom Pani. Zakon schodzi ze swej drogi, a sam go na nią nie przywrócę. Muszę odejść. A co później? Kiedy zginę? Czego zażądają ode mnie niebios? Któż może wiedzieć?

Trudno mi było spamiętać całą tę dyskusję, bo niewątpliwie była ona dłuższa, a i wysłannika Toledy ciężko było odwieść od samobójczych myśli o Ścieżkach. Rezultat jednak był taki: Durgh, choć wciąż zamyślony i nie do końca pewny swoich własnych intencji, udał się ze mną na plac, gdzie i reszta kapłanów przygotowywała się już do ostatniego z rytuałów. Noxis poszedł za nami, dołączając do zebranych wcześniej wysłanników bogów. Nie minęło kilka pacierzy, a tablice z Pieśnią Bogów leżały przed krasnoludem, w centrum rysowanego właśnie kręgu.

Modlitwy trwały krótko, bo jak miały nieść ze sobą to wspaniałe natchnienie, gdy Durgh ledwie był w stanie złożyć proste błaganie o przyjęcie tablic i dziękczynienie za wykonanie misji. Nox zaś nigdy nie potrafił porwać wszystkich swymi słowami, rytuał więc był krótki, bezbarwny, dla obserwatora pewnie nawet nudny. Ważne, że Wejan przyjął tablice, zabierając je raz na zawsze do świętego dominium bogów. Nasza misja została zakończona. Gdybyśmy tylko wiedzieli, jak zniszczyć kryształ... Ale o tym nie chciałam teraz wspominać. Nie w obecności Durgha.

Słońce powoli chyliło się ku zachodowi, kiedy wraz z kapłanem przysiedliśmy w moim, ostatnim namiocie, gdzie powoli zaczynałam pakować swoje rzeczy.

- Jutro, jeśli mi się poszczęści, uda mi się złapać jakiś oddział idący na front – powiedziałam, rozmyślając już o kolejnych dniach wypełnionych leczeniem. Dobrze wiedziałam, co mnie czeka, że jeszcze nieraz będę przeklinać tę decyzję. Ale byłam pewna tego, co zamierzam zrobić, musiałam realizować powołanie.

- Podziwiam cię – odpowiedział. – Ja chyba będę się trzymał z dala od wojny. Zostanę tu jeszcze jakiś czas, mam niedokończone sprawy.

- Obyś był bezpieczny. Ale przecież w Tryncie chyba nie ma już niebezpieczeństw, które mogłyby ci zagrozić. Driady ci ufają, jaszczurów nie ma – gdy wypowiadałam te słowa, zastanawiałam się też nad tamtym głosem, który usłyszałam, gdy ledwie żył po próbie zniszczenia kryształu. Strzeż go, bo ciężkie czasy dla niego nadejdą. Cóż to miało znaczyć?

- Też mam nadzieję, że będę tu bezpieczny. A i ty na froncie... uważaj na siebie, nie bądź lekkomyślna. Rozsądnie gospodaruj mocą.

- Postaram się – uśmiechnęłam się. – Chwila, co tam się dzieje?

Zamilkłam, gdy usłyszałam krzyki dochodzące od strony placu.

- To chyba Aarendil i... sądząc po głosie... tak, to Nike – mruknął kapłan. – Dziwne, zawsze była taka spokojna.

Krzyki wkrótce ucichły, a po chwili do naszego namiotu weszła Lily i właśnie Nike z twarzą zmienioną niezwykłym jak na nią smutkiem.

- Uspokój się, nie czas na obrażanie się – powiedziała Lily, chwilowo mnie i Durgha traktując jak powietrze. – Właśnie przeciągnęliśmy Wergundię na swoją stronę, jesteśmy na wygranej pozycji w wojnie, Ulf z hirdem i Demonem już szykują ucztę...

- Ucztę? – zapytałam, kątem oka obserwując Nike, która także zajęła się składaniem swoich rzeczy.

- Tak, to ma być wielka biesiada, zabrali się do tego naprawdę porządnie. Trzeba w końcu jakoś uczcić nasze zwycięstwo.

- Zwycięstwo – wymamrotał Durgh. – Cóż, kilka kufli pianistego zawsze można wychylić, choćby i powód nie był wymarzony. Wybaczcie, panie, idę w takim razie się przebrać, skoro zamierzają nam urządzić biesiadę.

Wyszedł, kłaniając się lekko, a ja nieco się zarumieniłam.

- Też powinnam się przebrać. Co jak co, ale w habicie na biesiadę... Bez przesady.

W końcu każda z pań także wyszukała w częściowo spakowanych bagażach jak najładniejsze stroje. Choć reguła ubóstwa zabraniała mi bogactw rodem z Pethabanu, wiedziałam, że na tryntyjskim pustkowiu nawet prosta spódnica wyszywana w kwiaty zrobi wrażenie na panach. Zwłaszcza, że w obozie kobiet było niewiele, dokładnie... cztery, licząc z karczmarką.

Wysłałam z namiotu ramię w ramię z Lily, po drodze napotykając Onfisa w wyjściowej czarnej koszuli i takich samych spodniach. Widząc go zawsze gdzieś biegnącego z mieczem w dłoni, nigdy nie pomyślałam, jak wyglądałby w eleganckim stroju. Zaraz za elfem do własnego namiotu wchodził także odziany w swój ulubiony, purpurowy płaszcz Ulf. Włosy zaczesał jakoś inaczej niż zwykle, stanowczo były mniej rozczochrane, ale niewiele więcej zdołałam zobaczyć. Tuż za Lily wysłałam po schodach na plac, gdzie zobaczyłam już kilkunastu mieszkańców obozu. Wśród nich wyróżniał się Orwidor, który dość głośno wyklócał się z Tsuną i Aleksandrem.

- Co, on znowu o tych wergundzkich plackach? – zagałam, choć być może nie powinnam teraz tego przytaczać, bo jest to kolejna z niepotwierdzonych obozowych legend. Krążyły pogłoski, jakoby przez pierwszych kilka dni Orwidor zanudzał zesłańców opowieściami o tajemniczych plackach pieczonych jedynie w Wergundii i mających w jakiś sposób... przejąć władzę nad światem. Nie pytajcie, jak to możliwe, bo i ja nie zamierzałam nigdy wypytywać o to księcia Mawarot. Uśmiechnęłam się, gdy tym razem zaprzeczył.

- Już z tym skończyłem, dobrze o tym wiecie. Rozmawiamy o wskrzeszeniach, Zaku, kochanym Tsunie...

- Kochanym?! Orwidor, ja się ciebie boję! – odrzyknął elf. – Rozumiem, że odchodzę z Zakonu, ale...

- Że co?! – zdziwiłam się. Rozumiałam Durgha, ale przecież Tsuna Zakonowi zawdzięczał niemal wszystko...

- Cóż, Durgh odchodzi, mnie nic tu nie trzyma, więc wracam do ateizmu. Zakony są nudne. Jeśli dobrze zinterpretowałam minę Aleksandra, gdyby Ofirczyk umiał lepiej włączyć mieczem, Tsuna byłby w poważnych tarapatach.

- Nie mów tego przy Durghu, jeśli chcesz przeżyć – mruknęłam, gdy na placu, jak na zawołanie pojawił się wysłannik Toledy, który wkrótce usiadł po drugiej stronie Aleksandra. Tsuna jednak, jak przystało na elfa-ateistę, który ośmiela się występować z najpotężniejszego Zakonu na świecie, nic sobie z tego nie zrobił i zebrawszy z ziemi niewielkie kamyczki, zaczął rzucać nimi w kierunku Inkwizytora.

Spojrzenie Ofirczyka niewiele różniło się od sławnego wzroku Durgha, który zdążyliśmy już nazwać Inkwizytorskim Spojrzeniem.

- Zachowuj się – rzucił polityk, starając się specjalnie nie wspominać o decyzji Tsuny. – Zachowuj się jak przystało na zakonnika, nie atakuj się towarzysza broni.

- Ktoś atakuje mojego zakonnego brata? – teatralnie zdziwił się elf, choć dobrze wiedział, że żaden z nich nie jest już w Zakonie. – Pokażcie mi go, a stos mu wyprawię!

Dobrze, że Durgh nie zauważył mojego uśmiechu po tych słowach.

W końcu, po sporej chwili wypełnionej dyskusjami na tematy przeróżne, pozwolono nam znaleźć się w halli. Olaf w roli gospodarza usadzał właśnie na swojej ławie owych wergundzkich żołnierzy, gdy od strony obozowej bramy dało się słyszeć znajome wołanie. Driady.

Wybiegłam z karczmy równie szybko, jak do niej weszłam. Nie spodziewałam się, że leśne córki przybędą na naszą ucztę. Teraz potężnie się zdziwiłam, gdy trójka driad, w tym ich

przywódczyni, powitała mnie serdecznie, po czym skierowała się tam, gdzie kończono roznosić już półmiski z jedzeniem. Olaf, jak przystało na księcia i sojusznika, odezwał się do nich uprzejmymi słowami i wskazał im miejsca po swej prawej ręce. Nie wiedzieliśmy, na kogo następcę Eudomara czeka jeszcze z pierwszym toastem, ale rozbiegane spojrzenie Onfisa świadczyło, że chyba był on najbliższym zgadnięcia, kim był oczekiwany przybysz. Jednym słowem Leif.

Wbrew swoim własnym zapewnieniom i naszym oczekiwaniom wszedł do obozu z eskortą składającą się z trójki żołnierzy, sam zaś odziany w swą ulubioną zbroję i z mieczem za pasem. Widziałam, jak jego niedoszły zabójca lekko cofa się w kąt halli. Lecz, oczywiście, Onfis miał takie szczęście, że jarl musiał go zauważyć.

- On... żyje! – usłyszeliśmy krzyk. – Nie wiem, jakie czarnoksięskie moce go wskrzesiły, ale z całą pewnością wiecie, że nie zasiądę ze skrytobójcą przy jednym stole!

Jeśli nie chcesz, to nie siedź, tylko się stąd wynoś, przemknęło mi przez myśl.

- Daj spokój, Leifie, nikt nie zamierza tu nikogo zabijać – niefortunnie zaczął Olaf, bo Onfis miał minę świadcząca o czymś zupełnie przeciwnym. – Siedzą z nami nawet Wergundowie, którzy przeszli na naszą stronę. Czyż chcesz być gorszy od nich?

- Nie rozumiesz, że gdyby nie moje szczęście, to ja leżałbym tam w krzakach?!

- Nie czas teraz na kłótnie, jutro i tak większość z nich stąd odjeżdża. Być może, że nie ujrzysz go więcej, pewnie na twoje szczęście, Leifie. A teraz nie daj się prosić, usiądź z nami i się nie obrażaj. Odnieśliśmy dziś wielkie zwycięstwo.

- Może i masz rację – jarl wreszcie usiadł, a Olaf wzniósł, zgodnie z tradycją, pierwszy toast.

- Wiele jest rodzajów męstwa, a każdy z nich gościł u tej, za którą dziś pijemy. Potężna w obliczu wrogów, nieustępliwa, dzielna, wytrwała, nawet, gdy przyszło cały dzień walczyć, ani raz nie jęknęła, że jest zmęczona. Lecz prócz tego wszystkiego... była też wierna, wierna tym, którzy walczyli ramię w ramię z nią o lepszą sprawę, honorowa, nawet orków mogła przekonywać argumentem właśnie tej cechy. Ona już wie, że wypełniła swoją misję, a my wierzymy, że jest teraz szczęśliwa w królestwie Modwita. Po raz ostatni dziś: Za Yndirmarie, naszą wergundzką wojowniczkę i jej ideały!

- Za Yndir! – powtórzyła reszta. – Na pohybel Eudomarowi!

Wszyscy ochoczo spełnili toast, a gdy chwilę później z miejsca wstał Hugin, każdy oczekiwał mimo wszystkiego jakiegoś podobnego wiwatu, może na cześć Olafa, kto tam go wiedział...

- To będzie długi toast – uprzedził krasnolud. – A zaczyna się on wesołą historyjką o krasnoludzie i dwóch elfkach. Więc... dawno temu, gdzieś w tych okolicach żył sobie bardzo tradycyjny krasnolud. Nie mył się, nie zmieniał skarpetek...

- Chyba, że na wódkę – krzyknął ktoś, parafrazując znany dowcip.

- W końcu jednak zdecydował się pierwszy raz w życiu pójść nad jezioro i się wymyć. Szedł cały dzień, dotarł w końcu nad wodę, słońeczko przygrzewało, wszystko układało się wręcz idealnie. Więc ów mój rodak zdjął pasek, spodnie, zdjął koszulę, swoje słynne skarpetki, a na samym końcu zdjął kaptur, po czym wszedł do jeziora.

- I umarł, jak tylko dotknął wody? – podpowiedział Tsuna.

- Nie, to nie ta historia. Wręcz przeciwnie, taplał się długo, pływał, nurkował, fikał koziołki... Aż tu nagle patrzy i widzi stojące na brzegu dwie przepiękne elfki. Podpływa do brzegu i zdaje sobie sprawę, że przecież tak nie pokaże się elfkom, a ubranie zostawił za daleko, by sięgnąć po nie ręką. Więc końcami palców schwycił najbliższą położoną część ubrania, kaptur i wyszedł z wody, zakrywając to, co najważniejsze.

Zabrzmiała pierwsza salwa śmiechu.

- Ale elfki okazały się litościwe. Jedna z nich szybko podał mu jego spodnie, wyciągnął więc lewą rękę i chwycił spodnie. Druga chwilę potem podał mu koszulę. Wyciągnął prawą rękę i

chwycił koszulę. A kaptur... kaptur został na miejscu. Wypijmy więc teraz, panowie i panie, pouczeni tą historią, za tę tajemniczą siłę, która utrzymała tę część ubrania na miejscu!

Wszyscy po tych słowach wstali i zaczęli klaskać, aż w końcu spełnili toast, niektórzy z rumieńcami, inni z twarzami rozmarzonymi, jakby chcieli znaleźć się na miejscu tego krasnoluda z opowieści. Toast Hugina był dużo głośniej oklaskiwany niż ten Olafa. W końcu, kiedy owacje ucichły, z miejsca podniósł się Ulf.

- To za to będzie krótkie. Za flotę naszych przyjaciół z Talsoi! – krzyknął na całe gardło Fiordyjczyk, aż zatrzęsała się halla. – Do dna!

Każdy, kto znał się na stosunkach talsojsko-fiordyjskich, wiedział, że kluczowe były ostatnie słowa dowódcy. Ze szczególną werwą toast wzniosł Aleksander, choć nie miałam pojęcia, dlaczego.

- No dobra – usłyszałam już cichszy głos Ulfa rozmawiającego z Iwarem. – To o czym wtedy mówiliście? Widziałem, że niezłe się zaczerwieniła tamta dwójka kapłanów.

O nie, pomyślałam, on wspomina tę nieszczęsną rozmowę z Durghiem w drodze po odpis Pieśni Bogów...

- Cóż, zapytałem go – z szyderym uśmiechem odpowiedział kapłan Herby – o nowicjat toledański i to, co tam wyczyniają z nowicjuszami. Zarumienił się, nic nie odpowiedział, czyli już wiadomo, że na pewno coś tam się działo. Potem jeszcze próbowałem wypytać Aerlinn, jak to robią po elficku, ale spiekła takiego raka, jakiego nie znajdziesz w najgłębszym z jezior Terali. Ja ich nie rozumiem, ja bym tam chętnie opowiedział o swoich ciężkich zabawkach...

- Może jednak nie – poradził Ulf. – Żałuj jednak, że cię nie było, gdy wyprawiłem się po ciastka i łupy, wtedy się działo!

Czy oni mają tylko takie tematy? To nie są normalni ludzie, westchnęłam w myślach. Tymczasem Ulf opowiadał z takim napięciem, że trudno było nie słuchać.

- To był chyba dzień urodzin Aerlinn, tak, wiem, wieki temu – uśmiechnął się perfidnie. – Jak ten czas szybko leci. W każdym razie było jeszcze przed wskrzeszeniami, nie miałem, co robić, byłem głodny, więc... swoją drogą dziwne, że cię wtedy nie było. Zebrałem hird i ruszyłem na chas.

- Beze mnie? Skandal!

- Nieważne już teraz, ważne, co się działo. Pierwsze namioty przeczesaliśmy, nie znajdując nic. Aż tu nagle wpadamy do ostatniego, a tam przerażona Nike, obok niej Aleksander, Durgh z groźną miną i Aerlinn. Nie miałem pojęcia, że miała wtedy urodziny, więc rozkaz do hirdu, żeby przeszukać i każde ciastka dla mnie. Potem zaś zwróciłem się do niej z pytaniem: „Czy kapłanki Silvy składają śluby czystości?” Była przerażona, gdyby mogła, z pewnością uciekłaby, gdzie pieprz rośnie. Już miałem ciekawe myśli, zastanawiałem się, czy nie wprowadzić ich w życie, aż tu nagle odzywa się Durgh: „Odejdźcie, a przeszukam umysły mieszkańców innych namiotów i dostaniecie te ciastka.” Jak mogłem się nie zgodzić?

- Słabeusz z ciebie – autorytatywnym tonem stwierdził Ivar. – Trzeba było brać, co się chciało! Ale w sumie... Durgh... Może faktycznie lepiej było mu nie podpadać...

Zarumieniona starałam się nie słuchać dalszych słów fiordyjskich wojowników, bo z pewnością przyprawiłyby mnie one o dreszcze. Zajęłam się własną miską.

Uczta trwała długo i próżno było szukać czegoś, czego by na niej brakowało. Były wszelkie owoce lasu, były egzotyczne potrawy Pethabanu, a nawet samnijska czarna woda, czy fiordyjska księżycówka, której jednak po moich poprzednich doświadczeniach wolałam nie pić za dużo. Wreszcie były też typowo tryntyjskie i wergundzkie dania, pieczone kurczaki, najróżniejsze inne mięsiwo marynowane, pieczone, smażone... Dobrze pamiętam tamtą biesiadę, bo następnego dnia wyruszyłam już na front i, co tu ukrywać, brakowało tam sławnych silberberskich dżemów i innych podobnych rarytasów. Teraz zaś Demon postawiła przed nami cały słój swojego ulubionego przetworu. Dopiero po chwili zauważyliśmy, co tu jest nie tak.

Otóż dżem, jak to dżem, powinien po bożemu spoczywać na dnie słoja. Tymczasem zaś w niewiadomy sposób unosił się kilka cali nad dnem.

- Demonie! Przyniosłaś nam demoniczny dżem! – zawołano.

- Że co? – zapytała karczmarka, a gdy zauważyła, co się stało, krzyknęła radośnie. – Wreszcie mi się udało!

Wiele jeszcze działo się na tej biesiadzie. Fiordyjczycy demonstrowali swoje potężne głosy, śpiewając krasnoludzką piosenkę o piwie, a dwójka z nich odtńczyła jeszcze na środku jakiś dziwny wojenny taniec. W końcu driady wyciągnęły wojowników na plac przy ognisku, gdzie zebrała się już miejscowa kapela. Zagrano mnóstwo skocznych melodii, do dziś pamiętam moje tańce tamtego wieczora, najpierw z Ulfem, później zaś z Durghiem. Wraz z driadami w kręgu odtńczyliśmy mój ulubiony układ, dawny taniec obrzędowy wokół ogniska, a ja mogłam powiedzieć, że poczułam się po tej uczcie, jakbym właśnie wypełniła całą swoją misję. Wydawało mi się, że teraz moje życie będzie już proste i pozbawione kłopotów.

Oczywiście, myliłam się. Gdy zakończono tańce, wróciłam do namiotu, gdzie ofiarnie odprowadził mnie Durgh, a jako że Lily poszła wraz z Keledym spać przy ognisku, wiedzieliśmy, że na kwaterę zawita jeszcze tylko Aleksander i Nike. Kapłan tę noc spędził na niższej ze środkowych prycz, opowiadając mi, a potem nam, gdy wrócił Ofirczyk, stare liryzyjskie legendy oraz kilka zasłyszanych już w Zakonie opowieści. Niezwykle ciekawie mówił o dawnym konflikcie Zakonu w Wergundii, gdzie od dłuższego czasu szerzyło się zepsucie, a nawet oddawano się Zakazanym Sztukom. W końcu jednak każdy był tak zmęczony, że zasnęliśmy niemal w pół słowa.

O świcie wiedzieliśmy, że są to ostatnie chwile, kiedy możemy ze sobą rozmawiać. Durgh, w porównaniu do wczoraj nieco rozchmurzony, ale i tak jak zawsze zamyślony, spacerował tam i z powrotem po placu, Aleksander wreszcie zamykał kronikę, w której pewnie miał już przygotowany raport dla kratistosów Ofiru. Nox wychylał ostatnie krople księżycóweczki, Nike na uboczu rozmawiała z Aarendilem, Lily przy ognisku budziła się u boku Keledy'ego, Onfis sprawdzał ułożenie sztyletów przy pasie... Tak to zapamiętałam. Potem było już tylko śniadanie, każdy wiedział, że ostatnie w takim gronie. W końcu, wiem, że zdecydowanie za późno, zdecydowałam się, by wraz z Nike zaśpiewać piosenkę ułożoną kiedyś na warcie. Jako, że była do melodii starej fiordyjskiej szanty, Ulf uśmiechnął się zachęcająco.

*- Wśród nas Ulf mężny wojownik,
Nieraz się o śmierć ocierał,
Raz z drugiego świata wrócił
I znów się wydziera!*

Kapłanka Herby z werwą zaczęła drugą zwrotkę, przy trzeciej zaś zastąpiłam ją ja:

*- Onfis elf to bardzo sprytny
I dwa miecze w ręku trzyma,
Kto podejdzie, ten się dowie,
Z nim się nie zaczyna.*

*- Ivar świetnym jest kapłanem,
Choć dla Herby kwiatki zbiera,
Lecz gdy tylko zacznie leczyć,
Nikt już nie umiera.*

Tym razem zabrzmiał chór, a bohater tej części tekstu zarumienił się po same uszy.

*- Orwidor jest magiem ziemi,
Ciągłe dołki pod kimś kopie,
Chociaż nie jest z nas najwyższy,
Ród jego wysoki.*

- Lily wielkim jest dowódcą,

*Mężnie mieczem swym wywija,
Jak się wydrze, tylko w górach echo się odbija!
- Keledy dwoma mieczami
Od ataków Lily broni
Albo też czasem z orężem
Za nią sobie goni!*

Ostatnia zwrotka, którą zdążyliśmy ułożyć, od samego początku planowana była do zaśpiewania przeze mnie, tak też się stało.

*- Durgh, wierny kapłan Toledy
Łaską Bogini potężny,
Napadły go smocze zgredy,
A on je zwyciężył!*

- Na razie tyle, panowie – uśmiechnęła się Nike. – Jeśli się spotkamy, ułożę dalszą część, obiecuję.

Cała reszta także się uśmiechnęła, bo wszyscy dobrze wiedzieli, że pewnie nigdy już nie zatrzymamy się w jednym miejscu. W tej samej chwili usłyszeliśmy stukot kół powozu zajeżdżającego pod dolną bramę obozu. Nadszedł czas pożegnań.

Wymieniłam ostatnie błogosławieństwa z Durghiem, uśmiechnęłam się do zamyślonego Aleksandra, by potem ramię w ramię z wojownikami ruszyć w długą drogę na północny front.

- Pamiętajcie, że zapraszamy was do karczmy mojej i Ulfa! „Pod Rozbrykanym Kucykiem”, zachodni trakt z Akwigranu! – zawołał Onfis, gdy wsiadałam do wozu. Brosza z kwiatem, symbol mojego kapłaństwa, po raz ostatni zalsniła w silberberskim słońcu. Kolejnego dnia była już brudna od żołnierskiej krwi.

I tak oto zakończyła się ta historia, opowieść o towarzyszach niewoli i buncie, o odwadze, poświęceniu i wielkich misjach. Z Silberbergu wyruszyłam dwudziestego dnia po letnim przesileniu, ledwie dziesięć dni po przybyciu tu w więzach. Wszystko to zaś zdarzyło się w 858 roku wedle kalendarza Ofiru, w pierwszych dniach panowania w Wergundii Księcia Imperatora Olafa, syna Elmeryka z rodu Danwiga. Z łaski Silvy i Herna, Opiekunów Lasu, opisałam wam te spędzone w tryntyjskich górach dni, które tak bardzo zmieniły oblicze świata. Jeśli zaś czegoś nie opisała, to tylko dlatego, że pamięć ma zawodną się okazała, bo ostatnie słowa kroniki spisuję w kilka miesięcy po Srebrnej Rebelii, z północnego frontu wojny z Eudomarem. Wszystkim zaś czytelnikom z serca błogosławię! Niech Pani i Was otacza swą łaską!

*Pisane własną ręką Aerlinn, córki Erlinny, z łaski Silvy Jej służebnicy.
Północny front, piętnastego dnia po jesiennej równonocy.*